

Kampania, granda, referendum | **Arabowie** i górale | **Ginekologdy**: cięży strach
Gry **Wiplera** | Co robią **harcerze** | Dopaść **Zelenskigo** | Nowe polskie **imiona**

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 34 (3427), 16.08–22.08.2023



Co władza o nas wie I co nam może zrobić

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

SKI team®



Kupuj wygodnie
na skiteam.pl



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów

CUBE

10%
rabatu

Na najnowszą kolekcję rowerów Cube!

10 lub 20 RAT 0%

RRSO 0% Bez dodatkowych kosztów.

LETNIE GODZINY OTWARCIA SKLEPÓW SKI TEAM!

Poniedziałek - Sobota **11:00 - 20:00** | Niedziela **NIECZYNNE** | Niedziela handlowa **12:00 - 16:00**

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a
WROCŁAW: CH Arkady Wrocławskie | **KATOWICE:** ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



15 Nowy początek starej kampanii



18 Dubaj w Zakopanem



26 Cięży strach

Tematy tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Ile władza o nas wie
- 15 Mariusz Janicki
Co może się jeszcze wydarzyć do 15 października
- 18 Norbert Frątczak
Arabowie u górali

Polityka

- 21 Rafał Kalukin
Wschodnie tropy w kampanii
- 24 Przemysław Witkowski
Wipler – reaktywacja

Społeczeństwo

- 26 O lekarzach pod presją i trudnych decyzjach w położnictwie opowiada ginekolog prof. **Hubert Huras**
- 29 Zbigniew Borek
Harcerstwo dziś – obciach czy konkurencja dla cyfrowego świata?
- 32 Jak wraz z Polską zmieniają się imiona albo jak imiona zmieniają Polskę, mówi językoznawca prof. **Mariusz Rutkowski**
- 35 Joanna Cieśla
Depresja klimatyczna
- 38 Katarzyna Kaczorowska
Child Alert: jak się szuka porwanych dzieci



Rynek

- 40 Joanna Solska
Drugie życie kempingów
- 43 Cezary Kowanda
Kredyt dla młodych – zarobek dla deweloperów



Świat

- 46 Piotr Łukasiewicz UKRAINA
Czy Zełenski jest bezpieczny
- 49 Marek Ostrowski FRANCJA
Pożegnanie z Afryką
- 52 Agnieszka Lichnerowicz
Nowa zbrodnia międzynarodowa: ekobójstwo



Nauka/projekt pulsar.pl

- 56 Wojciech Mikołuszko
Słabnąca płęć męska
- 59 O religii, czyli genialnym mechanizmie ewolucyjnym, mówi **Robin Dunbar**, autor książki „Religijni”
- 62 Krzysztof Potaczała
Kłopoty węża Eskulapa

Historia

- 64 Rozmowa z **Benjaminem Midlerem**, świadkiem powstania w getcie białostockim, ocalałym z Holocaustu

- 67 Marek Łaziński **Aleksander Brückner – kłótniwy znawca polszczyzny**
- 70 Adam Krzemiński ESEJ **Mity greckie w wersji feministycznej**

Kultura

- 78 Krzysztof Nowak **Era coverów**
- 82 Dorota Szwarzman
Protesty rosyjskich muzyków
- 84 Marcin „Flint” Węclawek
Jak się zaczął polski hip-hop



Ludzie i style

- 92–97 • **Gorsza strona wellness**
- Kule szpiegujące
 - Co nas triggeruje
 - Modny nieład
 - Bolesna część życia
 - Hotele na zamkach
 - Sieć winna

Stałe rubryki

- 4 Mleczko • 6 Przypisy
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 88 Lis • 89 Koziołek
- 90 Hartman • 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaj



Z ŻYCIA SFER

Co Niemcy sobie myślą

Wszyscy mamy już dość niemieckich elit, które brutalnie ingerują w nasze sprawy wewnętrzne, a za pośrednictwem Unii Europejskiej starają się osłabić naszą gospodarkę i pozycję na arenie międzynarodowej. Ostatnio doszły do tego otwarte deklaracje wrogości wobec naszej partii i rządu. Jak jednak odnoszą się do Polski prości, zwyczajni Niemcy? By się o tym przekonać, zwracamy się do kierowcy samochodu z niemiecką rejestracją, który zatrzymał się na poboczu tuż za polską granicą. Przedstawia się jako Hans Schmidt. Nazwisko, charakterystyczne skórzane spodnie, tyrolski kapelusz z piórkiem, Mercedes – wszystko wskazuje, że mamy do czynienia z typowym średnim Niemcem.

– Co pana sprowadza do Polski?

– Jakiś czas temu dowiedziałem się, że wkrótce otworzą się u was dla Niemców możliwości pracy przy zbiorze szparagów. Chcę odpowiednio wcześniej wystarać się o kontrakt.

– Co wie pan o Polsce?

– Początkowo wiedziałem niewiele. Stopniowo jednak zacząłem zauważać, że w coraz większej liczbie dziedzin Polska zajmuje pozycję przodującą i staje się przykładem dla innych krajów Europy.

– Skąd czerpie pan informacje o naszym kraju?

– Z waszej telewizji. Zdawałem sobie sprawę, że podjęcie u was pracy wymaga odpowiednio wysokich kwalifikacji, w tym znajomości języka. Zacząłem więc uczyć się polskiego i opanowałem już język w stopniu umożliwiającym korzystanie

z telewizji oraz rozumienie prostych poleceń wydawanych przy zbiorze szparagów.

– Jak ocenia pan polskie osiągnięcia w różnych dziedzinach?

– Weźmy choćby produkcję szparagów. Sam fakt, że już wkrótce osiągnie ona poziom wymagający zaangażowania przy zbiorze siły roboczej z Niemiec, mówi sam za siebie.

– Wasze media mocno jednak krytykują Polskę. Twierdzą, że ogranicza się tu swobody demokratyczne.

– Staram się śledzić wystąpienia waszych przywódców i wiem dobrze, że zakres swobód jest u was wręcz zdumiewający, obejmuje też np. wolność zbierania grzybów. Takiego zakresu obszaru swobód nie spotka pan nigdzie. Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że Polska jest wyspą wolności w Europie.

– A jak przedstawia się sytuacja u was?

– Wręcz tragicznie. Grzybów prawie nikt u nas nie zbiera. Cieszy mnie myśl, że u was, po skończonej pracy przy zbiorze szparagów, będę mógł odpocząć przy zbieraniu grzybów.

– Jak odbiera pan deklaracje waszych polityków, że chętnie widzieliby zmianę władzy w Polsce?

– Dla mnie taka zmiana oznaczałaby przekreślenie perspektyw, zarówno jako dla człowieka zainteresowanego karierą zawodową, jak i dla grzybiarza. Nie pamiętam, by ktokolwiek z kręgów waszej opozycji miał dla Niemców jakąkolwiek propozycję pracy. Wiem natomiast, że ci ludzie planują prywatyzację lasów. Myśl, że możliwość zbierania grzybów będzie zarezerwowana tylko dla wielkich posiadaczy leśnych, musi być zatrażająca dla wszystkich prostych Niemców i Polaków.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JP

NOWOŚĆ



Uganda – na tropie goryli i szympanśów

Odwiedź lasy deszczowe Ugandy i spotkaj goryle oraz szympanśy podczas tej spektakularnej wycieczki, która obejmuje także safari, źródła Nilu i Jezioro Wiktorii.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy i przylot do Entebbe w Ugandzie. **Dz. 2** Przejazd do Parku Narodowego Kibale i spacer po bagnach Bigodi. **Dz. 3** Tropienie szympanśów. Podróż do Parku Narodowego Królowej Elżbiety i rejs statkiem. **Dz. 4** Klasyczne safari w Parku Narodowym Królowej Elżbiety. **Dz. 5** Safari w drodze do Parku Narodowego Bwindi Impenetrable Forest. **Dz. 6** Na tropie goryli. Trekking w parku Bwindi. **Dz. 7** Wycieczka do Parku Narodowego Lake Mburo z safari. **Dz. 8** Przejazd do Jinja i przekroczenie równika. **Dz. 9** Wycieczka do źródeł Nilu i Jeziora Wiktorii. Powrót z Entebbe. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 18/10 2023 | **28.998,-**

Stawna Wenecja i nieznane Veneto

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. **Dz. 2** Zwiedzanie Wenecji. Przeptynięcie tożdziu na plac św. Marka, spacer po mieście. **Dz. 3** Padwa i Vicenza. **Dz. 4** Wyspa szklarzy Murano, kolorowa wyspa Burano i Wenecja. **Dz. 5** Czas wolny lub całonocna wycieczka do Caorle i gospodarstwa agroturystycznego. **Dz. 6** Bassado del Grappa – włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Valdobbiadene. **Dz. 7** Dzień wolny na plażowaniu. **Dz. 8** Przejazd Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy
28/09 2023, 12/05 2024

od **5.198,-**



Izrael wczoraj i dziś

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Tel Awiwu. Przejazd do hotelu. **Dz. 2** Jezioro Galilejskie. Starożytna synagoga w Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Bazylika Zwiastowania Pańskiego w Nazarecie. **Dz. 3** Akka, Hajfa – centrum wyznawców bahaizmu, kościół św. Piotra i Białe Miasto w Tel Awiwie. Przyjazd do Betlejem. **Dz. 4** Jerozolima. Góra Oliwna. Sciana Płaczu. Wzgórze Świątynne. Via Dolorosa. Bazylika Grobu Świętego. Wieczernik. **Dz. 5** Jerozolima. Muzeum Holocaustu Yad Vashem. Izraelski parlament Kneset. Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem. **Dz. 6** Jerozolima. Targ Machene Yehuda. Winiarnia Mony. **Dz. 7** Góra Kuszenia w Jerychu. Morze Martwe. Twierdza Masada. Kolacja w palestyńskim domu. **Dz. 8** Wylot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy
06/10 2023, 01/04 2024

od **8.498,-**

UWAGA!
Zmiana
adresu
biura

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 51

Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107 | Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL31

Piąte pytanie



Jerzy Baczyński

Dlaczego „afery Niedzielskiego” była dla PiS aż tak niebezpieczna, że wbrew żelaznej zasadzie obrony swoich zdecydowano się na dymisję ministra? Otóż arogancja, mściwość i niefrasobliwość Niedzielskiego nagle pokazały, a właściwie przypomniły, że władza nie tylko ma o każdym szarym obywatelu ogromną wiedzę, ale jeśli zechce, to jej użyje, omijając prawo (piszemy o tym w ołdakowym raporcie). To bardziej zbulwersowało opinię publiczną niż skandal wokół programu szpiegowskiego Pegasus, potraktowany zapewne jako część brudnej, odległej polityki. Ale dostęp polityków do informacji o naszych chorobach, lekach, zwolnieniach, także zdrowiu psychicznym – to już naruszenie prywatności i miru domowego. Wiedza, że władza głupio-jawnie jak Niedzielski lub niejawnie może nas „podglądać” nawet w gabinetach lekarskich, wzbudziła, co odnotowały sondaże, również dużą część elektoratu PiS, pośrednio potwierdzając oskarżenia, jakie opozycja wysuwała w związku ze sprawą pani Joanny z Krakowa. Stąd pewnie decyzja, aby uciąć temat. Nominacja posłanki Katarzyny Sójki (s. 7) na nową minister potwierdza gaśniczy charakter tej operacji: pani poseł, „zwykły lekarz z powiatowego miasta”, jak podkreślali zgodnie i premier, i prezydent, nie ma żadnych dostrzegalnych kompetencji w zarządzaniu tak skomplikowanym systemem, jakim jest służba zdrowia. Zapewne ma po prostu nic nie robić do wyborów i nie drażnić.

Sprawa Niedzielskiego była kolejnym dowodem, że – jak mówią specjaliści od marketingu politycznego – kampania PiS od początku buksuje. Spośród różnych testowanych bodźców – przypomnę: zaczęło się od transeksualizmu, obrony czci Jana Pawła II, 800 plus, jest lex Tusk i serial „Reset”, straszenie imigracją, atakiem wagnerowców itp. – żaden na razie nie podniósł notowań PiS. Nawet przekaz o gwarantującej bezpieczeństwo Polaków nowoczesnej i sprawnej armii, czego ilustracją miała być wielka defilada 15 sierpnia, został zwarzony incydentami, odsłaniającymi chaos zarządzania kryzysowego w MON. No to teraz, po marnym początku, zresetować kampanię wyborczą PiS ma referendum, rozpisane na dzień wyborów. PiS sięgnął tu znowu po trik Viktora Orbána, który w kwietniu 2022 r. dołączył do wyborów parlamentarnych czteropytaniowy plebiscyt. U Orbána wszystkie pytania dotyczyły „ochrony dzieci przed seksualizacją”, w tym przed „promowaniem zmiany płci, czy nieograniczonego pokazywania nieletnim” pornografii. Tendencyjność pytań, a zwłaszcza ton kampanii referendalnej, wmawiającej opozycji absurdalne „zбочzone” intencje, sprowokowała szefową KE do nazwania węgierskiego referendum haniebnym. Ale Orbánowi pomogło ono zmobilizować własny konserwatywny elektorat.

W Polsce choć prawo nie zabrania łączenia wyborów z referendum, nigdy wcześniej to się nie zdarzyło; żadna z rządzących po 1989 r. ekip nie považowała się na to, aby najważniejszy akt wyborczy zakłócać dodatkowymi głosowaniami. Widzimy już, jaki

to będzie kłopot choćby w sensie technicznym; ile niejasności budzi możliwość skutecznej rezygnacji z udziału w referendum, bezpieczeństwa kart do głosowania, sporządzenie raportów. Przecież komisje wyborcze, i tak przeciążone krótkim terminem zliczania głosów – osobno do Sejmu, osobno do Senatu – dostają jeszcze cztery dodatkowe głosowania, bo każde pytanie referendalne musi być rozliczone osobno. Ile tu możliwości opóźnień, oskarżeń, manipulacji. A przecież wynik i tak nie będzie miał żadnego znaczenia.

Cel główny tej awantury jest oczywisty: zalegalizować i jeszcze powiększyć nierównowagę sił w tych wyborach. Wiemy, że władza może w sposób praktycznie nieograniczony finansować kampanię referendalną, tożsamą z kampanią wyborczą. Pytania czy hasła referendalne nie dotyczą żadnej prawdziwej, pilnej czy spornej kwestii, są ułożone tak, aby obsługiwać główne tematyczne sektory wybrane przez sztab PiS. Dlatego też mamy ostatecznie nie jedno pytanie, jak początkowo zapowiadano, ale aż cztery.

P przed zamknięciem tego wydania nie poznaliśmy czwartego, jednak te, które już znamy, jawnie ośmieszają cały ten quiz. Pytanie, osobiście zadane przez Kaczyńskiego: „Czy popierasz wyprzedza państwowych przedsiębiorstw?”; zaskoczyło o tyle, że jedyna „wyprzedza” – czyli pozbycie się czegoś w pośpiechu i pod dyktando kupującego – dotyczyła ostatnio wielkiej transakcji Orlenu z Saudi Aramco i węgierskim MOL. Samo słowo „wyprzedza”, sugerujące jakieś masowe pozbywanie się przedsiębiorstw państwowych (czy z udziałem Skarbu Państwa – nie wiadomo), jest dziś tylko pozabawioną odniesienia do rzeczywistości mętną insynuacją, która powtarza tezy Porozumienia Centrum z początku lat 90. I zapewne taka będzie propagandowa obróbka tego pytania: wypominanie, jak III RP i PO sprzedawała kiedyś państwowe fabryki. Więc może i w przyszłości sprzedawały np. Lasy Państwowe, żeby Polakom odciąć dostęp do grzybów? Kpina?

Drugie pytanie, sformułowane przez Beatę Szydło, też obsługuje historię: „Czy jesteś za podwyższeniem wieku emerytalnego, który obecnie wynosi 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn?”. Dziś żadna partia nie jest. Nie ma tematu. Eksperti zwracają jedynie uwagę, że prawdziwym problemem są strukturalnie niskie emerytury, zwłaszcza kobiet, spowodowane ich krótszym okresem składkowym. Ale pytanie nie dotyczy przecież niczego prawdziwego: będzie okazja przypominania, jak to kiedyś PO chciała, żeby Polacy „pracowali do śmierci”. Podobnie z trzecim tematem, ogłoszonym przez premiera: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji, narzucanym przez biurokrację europejską?”. Niemal każde słowo w tym tekście jest manipulacją: „tysiące”, „nielegalnych”, „przymusowo”, „narzucanych przez biurokrację”... i to mimo wielokrotnych wyjaśnień, że Polska, która przyjęła setki tysięcy uchodźców z Ukrainy, „przymusowa relokacja” nie dotyczy. Zresztą walka z nielegalną imigracją to podstawa nowej, właśnie dyskutowanej, migracyjnej polityki Unii. A przy okazji PiS czyni wyjątek dla trwającej bez zakłóceń masowej migracji z Azji.

To kuriozalne referendum opozycja i jej wyborcy będą rzecz jasna bojkotować (tu potrzebne są jasne instrukcje praktyczne), ale zignorować tych „pytań” nie warto, bo dają kolejną okazję do wykazania hipokryzji, manipulacji, całej hucpy PiS. Władza robi wszystko, żeby te wybory nie były równe. Temu służą już dokonane zmiany w ordynacji wyborczej, miliony wydawane z budżetu państwa na tzw. prekampanię, teraz pseudoreferendum. Nie ma też wątpliwości, że przeciw opozycji, notorycznie oskarżanej przez PiS o zdradę, będą wykorzystywane legalnie i nielegalnie zdobywane informacje. Widać, że władza obawia się wyniku jedynego prawdziwego referendum, jakie odbędzie się 15 października. To piąte pytanie brzmi: „Czy zgadzasz się, aby Jarosław Kaczyński, jego partia i jej sojusznicy przejęli pełnię kontroli nad państwem i nad Tobą? Tak – nie”.



Kim jest nowa ministra zdrowia

Tuż przed startem kampanii wyborczej PiS zrobił roszadę w Ministerstwie Zdrowia. Adama Niedzielskiego pograżył jego własny post z 4 sierpnia, w którym – chcąc uderzyć w TVN – napisał, jakie leki przepisał sobie wymieniony z imienia i nazwiska lekarz, który wcześniej w „Faktach” uskarżał się na kłopoty z receptami. Naczelna Izba Lekarska ogłosiła, że straciła zaufanie do ministra i nie wyobraża sobie dalszej z nim współpracy, media przez kilka dni obszernie informowały o aferze, Niedzielskiego zaczęli ostrożnie krytykować nawet politycy rządzącej koalicji. We wtorek 8 sierpnia Mateusz Morawiecki ogłosił dymisję ministra i poinformował, że zastąpi go posełanka PiS **Katarzyna Sójka**. „To lekarka, dowiedziałem się od pacjentów, że ma bardzo osobiste do nich podejście. Jestem przekonany, że jej doświadczenie, jej empatia pozwolą kontynuować wszystko to, co jest najważniejsze” – mówił premier.

Sójka to 37-letnia internistka (ukończyła też leśnictwo), która pracowała w szpitalach w Kępnie i Ostrowie Wielkopolskim

(woj. wielkopolskie). W politykę zaangażowała się w 2018 r., gdy została radną powiatu ostrzeszowskiego. Jak twierdzi nasz rozmówca, Sójkę do polityki wciągnęła obecna europosłanka PiS (a kiedyś posłanka PSL) Anđżelika Możdzanowska. W 2019 r. Sójka wystartowała w wyborach parlamentarnych w okręgu kaliskim i niespodziewanie osiągnęła bardzo dobry wynik. Choć kandydowała z odległego 10. miejsca na liście, dostała prawie 16 tys. głosów i weszła do Sejmu, pokonując m.in. dwóch miejscowych posłów PiS. W Sejmie nie zapisała się niczym szczególnym. Pilnie głosowała (99 proc. obecności), trzymała się linii partii i nie uczestniczyła w walkach koalicyjnych oraz przepychankach w PiS. Głos zabierała głównie w sprawach ochrony zdrowia i leśnictwa, chwaliła też tzw. Nowy Ład i wzywała do pomocy Ukrainie. W 2022 r. została szefową struktur PiS w okręgu Ostrów Wielkopolski (który obejmuje cztery powiaty), co wskazuje na to, że już wtedy miała dobre notowania na Nowogrodzkiej.

W mediach krajowych bywała rzadko, ale przez chwilę zrobiło się o niej głośno, gdy w czerwcu w Polsat News powiedziała – w sprawie zgonów ciężarnych kobiet – że „Polki niestety umierały, umierają i umierać będą, bo to się zdarza” i że nie ma to związku z zastrzeżeniem prawa aborcyjnego w 2020 r. przez Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej na wniosek posłów PiS i Konfederacji.

Nominacja Sójki – młodej lekarki ze średniej wielkości miasta – ma zażegnać kryzys wywołany przez wpis Niedzielskiego. Ale chodzi w tym o coś więcej. Jej poprzednik był dla prawicowych konkurentów PiS z Konfederacji twarzą lockdownów i covidowej polityki; jego dymisja i awans Sójki to symboliczne zamknięcie tego niewygodnego tematu. W nagrodę posełanka może liczyć na znacznie lepsze miejsce na liście PiS w październikowych wyborach. (WBS)

Poznański raj, białostockie piekło?

Ubiegłotygodniowy ranking polskich miast wojewódzkich serwisu Business Insider wzbudził spore emocje. Za najlepsze miejsce do życia została uznana stolica Wielkopolski. Poznaniacy mogli cieszyć się z bezapelacyjnego zwycięstwa, chociaż wielu wyróżnienie przyjęło pewnie z zaskoczeniem, bo w centrum od kilku lat trwają bardzo uciążliwe remonty. Znacznie bardziej kontrowersyjne były jednak kolejne wyniki. Na podium znalazły się jeszcze Katowice i Opole, dobrze wypadły Olsztyn i Bydgoszcz. Tymczasem Kraków i Gdańsk nie zmieściły się w pierwszej dziesiątce, dopiero 14. była Warszawa, a stawkę 16 ocenianych metropolii zamknęły Kielce i Białystok. W rankingu nie uwzględniono Zielonej Góry i Torunia, które są uznawane za równorzędne dla Gorzowa i Bydgoszczy stolice województw, bo tam znajdują się siedziby sejmików.

Przygotowując klasyfikację, wzięto pod uwagę m.in. stopę bezrobocia, wysokość zarobków, ceny mieszkań, jakość powietrza, a także wskaźniki dotyczące przestępczości i kolejek do lekarzy. Zabrakło jednak wielu kluczowych elementów decydujących o jakości życia. Autorzy rankingu pominęli np. zupełnie tak ważne tematy jak kultura i transport. To m.in. dlatego Warszawa



Wielu poznaniaków wyniki rankingu przyjęło z zaskoczeniem, choćby z powodu niekończącego się remontu rynku, który stał się już ogólnopolskim tematem do żartów z Poznania.

i Kraków, które mogą pochwalić się komunikacją miejską i ofertą kulturalną na wysokim poziomie, znalazły się daleko za Łodzią, gdzie znaczna część tras tramwajowych jest nieczynna, a miejscy aktywiści niedawno zorganizowali symboliczny pogrzeb transportu zbiorowego. Dziwić może również brak w rankingu jakichkolwiek kryteriów związanych z edukacją – zarówno szkolną, jak i uniwersytecką. Tymczasem to jej poziom w ogromnym stopniu wpływa na jakość życia mieszkańców. Na pewno jest ona istotniejsza niż niewielkie różnice w stopie bezrobocia, które nie stanowią w żadnym z miast wojewódzkich istotnego problemu.

Wyniki rankingu można potraktować jako ciekawostkę, ale na pewno nie oddają one opinii Polaków decydujących o wyborze miejsca zamieszkania. Drugie w rankingu

Katowice systematycznie tracą mieszkańców, a niedawno wypadły z grona dziesięciu największych miast w Polsce. Co ciekawe, zastąpił je w tym gronie Białystok – ten sam, który tak ostro potraktowali autorzy zestawienia Business Insider. Tymczasem stolica Podlasia jest jednym z niewielu dużych miast w Polsce o stabilnej sytuacji demograficznej. Łódź o dwie pozycje wyprzedziła Kraków i o pięć miejsc Warszawę, tymczasem liczba jej mieszkańców tylko w ciągu ostatniej dekady spadła o prawie 10 proc. Natomiast zarówno Kraków, jak i Warszawa wciąż zyskują mieszkańców – nie dzięki wysokiemu przyrostowi naturalnemu, ale właśnie napływowi tych, którzy postanowili w ostatnich latach zamieszkać w stolicy Polski lub Małopolski. Dobrze, że decyzję podjęli, zanim zobaczyli ten ranking. (CK)

Czy Konfa się wystrzelała?

Marek Migalski

Politolog, publicysta, prof. UŚ. Kiedyś polityk, a ostatnio wykładowca i pisarz.



Konfederacja przypomina sportowca, który najlepszą formę złapał na dwa miesiące przed igrzyskami. Wiele bowiem wskazuje na to, że najwyższe poparcie formacja ta ma już za sobą. Mogą o tym zdecydować trzy czynniki.

Po pierwsze, właśnie rozpoczęta kampania. O ile PiS i PO wydadzą na nią po ok. 40 mln zł (czyli maksimum tego, na co pozwalają przepisy), o tyle ugrupowanie Mentzena pewnie kilka razy mniej. Dwie pierwsze partie są obecne w polskim systemie politycznym od ponad dwóch dekad i przez cały ten czas otrzymywały dotacje i subwencje z budżetu państwa. Zgromadziły więc na swoich kontach naprawdę imponujące środki. Dysponują także dodatkowymi środkami w postaci nieformalnego finansowania przez samorządy czy spółki Skarbu Państwa (to już tylko w przypadku partii rządzącej). W porównaniu z nimi Konfederacja jest ubogim krewnym – i takim do 15 października pozostanie. Rozmiar, jak wiadomo, ma znaczenie. Rozmiar partyjnego skarbca także.

Ale kampania to nie tylko pieniądze, to także strategie i propaganda. Wygląda na to, że Mentzen i Bosak już wystrzelali się ze wszelkiej komunikacyjnej amunicji, podczas gdy Zjednoczona Prawica oraz Koalicja Obywatelska dopiero zaczynają swój festiwal obietnic. Co więcej, już widać, że ich spin doktorzy skutecznie rozpoznali sposoby odzyskiwania wyborców, którzy odeszli do Konfederacji. Nowogrodzka wzmacnia swój antyukraiński i antyniemiecki przekaz, a „Pięte Piętro” zaczyna przypominać sobie o liberalnych hasłach, których dotychczasowy brak w programie PO zniechęcił nieco wolnorynkowy elektorat tej partii i zapewne skłonił jego część do rozważenia poparcia Konfederacji.

Po drugie, na razie Konfederacja jawiła się jako prawie monolityczna. Co prawda eksperci wyodrębniali w niej różne nurty i frakcje (narodowcy, antyszczepionkowcy, korwiniści itp.), ale – bądźmy szczerzy – kto czyta publicystów i profesorów? W oczach przeciętnego wyborcy formacja ta była jednością. Teraz jednak rozpocznie się walka o miejsce na listach. Jeśli dobrze odczytują trendy społeczne, klub parlamentarny Konfederacji w przyszłym Sejmie będzie liczył raczej 40 niż 80 posłów.

A to oznacza, że średnio z jednego okręgu wyborczego szansę na mandat będzie miał jeden z kandydatów. To zaś zapowiada ostrą walkę o miejsce na liście, która skutkować musi jeszcze ostrzejszą wojną na przecieki, oskarżenia oraz „podkładanie sobie świń”. Tego typu widowiska zazwyczaj nie za bardzo podobają się elektoratowi. Dodatkowym czynnikiem może być także jakość kadr – do tej pory Konfederacja miała twarz Mentzena i Bosaka, ale za chwilę listy zapełnią się... 960 kandydatami, z których nie wszyscy będą mieć doktorat z ekonomii oraz nie wszyscy będą potrafili ukrywać to, co myślą o Żydach, gejach i kobietach. Mówiąc wprost – już za kilkanaście dni media będą miały niezły ubaw z przedstawiania co bardziej egzotycznych kandydatów, a część potencjalnych wyborców coraz mniej ochoty na powierzenie im kierowania krajem.

Po trzecie wreszcie, pisząc obrazowo: innych mięśni używa się do kliknięcia ikony „lubię” na Facebooku, a innych do pomaszerowania do lokalu wyborczego. Mówiąc mniej poetycko: obecne deklarowane poparcie dla Konfederacji nie musi pokryć się z realnym głosowaniem na nią w dniu wyborów. Duża część jej wyborców to ludzie młodzi, którzy chętnie określają się jako zwolennicy Mentzena, ale niekoniecznie będzie im się chciało udowodnić to realnym aktem wyborczym. Jedyne, co działa na korzyść Konfederacji, to prezent od PiS w postaci referendum w sprawie uchodźców. To rodzaj dopingu na ostatniej prostej, ale sportowcowi, który szczyt formy ma już za sobą, może on nie wystarczyć.

Więzienie Ziobry

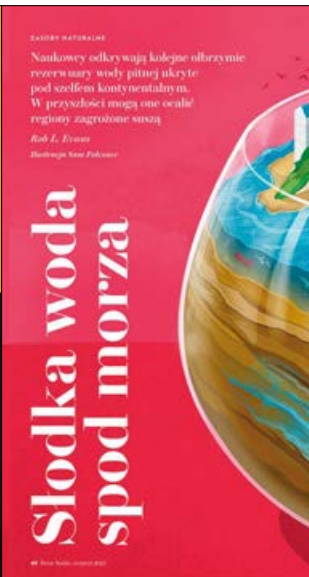
Łucja Darbah-Kopczyńska to najmłodsza rzecznik prasowa w historii Służby Więziennej. Pracę dostała zaledwie dwa miesiące temu, a już zyskała rozgłos. Na razie za sprawą tego, co robi po godzinach – bo tak młoda urzędniczka komentuje swój udział w spocie politycznym Suwerennej Polski. Spot jest z kategorii „powiemy wam, jak jest”. A trzymając się tego, co mówi występująca w nim Darbah-Kopczyńska, jest tak, że np. stacja TVN to: „Stacja kłamstwa, aktorzenia i naginania rzeczywistości pod dyktando niemieckich polityków”. Pomijając fakt, że młodej adeptce Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (uczelnia Rydzyska) nie wypada nie wiedzieć, że stacja TVN nie należy do kapitału niemieckiego, tylko amerykańskiego – chyba że kłamała świadomie – to jeszcze pani rzecznik nie wypada tak



mówić o stacji, z którą zgodnie z prawem prasowym również musi współpracować. Co samej zainteresowanej podobno nie będzie sprawiało żadnego problemu. – *Nie jestem i nigdy nie byłam członkiem żadnej partii politycznej. Jako rzecznik Służby Więziennej pytania prasowe, jak również współpracę z każdą redakcją traktuję w jednaki sposób – zapewniła w mailowej odpowiedzi.*

Sprawa wychodzi jednak poza kategorię, co wypada pani rzecznik. Zwłaszcza reprezentującej Centralny Zarząd Służby Więziennej, czyli formację mundurową – ustawowo i zwyczajowo apolityczną. Samo pojawienie się Łucji Darbah-Kopczyńskiej w CZSW zasługuje na uwagę. – *Nie tylko nie była związana z naszą służbą, ale też specjalnie dla niej stworzone zostało stanowisko i całe biuro promocji, co pociąga za sobą spore koszty. Rodzi się też pytanie, na jakich zasadach będzie miała dostęp do systemów informacyjnych CZSW, w których jest wiele danych wrażliwych na temat tego, gdzie i kto odbywa karę, za jakie przestępstwa, za co był karany w trakcie wykonywania wyroku – mówi jeden z pracowników CZSW, proszący o anonimowość ze względu na potencjalne kłopoty grożące za rozmawianie z mediami. Jedno jest pewne: powołanie Łucji Darbah-Kopczyńskiej już dało efekty promocyjne CZSW. Pytanie, czy o takie chodziło? (JULL)*

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Sierpniowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl





Kąsanie okupantów

Moskwa to coraz bardziej niebezpieczne miejsce do życia. Mieszkańcy rosyjskiej stolicy doświadczają tego co Kijów w mikroskali, ale Ukraina coraz częściej i w coraz bardziej dotkliwy sposób przenosi wojnę na terytorium agresora. Uderzenia dronów dalekiego zasięgu zdarzają się po kilka razy w tygodniu. Nie wszystkie docierają do **Moskwy**, ale te, którym się uda, wywołują nie tylko psychologiczne wrażenie. Rosja musi się bronić w głębi swojego terytorium. Kaługa, lotnisko Wnukowo, biznesowa dzielnica drapaczy chmur, wcześniej sam Kreml, o Krymie nawet nie wspominając. Ukraińcy poczynają sobie coraz śmiej i to bez dostaw z Zachodu wojskowej broni dalekosiężnej. Wykorzystują połączenie technologicznej inwencji z sobie tylko znaną taktyką. Rosjanie wreszcie czują, jak to jest, gdy z nieba spaść może pocisk, którego nie są w stanie zestrzelić.

Kąsanie okupantów trwa też na linii frontu w Zaporozżu. Po ponad dwóch miesiącach ukraińskiej kontrofensywy wojska Kijowa dotarły do wsi Robotyne, będącej ważnym etapem na głównym – jak się zdaje – kierunku natarcia w zachodnim odcinku frontu, prowadzącym do Melitopola. Przełom to nie jest, ale postęp na pewno. Ofensywa na południu idzie wolno również dlatego, że Rosjanie nie odpuszczają na północy. Wzmogli nacisk na wschodnim brzegu

rzeki Oskoł i próbują zagrozić Kupiańskowi, miastu, które Ukraińcy odzyskali w ubiegłorocznej dynamicznej ofensywie jesiennej. Jednak na razie obrona trzyma się mocno – Ukraina też jest zdolna do prowadzenia operacji w kilku miejscach frontu jednocześnie.

Na tle sukcesów taktycznych pojawiają się wewnętrzne i zewnętrzne komplikacje. Prezydent Wołodymyr Zełenski podjął dramatyczną decyzję o odwołaniu szefów wszystkich regionalnych komend wojskowych odpowiedzialnych za rekrutację i mobilizację. W tle są nagłaśniane w mediach podejrzenia o korupcję, którą czystka ma wyplenić. Zwolnieni dostali od prezydenta wyraźną sugestię, że aby oczyścić się z zarzutów, powinni iść na front – spełnić obowiązek, którego za łapówki pomagali unikać. Sytuacja kadrowa wojska to niejedyny problem na horyzoncie. W czasie gdy prezydent Joe Biden prosi Kongres o dodatkowe 20 mld dol., z myślą o wsparciu Kijowa w kolejnym, wyborczym roku, według sondażu CNN ponad połowa Amerykanów sprzeciwia się dalszej pomocy Ukrainie. Waszyngton liczy, że większość klasy politycznej pozostanie przy dotychczasowym kursie, ale całkiem realny powrót Donalda Trumpa oznaczałby wielką niewiadomą.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Jak z Ekwadoru zrobić Meksyk

Centroprawicowy kandydat na prezydenta Ekwadoru **Fernando Villavicencio** wychodził właśnie z mitingu wyborczego, gdy dosięgły go kule zamachowców. Zginął na miejscu. Nie miał szans na wygraną w wyborach, ale ucieleśniał stanowcze podejście do walki z kartelami narkotykowymi, które zrobiły sobie z Ekwadoru centrum logistyczne szmuglu kokainy z Kolumbii, Peru i Boliwii do Meksyku, a następnie do Stanów Zjednoczonych. 59-letni kandydat był wcześniej dziennikarzem, opisującym m.in. działalność narkobiznesu i korupcję w strukturach władzy.

W zabójstwo zamieszany jest świat przestępczy z całego regionu. Egzekucję wykonali „cyngle” z Kolumbii (zatrzymano sześciu). Ale główna hipoteza głosi, że za zabójstwem stoi najstarszy z meksykańskich karteli narkotykowych – ten z Sinaloa.

Prowadzi on na terenie Ekwadoru, podobnie jak w rodzinnym Meksyku, rywalizację ze swoim największym konkurentem, kartelem Jalisco – Nowe Pokolenie.

Na terenie Ekwadoru obie mafie walczą o kontrolę nad portami i terytoriami, z których szmuglują kokainę na północ. Robią to rękami lokalnych gangów – Los Choneros, Los Lobos i innych. Dysponują flotą awionetek i szybkich łodzi, które docierają z ładunkiem kokainowej pasty lub gotowego białego proszku do pacyficznego wybrzeża Meksyku.

Walka meksykańskich mafii za pośrednictwem miejscowych subkarteli odmieniła w ostatnich latach życie względnie spokojnego Ekwadoru. Liczba zabójstw na 100 tys. mieszkańców jest tam obecnie większa niż w Meksyku (40 v. 25). Państwo



traci kontrolę nad częściami swojego terytorium. Nielegalne pieniądze korumpują i stają się częścią politycznego krwiobiegu kraju.

Kończący krótkie rządy prezydent Guillermo Lasso ogłosił stan wyjątkowy, ale wybory w najbliższą niedzielę (20 sierpnia) odbędą się i tak. Lasso rządził tylko dwa lata – jego decyzje paraliżował parlament, w którym większość miała koalicja sympatyków byłego lewicującego prezydenta Rafaela Correi. Oskarżała Lassa o malwersacje i była o krok od usunięcia go z urzędu. Lasso zemścił się rozwiązaniem parlamentu i ogłoszeniem nowych wyborów, także prezydenckich. Zastrzelony miał być jego politycznym sukcesorem, ale największe szanse na wygraną od początku miała kandydatka lewicującego sojuszu Luisa González.

Pułkownik Barbie

Film „Barbie”, kinowy szlagier tego lata, jest wyzwaniem dla władz z Bliskiego Wschodu. Od zalewu różu będą izolowani widzowie w Kuwejcie. Ma to ich chronić przed „ideami i przekonaniami” sprzecznymi z wartościami ultrakonserwatywnej monarchii, gdzie nie ma miejsca na „promowanie homoseksualizmu i transformacji seksualnej”. A w filmie występują osoby homoseksualne i transpłciowe. Stąd zakaz zapowiedział też minister kultury Libanu, czyli kraju dotąd przychylnego społeczności LGBT, jednak pograżającego się w wewnętrznym sporze, w którym chrześcijańscy i muzułmańscy radykałowie coraz ostrzej walczą z postępowcami. Z drugiej strony film wyświetlają kina w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Katarze, Bahrajnie, a nawet w Arabii Saudyjskiej, co tłumaczy się nadzieją na większe dochody z rozrywki oraz turystyki.

Także wschód Azji ma kłopot z „Barbie”. Chodzi o mapę świata i przerywaną linię u wybrzeży Chin. W Wietnamie dopatrzone się tam fragmentu tzw. linii dziewięciu kresek bądź linii krowiego języka, która od lat 40. XX w., wbrew prawu międzynarodowemu i kosztom sąsiadów, wyznacza zasięg roszczeń terytorialnych ChRL na Morzu Południowochińskim. Producent usprawiedliwia się, że chodzi o dziecięcy rysunek, a startujące z Chin kreski są oznaczeniem szlaku, którym główna bohaterka podróżuje ze swojej krainy do świata rzeczywistego. Filipiny też mają problem z mapą, ale wydały zgodę na dystrybucję pod warunkiem zamazania mapy.



Zadnych wątpliwości nie ma za to grupa Republikanów z amerykańskiego Kongresu, oskarżająca producentów o próbę przypodobania się Chinom. „Barbie” ma być kolejnym dowodem na to, jak Hollywood ulega chińskim cenzorom. W Państwie Środka dochodziło już do usuwania wątków, które są wrażliwe z powodów politycznych czy obyczajowych. Pytanie, na ile Chiny mają wpływ na linię Hollywood, musi być zasadne, skoro Pentagon ogłosił, że nie udostępni swoich baz i sprzętu tym studiom filmowym, które spełniają oczekiwania chińskiej cenzury.

Chiny: sieć na godziny

Po powrocie z wakacji młodych Chińczyków czeka zmiana stylu życia. CAC, chiński państwowy regulator internetu, od 2 września wprowadza istotne ograniczenia. Dotyczyć będą limitu czasu korzystania z urządzeń mobilnych. Dla 16–18-latków 2 godziny dziennie, dla 8–16-latków – godzina, a dla młodszych 8 minut. Przy korzystaniu ze smartfonów wprowadzony zostanie „tryb młodzieżowy”. Do ograniczeń czasowych dochodzi cisza nocna: od 22.00 do 6.00 rano bez internetu, a także – stosownie do przedziału wieku – selekcja możliwych do ściągnięcia treści.

Ma to, w uzasadnieniu władz, przeciwdziałać uzależnieniu od sieci, co psuje wzrok oraz ma istotny wpływ na psychikę, a także, co może najważniejsze – na poglądy. Istotny tutaj jest model rodziny: wielu Chińczyków w poszukiwaniu pracy wyjechało do miast, zostawiając dzieci pod opieką dziadków. Socjologowie alarmują, że więź ze smartfonem zastępuje rodziców. Teraz w kontroli rodzicielskiej ma wesprzeć państwo i blokady. Ciężar wprowadzenia tych zmian spadnie na producentów sprzętu, dostawców internetu oraz aplikacji. Na wieść o szykowanych zmianach ich akcje mocno spadły.

Czy ograniczenia zadziałają w praktyce? Czy smartfonowy nałóg nie okaże się silniejszy? Podobne wprowadzono wcześniej

na rynku gier komputerowych (teraz młodzi mogą grać tylko do trzech godzin tygodniowo) i okazały się zadziwiająco skuteczne. Polecenia władz w Chinach się respektuje. Co najwyżej, mówią analitycy branży, na wszelki wypadek operatorzy w ogóle nie będą dostarczali internetu nieletnim. Trzeba wziąć pod uwagę, że każdy obiorca znany jest tutaj imiennie, i systematycznie rośnie poziom inwigilacji w sieci. Rośnie zatem też ryzyko w przypadku złamania zasad. Według badań kanadyjskiego McGill University, przeprowadzonych w 24 krajach, chińska młodzież przoduje w kategorii „problematiczne użycie internetu”, po Malezji i Arabii Saudyjskiej. Jeszcze niejedno ograniczenie ją czeka.



Wstyd narodowy

Prezydent Yoon Suk-yeol przerwał urlop, premier Han Duck-soo zwołał pilne posiedzenie gabinetu i uruchomił rezerwę budżetową. Wszystko to z powodu kłopotów z odbywającym się w Korei Południowej Światowym Zlotem Skautów, który co cztery lata wędruje po świecie, a teraz na wielkim polu namiotowym w koreańskim Saemangeum zgromadził 45 tys. młodzieży ze 155 krajów (wśród nich 500 Polaków). Przede wszystkim zawiniła aura: upały sięgające 40 st., rekordowa wilgotność oraz topografia miejsca: puste tereny bez zieleni, na których niedawno była powódź, a teraz jest plaga komarów. Niewątpliwie zabrakło też organizatorom wyobraźni: skaut jest „zawsze gotów!”, ale nie na takie warunki: koedukacyjne latryny, półprzezroczyste prysznice, dziwne jedzenie, niedostatki wody i przede wszystkim opieki medycznej, kiedy ruszyła fala udarów i dolegliwości pokarmowych. Szybko atmosfera *jamboree* zamieniła się w ponury *survival*.

Pierwsi, po czterech dniach, poddali się młodzi Brytyjczycy, z oczynny skautingu, najliczniejsza delegacja. 4,5 tys. osób zostało wywiezionych do hoteli w Seulu, później 1,5 tys. Amerykanów ewakuowano do jednej z ich baz wojskowych. Po cichu zaczęły wynosić się też inne delegacje. Wtedy światowa organizacja skautingu postawiła organizatorom ultimatum i zagroziła zwinieniem obozowiska. Ruszyła centralna akcja ratunkowa: ciężarówka z zimną wodą, nawiewy i chłodzone tunele, nowe toalety i prysznice, nowy kucharz, szpital polowy. Atmosfera się poprawiła, ale wtedy znad Okinawy nadszedł groźny tajfun Khanun i zapadła decyzja o ewakuacji. Zmobilizowano 971 autokarów i wywieziono 37 tys. skautów do Seulu i okolic. Ale klimat już nie powrócił i nie uratował go pożegnalny koncert K-pop.

Wszystkie te perypetie nie schodziły przez dwa tygodnie z czołówek koreańskich mediów i ogólna ocena była taka, że to jednak „wstyd narodowy”. Przy okazji wyszły na jaw przekręty lokalnych władz, informacje o nadużyciach seksualnych na obozowisku, które zostały zlekceważone, a na koniec doszła wiadomość, że 70 osób zaraziło się covidem. Te wydarzenia na długo zapiszą się w ponadstuletnich annałach skautowskich zlotów.

Za cztery lata, aż strach pomyśleć, gospodarzem będzie Polska. O polskich harcerzach czytaj na s. 29

Władza trzyma nas za dane

Państwo wie o nas prawie wszystko, a obecna władza pokazała, że nie waha się tej wiedzy użyć i nadużyć, jeśli to będzie w jej politycznym interesie.

Spełnia się orwellowska wizja Wielkiego Brata.

W

EWA SIEDLECKA

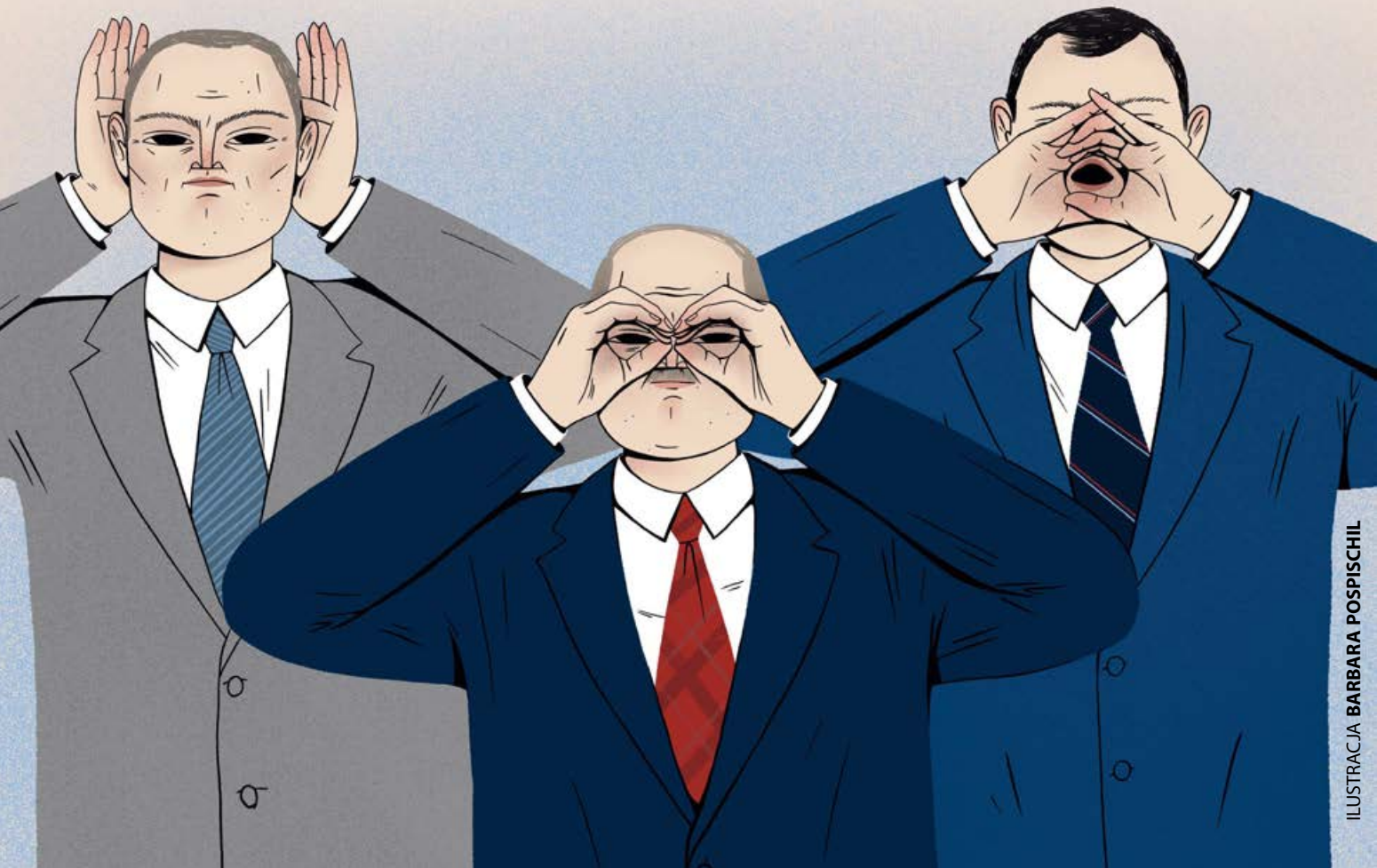
Wiele jest baz danych z informacjami, które powierzamy państwu w przekonaniu, że są niezbędne do prowadzenia polityk socjalnych, demograficznych, zdrowotnych, podatkowych, gospodarczych – czyli do dobrego rządzenia. Konstytucja

(art. 51) zakazuje władzy zbierać, gromadzić i udostępniać informacje o obywatelach „inne, niż niezbędne w demokratycznym państwie prawnym”. Co to oznacza w praktyce, ustala Trybunał Konstytucyjny i sądy administracyjne.

Do tej pory martwiliśmy się, że nasze dane mogą być wykorzystane przez komercyjne firmy, zwłaszcza wielkie korporacje internetowe: do profilowania, do kształtowania naszych poglądów

i potrzeb tak, by na tym możliwie najwięcej zarobić. Ale władza wie o nas znacznie więcej niż sieciowe algorytmy. I ma coraz doskonalsze możliwości analizy i opracowywania tych danych. Czas się bać! Pokazuje to ujawnienie przez byłego już ministra zdrowia Adama Niedzielskiego informacji o lekach, które wypisał sobie poznański lekarz Piotr Pisula.

Nagle zobaczyliśmy, że gromadzone dane – nawet te najbardziej wrażliwe, intymne – mogą być wykorzystane przeciwko nam. Kiedy półtora roku temu dowiedzieliśmy się, że władza PiS zakupiła inwigilacyjny system Pegasus i używa go przeciwko politycznym konkurentom, nie dla każdego było jasne, że to jest także nasz problem. A był: Pegasus uderzył nie tylko w prywatność polityków, lecz także w nasze prawo wyborcze,



umożliwiający władzy nieczystą grę (m.in. podsłuchiwanie sztab wyborczy PO). Władza najwyraźniej nie waha się łamać prawa ochrony danych osobowych.

Komendant główny policji Jarosław Szymczyk niedawno zaprezentował publicznie rozmowę nagraną przez pogotowie, w której podano, że pani Joanna z Krakowa leczy się psychiatrycznie i zażyła pigułkę wczesnoporonną. Pani Joanna naraziła się partii rządzącej, bo upubliczniła wstrząsającą historię, jak to policja nagabywała ją podczas pobytu na pogotowiu, a potem w gabinecie ginekologicznym. Usiłowano zabrać jej telefon komórkowy, choć nie była o nic podejrzana. Przesłuchiowano ją podczas badania lekarskiego, by wymusić wyznanie, skąd miała pigułkę wczesnoporonną. M.in. kazano jej się rozebrać i kucać. Naruszono jej godność, prywatność, i zastraszano. Komendant Szymczyk naruszył ustawę o danych osobowych (RODO), która zabrania ujawniania takich informacji, a szczególnie chroni dane wrażliwe (o zdrowiu, poglądach politycznych, wyznaniu, pochodzeniu etnicznym, orientacji seksualnej, dane genetyczne i biometryczne). Sprawa jest tym bardziej bulwersująca, że prawo w tym przypadku naruszył funkcjonariusz, którego rolą jest nas chronić przed takimi naruszeniami.

Kilka dni wcześniej prokurator generalny Zbigniew Ziobro i szef Biura Prezydenckiego Prokuratury Krajowej Tomasz Szafranski ujawnili na konferencji prasowej dane dziewczyny, która na Marszu Równości w Poznaniu padła ofiarą nacjonalistki Mariki Matuszak. Po co je ujawnili? Bo mogli: mogli mieć dostęp do takich informacji i wiedzieli, że mogą złamać prawo bezkarnie – wszak to oni decydują, kto i za co będzie ścigany.

Teraz minister Niedzielski w zemście za krytykę ujawnił dane wrażliwe lekarza. Wiele osób zdziwiło się, że minister ma dostęp do bazy IKP (Internetowe Konto Pacjenta). Bo i po co mu to? Do kształtowania polityki zdrowotnej czy bieżących decyzji wystarczyłyby dane zanonimizowane. A jednak dostęp miał. Wprawdzie w ustawie o systemie informacji w ochronie zdrowia nie ma wśród uprawnionych do zaglądania do IKP ministra, ale osoby odpowiedzialne za udostępnianie danych mogą mu przekazać informacje z tej bazy, gdy jest to „celowe”. Czyżby w tej sprawie wykonanie polecenia ministra o dostarczeniu mu danych było dla urzędnika „celowe” ze względu na dobro własnej kariery?

I tak to działa. Nie tylko w resorcie zdrowia. Np. minister sprawiedliwości jest „administratorem” danych dotyczących sędziów i spraw prowadzonych we wszystkich sądach w Polsce. Akta spraw są digitalizowane i przekazywane do tej bazy danych. Można ją przeglądać pod różnymi kątami, np. szukając, w jakich sprawach występuje pan X i w jakiej roli procesowej, albo sprawdzać referat konkretnego sędziego. Albo dowiedzieć się mnóstwa szczegółów z życia prywatnego konkretnej osoby. Albo sprawdzić grafik dyżurów aresztowych i „inwigilacyjnych” sędziów i zadbać, by wniosek o areszt czy o podsłuch trafił do odpowiedniego sędziego.

Minister osobiście nie ma dostępu do tych baz danych, ale ma podwładnych, którzy go mają. To samo np. z Rejestrem Skazanych czy ze szczegółowymi danymi o sprawcach przestępstw seksualnych. A jako prokurator generalny ma prawo zażądać akt każdej sprawy, a nawet przejąć ją do osobistego prowadzenia.

Każdy z ministrów ma swoją pulę rejestrów i baz danych. I choć to byłoby nielegalne, mogą sobie nawzajem przekazywać niezanonimizowane informacje z nich pochodzące. Tak się stało w opisanym niedawno przez „Gazetę Wyborczą” sprawie zbierania w czasie pandemii przez ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka informacji, którzy studenci i pracownicy naukowci uczelni się zaszczepili na covid, a którzy nie. Dostał te dane z Ministerstwa Zdrowia. Przeanalizowano dwie

bazy danych: prowadzony przez szefa MEiN Zintegrowany System Informacji o Szkolnictwie Wyższym i Nauce POL-on oraz Elektroniczną Platformę Gromadzenia, Analizy i Udostępnienia Zasobów Cyfrowych o Zdarzeniach Medycznych – z danymi pacjentów korzystających z publicznej służby zdrowia, prowadzoną przez ministra zdrowia. Podobno chodziło o opracowanie statystyczne, ale w zestawieniu znalazły się konkretne osoby.

Tenże minister Czarnek zezwolił też np. na zbieranie danych o poglądach uczniów w ramach projektu naukowego Młodzież 4.0: „Determinanty zachowań i zakotwiczenie postaw młodego pokolenia Polaków wobec stref ryzyka społeczno-kulturowego (...)”. To rymuje się z misją Czarnka: użycia systemu edukacji do wychowania nowego człowieka, który będzie głosował na PiS i da odpór „lewactwu”. Rok temu dowiedzieliśmy się o ankiecie w ramach tego projektu, do której wypełnienia uczniowie byli zachęceni przez ministerstwo i kuratoria. Były tam pytania o stosunek do aborcji, eutanazji, do Kościoła katolickiego, o sympatie polityczne, a także np. o to, czy „osoby homoseksualne mogą pełnić wszystkie funkcje i stanowiska publiczne?”.

Minister edukacji i nauki administruje danymi o wszystkich osobach, które są lub były w systemie edukacji: od przedszkola do skończenia studiów. W bazie są świadectwa, opinie, wyniki badań i diagnozy psychologiczne i pedagogiczne, informacje o wynikach testów na inteligencję, informacje o rodzinie, o tzw. specjalnych potrzebach edukacyjnych, np. z powodu dysleksji, ADHD, zespołu Aspergera. Gdyby połączyć to z bazą danych posiadanych przez resort pracy i opieki społecznej, ZUS, z informacjami podatkowymi, danymi z ksiąg wieczystych, resortu komunikacji, resortu zdrowia (np. rejestry chorych na określone choroby, świadczeń medycznych) – o człowieku wiadomo właściwie wszystko, od urodzenia po zgon.

A jeśli władza szczególnie się kimś zainteresuje, dochodzą dane uzyskiwane z rejestrów, które obowiązane są państwu na żądanie udostępniać różne podmioty prywatne, w tym dostawcy usług telekomunikacyjnych. Dane lokalizacyjne z telefonów komórkowych władza uzyskuje od operatorów bez żadnych pozwoleń, np. sądu. A te dane są kopalnią informacji o naszym życiu prywatnym, m.in. o tym, gdzie, kiedy i z kim byliśmy.

Podobnie jest z wiedzą o naszej aktywności w internecie. Niedawno władza, m.in. dzięki nagłośnieniu sprawy przez Fundację Panoptikon, zrezygnowała z pomysłu, by pod pozorem wdrożenia unijnej dyrektywy ustanawiającej europejski kodeks łączności elektronicznej uprawnnić Urząd Komunikacji Elektronicznej do podpinania się do sieci telekomunikacyjnych. Według tej koncepcji firmy telekomunikacyjne miały być zobowiązane do instalowania w swojej sieci urządzeń lub aplikacji przygotowanych przez UKE, służących „monitorowaniu ciągłości i jakości świadczenia usług dostępu do internetu” i zapewnić (powołanemu przez większość sejmową) prezesowi UKE dostęp do tych danych.

Zakres możliwego śledzenia nas przez władzę – bez pytania sądu o zgodę i bez naszej wiedzy – jest olbrzymi i dotyczy wszystkich. Np. w miejscach publicznych służby mogą rejestrować dźwięk i obraz dowolnie, ogranicza je tylko budżet. Ale mają prawo dostępu do setek tysięcy nagrań dokonywanych przez podmioty prywatne, a więc wizyjnie monitorowana jest cała przestrzeń publiczna, w której się poruszamy. I doskonalone są programy, dzięki którym można – analizując obraz – wyłapać konkretne osoby na obszarze całej Polski. Do tego dochodzi monitoring drogowy ARTR (Automatyczne Rozpoznawanie Tablic Rejestracyjnych), który umożliwia prześledzenie trasy każdego samochodu. A także np. monitorowanie korzystania ▶

► z komunikacji publicznej osób, które mają imienne karty miejskie.

Ten wszechobecny podgląd i podsłuch jest dziś uregulowany bardzo ogólnie: w ustawach o policji, straży miejskiej i inspekcji drogowej. I w RODO. W 2011 r. ówczesny generalny inspektor danych osobowych Wojciech Wiewiórowski (dziś inspektor unijny) sygnalizował szefowi MSW konieczność ustawowego uregulowania kwestii monitoringu. Podkreślał, że wizerunek człowieka to też dane osobowe, więc zbiory zawierające takie dane powinny być chronione prawem i podlegać rejestracji u GIODO. W grudniu 2013 r. ówczesny szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz przedstawił założenia „ustawy przeciw Wielkiemu Bratu”. Na tym się skończyło.

Informacji, które mogą zgromadzić o nas służby specjalne, jest bezmiar. Teoretycznie nie wolno im przechowywać tych, które nie mają związku z wykrywaniem i zwalczaniem przestępstw – powinny być „niezwłocznie” niszczone. Ale jedynym kontrolerem wykonania tego obowiązku są same służby. Kwerenda po pierwszych rządach PiS w latach 2005–07 ujawniła liczne przypadki łamania i nadużywania prawa inwigilacyjnego: „zarażanie” podsłuchami, wyłudzenie zgód sądu, „billingowanie” dziennikarzy, żeby poznać ich źródła informacji. I niedopełnianie obowiązku niszczenia nieprzydatnych materiałów.

Od 2016 r. zmniejszyła się raportowana co roku przez szefa MSWiA inwigilacja danych z naszych telefonów. A to dzięki zmianie sposobu raportowania: teraz nie podaje się tego, co stanowiło większość przypadków „billingowania”, czyli liczby zapytań o właściciela danego numeru. Według informacji ministra sprawiedliwości dla Senatu za zeszyły rok policja i służby pobrały łącznie 1 mln 830 tys. 528 danych (licząc z ustalaniem właściciela telefonu, byłoby ponad 3 mln). Blisko 98 proc. to dane telefoniczne, 1,2 proc. – pocztowe i 1,1 – internetowe. Sądy, które mogą – ale nie muszą – wyrętkowo kontrolować zasadność i prawidłowość już dokonanego „billingowania”, na te 1,8 mln przypadków skontrolowały 241! Żadna z kontroli nie wykryła nieprawidłowości. Z kolei oficjalne dane o liczbie podsłuchów telefonicznych i kontroli operacyjnych mówią o wnioskach do sądów dotyczących 6381 osób, z czego zgody odmówiono wobec 38.

W kwietniu dowiedzieliśmy się, że władza PiS nie waha się przed wymuszaniem współpracy operacyjnej na prywatnych podmiotach. „Gazeta Wyborcza”, na podstawie notarialnie potwierdzonego oświadczenia informatora, kierownika ds. bezpieczeństwa Polskiego Holdingu Hotelowego i pracownika MSWiA Roberta Z., napisała, że przełożeni wymuszali na prowadzących hotele tego holdingu (własność Skarbu Państwa), by informowali służby o interesujących gościach i współdziałali przy zakładaniu w ich pokojach podsłuchów. Roberta Z. namawiano, by założył nielegalny podsłuch w pokoju przewodniczącego Rady Fundacji Dialog Bartosza Kramka. Właścicielem holdingu jest Skarb Państwa, więc takie wymuszanie współpracy – gdyby miało miejsce – jest proste. Ale nie ma gwarancji, że także inne, prywatne sieci hoteli nie są nakłaniane np. do tego, by niektóre pokoje były na stałe monitorowane. PRL-bis w całej krasie.

Do tego można dodać państwowe banki, fundusze, firmy ubezpieczeniowe czy energetyczne, w których udziały ma Skarb Państwa. Teoretycznie prawo nie zezwala na udzielanie władzy

informacji o klientach, ale prezesi tych firm są na ogół nominatami i działaczami partii rządzącej.

Różne resorty mają swoje nowatorskie pomysły na poszerzenie wiedzy o nas. W 2014 r. prasa ujawniła, że MON ma wielką bazę danych genetycznych żołnierzy. Zbiera je w ramach „Programu identyfikacji genetycznej oraz profilaktyki genetycznej żołnierzy i pracowników MON”. Bez podstawy prawnej, jedynie „za zgodą” zainteresowanych. Ale dobrowolność zgody żołnierza w wojsku jest wątpliwa. W 2014 r. baza danych dotyczyła już 32 tys. osób. Gromadzone dane miały w deklaracjach – służyć identyfikacji poległych na misjach, do ścigania przestępstw, a także badać profile genetyczne pod kątem zagrożenia chorobami serca, cukrzycą i niektórymi rodzajami raka. Tymczasem do identyfikacji wystarczy DNA rodziny, a według światowych standardów, w tym europejskiej konwencji bioetycznej, można na ludziach prowadzić tylko takie badania, które mogą im przynieść korzyść. Tymczasem Agencja Oceny Technologii Medycznych oceniła, że badania DNA prowadzone przez MON nie ustalają istotnego ryzyka zachorowania na daną chorobę.

Kolejnym rejestrem niemającym uzasadnienia w kompetencjach ministra i nieniosącym pożytku dla osób, których dane są gromadzone, jest wprowadzony w ramach zmian prawnych dotyczących najbliższych wyborów centralny rejestr mężów zaufania i obserwatorów wyborów, który prowadzić ma minister cyfryzacji. Do tej pory zupełnie wystarczyło, by obserwatorzy zgłaszali się do gminy, na terenie której chcieli monitorować wybory. Teraz ich dane osobowe będzie miał z wyprzedzeniem minister informatyzacji. Po co?

Można się domyśleć, po co w zeszłym roku minister zdrowia wprowadził rejestr ciąży: poczucie bycia monitorowaną ma odstraszyć kobiety od ewentualnej aborcji. W ogóle minister zdrowia lubuje się w tworzeniu rejestrów. Gdyby przekładało się to na jakość opieki zdrowotnej, byłibyśmy już w czołówce europejskiej.

W 2014 r., na wniosek RPO, Trybunał Konstytucyjny uznał, że dostęp ministra do rejestru potencjalnych dawców szpiku (nazwiska, daty urodzenia, miejsca zamieszkania, PESEL, dane genetyczne) nie jest mu niezbędny i narusza prawo do prywatności. Trybunał w tym samym roku uznał też za naruszającą konstytucję przepis ustawy o systemie informacji w ochronie zdrowia, który umożliwia ministrowi tworzenie dowolnych rejestrów, bez określenia celu, jakiemu rejestr ma służyć.

Zbieranie danych bywa też formą represji. Minister sprawiedliwości wywalczył np. uchwalenie, by sędziowie i prokuratorzy mieli obowiązek składania nie tylko oświadczeń majątkowych, ale też publicznego podania, do jakich należą organizacji.

Procesu pozyskiwania, gromadzenia i analizowania danych o naszej prywatności nie da się odwrócić. Obecne czasy bywają nazywane infocenem, bo informacja stała się nie tylko podstawowym towarem, ale też bronią. Można jednak ten proces spowolnić i przede wszystkim niezależnie kontrolować. Musi też być społeczna i ekspercka kontrola każdej decyzji o stworzeniu kolejnego rejestru. Bo władza bywa różna. Zdarza się i taka, która wiedzę o nas traktuje jako środek do podtrzymania swoich rządów. Tworzone przepisy powinny nas chronić przed takimi zakusami. Kolejne zadanie na przyszłość.

EWA SIEDLECKA

Procesu pozyskiwania,
gromadzenia
i analizowania danych
o naszej prywatności
nie da się odwrócić.
Można jednak ten proces
spowolnić i przede
wszystkim niezależnie
kontrolować.



Nowy starej kampanii

Batalia wyborcza, która już zdążyła mocno wymęczyć partie i wyborców, właśnie się oficjalnie rozpoczęła. Czy do 15 października może się jeszcze coś wydarzyć, czy możliwe są punkty zwrotne, zmiany w sondażach, nieoczekiwane szachy i maty?

ILUSTRACJE PATRYK SROCYŃSKI

MARIUSZ JANICKI

Prezydent Andrzej Duda stwierdził kiedyś, że Polacy nie lubią długich kampanii, zapewne także dlatego mocno zwlekał z ogłoszeniem wyborów. Z korzyścią dla obozu władzy. Prekampania pozwalała na organizowanie wyborczych imprez (jak tzw. pikniki z udziałem Kaczyńskiego i Morawieckiego), jako „informujących” o zamierzeniach rządu i finansowanych poza limitem przewidzianym w regulacjach wyborczych. Teraz będzie to trudniejsze, ponieważ opozycja może takie przypadki zgłaszać do PKW z wnioskiem o ustalenie, jaki charakter ma takie wydanie i czy nie powinno być zasilane tylko

z funduszu wyborczego Zjednoczonej Prawicy. PiS za to zapewne zgłosi do PKW Campus Trzaskowskiego, choć prezydent Warszawy zapewnia, że jego impreza jest niewyborcza i politycznie neutralna – i pewnie dlatego zaproszono tam na panel grupkę publicystów – symetrystów, tak się ich oficjalnie reklamuje, którzy będą debatować o swoim symetryzmie.

Trudniej będzie też jawnie kłamać, gdyż w formalnej kampanii uruchamiana jest przyspieszona procedura rozpatrywania takich spraw, a Morawiecki był już zmuszany przez sąd do prostowania „faktów” zawartych w swoich wystąpieniach. Sprawy są rozpatrywane przez sądy w ciągu 24 godzin w postępowaniu nieprocesowym, na co przysługuje zażalenie także w czasie jednej doby, po czym najdalej

po kolejnej zapada ostateczne rozstrzygnięcie podlegające natychmiastowemu wykonaniu. Opozycja także musi się pilnować, zwłaszcza że jednym z głównych przekazów wyborczych PiS są „kłamstwa Tuska” i sztab Kaczyńskiego zapewne będzie chciał to potwierdzać w sądzie. W kręgach opozycji słychać obawy, że wielu sędziów jest już z nadania neo-KRS, więc może być różnie z orzeczeniami.

W każdym razie ten pojedynek na wytykanie sobie kłamstw może być w tym roku szczególnie zacięty. Od 30 września bezpłatnie będzie można zamieszczać w TVP materiały wyborcze, choć można sobie wyobrazić, że rządowa telewizja będzie odrzucać klipy opozycji z paragrafu, że głoszą nieprawdę albo obrażają rozmaite uczucia.

Magia list

Teraz zaczyna się faza, która mniej obchodzi wyborców, ale szczególnie partie, czyli dopinanie list kandydatów do Sejmu. Silna jest wiara polityków, że to personalia na listach decydują o wyborze tego lub innego ugrupowania, choć na zdrowy rozum najpierw wybiera się formację, a potem wskazuje konkretne nazwisko. Ale ten rytuał jest niezmienny od lat, kiedy okazuje się, że kandydat, o którym mało kto słyszał, jest w jakimś okręgu zupełnie kluczowy, a kolejność na liście – decydująca. Niełatwo dociec, po co np. PSL-owi ludzie z Porozumienia, mającego w sondażach z reguły 0 proc., a Platformie – np. była posłanka Lewicy, którą koniecznie trzeba umieścić w jednym z okręgów, bo wszystko się zawali. To niejako wewnętrzne sprawy partii – zakładów pracy. Zresztą selekcja i czelowanie list nie zapobiegają dostaniu się do Sejmu wielu przypadkowych osób, które potem sprawiają kłopoty polityczne i wizerunkowe.

Trochę inaczej jest z kandydatami do Senatu, tutaj nazwiska grają większą rolę, bo opozycyjny pakt senacki zakłada, że w każdym okręgu przeciwko politykowi PiS staje tylko jeden przedstawiciel anty-PiSu. Wymaga to od wyborców wzniesienia się ponad partyjne czy personalne sympatie, czyli np. lewicowiec ma głosować na liberała, a konserwatysta na lewicowca. Jednak podziały i animozje na opozycji po upadku koncepcji jednej listy są wyraźnie większe niż cztery lata temu. Przeniknęły w końcu do elektoratów i rozpałyły emocje. Jeśli liderzy opozycji chcą ►

► ocalić projekt, powinni poświęcić temu więcej uwagi, przekonywać swoich sympatyków, że w senackich wyborach nie ma drugiej tury i od razu trzeba głosować z rozsądku, na „mniejsze zło”. Inaczej Senat może się opozycji nieoczekiwanie wymknąć, zwłaszcza że pojawią się zapewne także inni kandydaci spoza paktu, a wyborcy PiS zagłosują tylko na swoich.

Rosyjska ruletka

Wkrótce PKW musi dostać zgłoszenia komitetów wyborczych (do końca sierpnia, główne partie już to zrobiły), a po ich rejestracji następuje zbieranie podpisów, co dla mniejszych komitetów wyborczych bywało problemem. Zwykle pojawia się także rywalizacja na liczbę podpisów zebranych przez komitety, choć liczy się tylko potrzebna kwota (minimum 105 tys., po 5 tys. w 21 okręgach, to wystarczy do zarejestrowania listy ogólnopolskiej). Jeśli podpisy zbiorą Bezpartyjni Samorządowcy i Agronomia, w wyborach weźmie udział 7 komitetów. Listy kandydatów trzeba oddać do PKW do 6 września. Dla Trzeciej Drogi, która zgłosiła wspólny komitet, już rozpoczęła się rosyjska ruletka, ryzyk-fizyk. Noc wyborcza zdecyduje o losie debutanta i najstarszej polskiej partii; niewykluczone, że także Lewicy, choć tu sytuacja wydaje się stabilniejsza.

Partyni liderzy powtarzają, że dopiero ta właściwa, rozpoczęta ostatnio kampania rozstrzygnie o wyniku wyborów, jeszcze wszystko jest możliwe. Pouczające jest jednak pewne porównanie. Na około osiem tygodni przed wyborami w 2015 r. sondaż Millward Brown dawał PiS 36 proc., Platformie – 25 proc., Lewicy 10 proc., Nowoczesnej 7 proc., Kukiz 15 – 6 proc., PSL – 4 proc., Razem – 1 proc. Od czasu tamtego pomiaru do dnia wyborów PiS zyskał wówczas (w punktach) 1,5 proc., Platforma straciła 1 proc., Kukiz zyskał 2,8 proc., Nowoczesna 0,6 proc. PSL 1,13 proc., Razem (po szarży Zandberga w telewizyjnej debacie) zarobiło 2,6 proc. Lewica zaś straciła tyle, ile zyskało Razem. Widać, jak w sumie dość niewiele już się potem zmieniło. Dzisiejsza kampania zdaje się wyjątkowa i przełomowa, ale tamta również taka była. Jest też jednak przykład z 2019 r., kiedy na kilka tygodni przed wyborami sondaże dawały PiS ponad 47 proc., a skończyły się na 43,6 proc. Jakies korekty są zatem możliwe. Na razie PiS ma – według sondaży – ok. 190 mandatów, a Platforma, Trzecia Droga i Lewica łącznie – ok. 210. Reszta to Konfederacja. Do większości sejmowej antyPiSu potrzeba: spadku Konfederacji do ok. 10 proc., wzrostu Trzeciej Drogi do ok. 13–14 proc.

i zwyki Platformy do 30–32 proc. oraz nowo-towań PiS w dzisiejszych granicach. Jest jeszcze czas na jakiś punkt zwrotny, ale już chyba tylko na jeden.

Gdyby wybory odbyły się w grudniu zeszłego roku, opozycja miałaby definitywnie wygrane wybory, jej przewaga rosła przez cały 2022 r., momentami prawie do większości pozwalającej odrzucać prezydenckie weta, i nagle trend się załamał, choć nic aż tak znaczącego w tym czasie się nie wydarzyło. Koniec zimy, która okazała się lekka, czy upadek projektu jednej listy nie tłumaczy aż takiej zmiany, także wzrostu Konfederacji. Po raz kolejny okazało się, że decydują nastroje, emocje, podskórne procesy, których politycy nie kontrolują. Decyduje to, w czasie czyjej fali wypada akurat dzień wyborów.

Deklaracje i okoliczności

W efekcie, z dużym prawdopodobieństwem, jesienią nie nastąpi wiążące wyborcze rozstrzygnięcie. Politycy Konfederacji wprost mówią o tym, że już szykują się na następne wybory. Sławomir Mentzen publicznie wygłasza deklarację, że Konfederacja nie zawrze po wyborach sojuszu ani z PiS, ani z Platformą. Wydawałoby się, że trudno z takich zapewnień się potem wycofać. Ale nie ma tu żadnej gwarancji, polska polityka nie takie rzeczy widziała. Jarosław Kaczyński zarzekał się, że nigdy nie wejdzie w alians z Samoobroną, a zrobił to. Więcej, po pierwszym wyrzuceniu Leppera z rządu w 2007 r., jeszcze mocniej przekonywał, że już „nigdy”, po czym go znowu wzięto do spółki. Bo w polityce są „okoliczności”, które zmieniają wszystko. A w niestabilnych czasach, z wojną za ścianą, politycznych i moralnych tłumaczeń może być obfitość.

Jest zatem pytanie, o co toczy się dzisiaj realna rozgrywka, na dwa miesiące przed dniem wyborów. W większości sondaży i przeliczeń na sejmowe mandaty PiS razem z całą Konfederacją ma bezpieczną większość w Sejmie. Platforma wraz z Trzecią Drogą i Konfederacją, a bez Lewicy, także ma taką większość. Politycy PiS z uznaniem i nadzieją wyrażają się zwłaszcza o Ruchu Narodowym Bosaka, o grupie Mentzena ze znacznie mniejszym entuzjazmem, o ekipie Brauna mówią jeszcze mniej, ale zapewne w razie czego, i braunowcy „się nadadzą”. Jednak według dzisiejszych sondaży, ludzi Bosaka, których może być w Sejmie ok. 20–25, nawet wraz z szóstką spod znaku „Szcześć Boże” raczej nie wystarczy PiS do rządowej większości. Z drugiej strony Platformie i Trzeciej Drodze mogłoby nie wystarczyć ciche poparcie samych posłów Nowej Nadziei

Mentzena, których może być w Sejmie, według dzisiejszych szacunków, 25–28. Dlatego trwa polityczny pat, oczekiwanie na nowy punkt zwrotny, co budzi, zwłaszcza w Kaczyńskim, rosnącą i widoczną irytację. PiS ma wciąż za mało w sondażach, aby wystarczyło „dokupić” posłów Konfederacji, szykują się ewentualne negocjacje z całą Konfą, a to przypomni Kaczyńskiemu koszmar z lat 2005–07, z paktami stabilizacyjnymi, Lepperem i Giertychem.

Romantycy i pragmatycy

Na opozycji zaś widać ostatnio starcie „romantyków” z „pragmatykami”. Ci pierwsi bardzo źle reagują na rozważania, które biorą pod uwagę nieosiągnięcie przez demokratyczną opozycję sejmowej większości. Traktują to jako przejaw defetyzmu, demobilizacji, godzenia w entuzjazm wywołany marszem 4 czerwca. Mówią, że trzeba wierzyć w zwycięstwo i pokonanie zła. Pragmatycy zaś już teraz dostrzegają trudną sytuację opozycji, prognozują brak większości. Zastanawiają się, jak to może praktycznie wyglądać po wyborach, i proponują osławianie się z możliwymi wariantami.

W tych rozważaniach pojawia się pytanie, jak daleko sięga deklarowane publicznie przez Tuska zobowiązanie, że PiS będzie pokonany i straci władzę. Czy obejmuje ono tylko wyznik wyborczy, który w wersji niekorzystnej stanie się dla lidera PO alibi do zajęcia miejsc w ławach opozycji? Czy też deklaracja o likwidacji rządów PiS zakłada również ciąg dalszy po wyborach, czyli zawieranie nawet ryzykownych porozumień, aby odsunąć Kaczyńskiego, Morawieckiego, Ziobrę czy Kamińskiego – od biurek, publicznych pieniędzy, prokuratury, służb, spółek i telewizji. Pragmatycy liczą na to, że Tusk nie spocznie po dniu wyborów i pociągnie swoją misję dalej, aby odspawać PiS od rządu, choćby tylko do kolejnej, nieodległej wyborczej próby na czas.

W ostatniej fazie, czyli w kampanii formalnej, jawią się jeszcze trzy istotne momenty. Pierwszy, który ma nastąpić w okolicy początku września, to prezentacja programu PiS „na osiem lat” oraz – zapewne w miarę równoległe – pokazanie całościowego programu przez Platformę. Trzeci moment to zapowiedziany przez Tuska marsz 1 października, pełniący rolę ostatniego dopalacza. Programy będą pokazywane przez Lewicę, Trzecią Drogi i Konfederację. Będą telewizyjne debaty, ale bez udziału Tuska, Kaczyńskiego i Morawieckiego, przyjdą rozmaici zastępcy, choć nie można zupełnie wykluczyć niespodzianek.

Istotnym elementem będzie kampania wokół referendum, w którym PiS planuje konfrontacyjne, tendencyjne pytania („czy popierasz wyprzedzając przedsięwzięcia państwowych?”). Pojawi się jeszcze 1 września na wykorzystywanie przez obóz władzy wątków niemieckich oraz 17 września na wątki rosyjskie. A także 28 września, kiedy ma zostać otwarte z pompą (niegotowe) Muzeum Historii Polski. Niewykluczone też, jak się mówi, że w grze przed wyborami znowu pojawi się temat odbudowy Pałacu Saskiego, bo kończą się formalne procedury przed rozpoczęciem prac.

Kto zatem może jeszcze zyskać? Partia Kaczyńskiego nie ma już dużego pola manewru, jest zakładnikiem wizerunku, jaki tworzyła przez osiem lat. Będzie zatem powtarzać stare, socjalne przeboje, podbite swojskością i turbopatriotyzmem – czyli jeszcze więcej tego samego – licząc na jakąś synergii tego typu propozycji. Idą duże pieniądze na promowanie 800 plus, ma być jeszcze coś dla wsi, dla emerytów. Trwa na Nowogrodzkiej zastanawianie się nad młodzieżą i kobietami, ale nie jest jasne, czy opłaca się PiS inwestować w te segmenty elektoratu. Do wyborczych instrumentów dojdzie referendum w sprawie imigrantów, podgrzewanie nastrojów antyukraińskich i hysterii na granicy z Białorusią oraz lex Tusk. Nie widać specjalnie innych wątków, pewnie będą jakieś sytuacyjne.

Platforma ma mimo wszystko większe możliwości kreowania tematów, przynajmniej potencjalnie. Może paradoksalnie wykorzystać to, że stale jest krytykowana za „brak programu”, czyli odbić się od niskich oczekiwań. Wszyscy spodziewają się raczej ścibolenia i „braku wizji”. Tym bardziej więc wrażenie może zrobić nowatorski program Platformy, z całościową projekcją nowoczesnego, tolerancyjnego społeczeństwa, z docenieniem pracy, indywidualnego wysiłku, ale też z elementami solidaryzmu wobec tych, którzy znajdują się w najtrudniejszej sytuacji. To jest szansa PO, ale musi się wznieść na wyżyny swoich możliwości, zdefiniować wszystkie stereotypy, jakie o niej funkcjonują i im efektywnie zaprzeczyć.

Jaka gotowość na dogrywkę

Na starcie właściwej kampanii PiS nic na razie nie traci i nic nie zyskuje. Tusk wielkim wysiłkiem zdusił ewentualne źródła wzrostów formacji Kaczyńskiego. Sama Platforma po „smucie marcowej” odbudowała notowania, zwłaszcza po marszu 4 czerwca, ale nie może trwale przekroczyć pułapu 30 proc. Notowania Konfederacji zaś wyhamowały na poziomie ok. 12–13 proc., co jak na typowe,

sezonowe ugrupowanie protestu jest i tak dobrym wynikiem. Ale nie widać specjalnie potencjału wzrostu – kogo mieli złapać na proste hasła, raczej już złapali, choć Kukiz osiem lat temu na ostatniej prostej jeszcze zyskał. Jednak ujawniani kandydaci Konfy będą raczej przeszkadzać niż pomagać.

Lewica, która przez cztery lata gnębienia przez władzę kobiet i mniejszości seksualnych straciła w notowaniach ok. 4 pkt procentowych, ma sporo do przemyślenia – co nie działa, gdzie się podzieliła tw. naturalni sympatycy. Kolejnych wyborów w tej postaci może nie przetrzymać. Trzecia Droga stawia na „spokój i merytoryczność”, tyle że nie jest jasne, czy znajdzie się w Sejmie. A jej ewentualny brak może być dla Konfederacji argumentem, aby jednak nie robić następnych wyborów, bo taki ubytek konkurencji mógłby się nie powtórzyć. Także w tym sensie rola Polski 2050 i PSL jest dla sytuacji wyborczej krytycznie ważna.

Słychać, że partie już odkładają finansowe środki na kolejną kampanię. Trudno sobie jednak wyobrazić, czym miałyby się różnić od obecnej. Chyba tylko tym, że nie będzie już PiS u władzy, to jedyny nowy, potencjalny element. Przemysław Wipler, ważna postać u Mentzena, powiedział ostatnio w Onet.pl: „uważam, że z różnych

powodów sensowniej byłoby taktycznie dogadać się na głębokie zmiany w Polsce po tych ośmiu latach – na chwilę, na techniczne wyczyszczenie państwa – z obecną opozycją, bez lewicy”. Brzmi to dość logicznie, ale nie wiadomo, na ile jest szczerze, a na ile to polityczny marketing i jakaś gra z PiS. Dominują więc hipotezy, konkrety zaczną się po wyborach, kiedy trzeba będzie zachować żelazne nerwy i nie poddawać się zniechęceniu czy zbyt naiwnym reakcjom. Partia Kaczyńskiego może wydać się w tej kampanii kuriozalna, zmęczona, nieporadna, ale to w dużej mierze pozory. Nadal jest to piekielnie trudny dla opozycji przeciwnik, wyrachowany, niecofający się przed niczym, mający olbrzymią przewagę organizacyjną, instytucjonalną i finansową, co po wyborach także będzie bardzo istotne. Przegra ten, kto pierwszy odstawi nogę.

Może zatem nadejść czas polityki dla dorosłych, a pozbycie się obecnej władzy będzie wymagało działań niemieszanych w wymarzonej wcześniej przez antiPiS triumfalnym scenariuszu. Pytanie brzmi, czy opozycja i jej wyborcy są mentalnie gotowi na dłuższą i bardziej skomplikowaną batalię o pozbycie się rządów Kaczyńskiego?

MARIUSZ JANICKI





Petrodutki

Pytają o mięso z uboju rytualnego, targują się ze sprzedawcami, czasem wydziwiają. Mimo to górale nie mogą się już bez nich obyć. Niemal co drugi turysta w Zakopanem przyleciał z Półwyspu Arabskiego.

NORBERT FRĄTCZAK

Kocham Zakopane – deklaruje Muhammad z Dubaju. Ma 33 lata, żonę i czwórkę dzieci, które podczas rozmowy przyglądają się reporterowi POLITYKI z ciekawością. – Trzeci raz tu jestem. Za pierwszym razem przyjechałem z kolegą, rok temu zabrałem rodzinę i oni też się zakochali. Żona potakuje głową, dzieciaki – najmłodsze w wózku – dalej bacznie przyglądają się obcemu, który zaczął ich podczas spaceru po Krupówkach. – W tym roku po raz pierwszy poszliśmy w góry – przyznaje z dumą.

Sto metrów dalej parkuje dorożka. Jan, 54-letni fiakier, wiózł przed chwilą trzyosobową, ciemnoskórą rodzinę. – Nie wiem, skąd byli, co mnie to obchodzi, ważne, że zapłacili – odpowiada z pewną niechęcią. Do wożenia Arabów się przyzwyczaił, to już praktycznie połowa jego dniówki. – Nie robią problemów, czasem trochę się targują, ale ja się nie daję – nadyma się. Złego słowa na nich nie powie, ważne, że dutki się zgadzają.

– Ja tam się z nich bardzo cieszę – przyznaje właścicielka baru z lodami i goframi na zakopiańskim deptaku.

– Pieniądz zostawiają, bo lubią słodkie i się nie szczypią. A że wyglądają inaczej, to mi nie przeszkadza, dopóki zachowują się grzecznie.

Inny Arab

Tatrzańska Izba Gospodarcza szacuje, że turyści bliskowschodni to już 30–40 proc. wszystkich turystów w Zakopanem (władze miasta nie prowadzą statystyk dotyczących ruchu turystycznego). W hotelach o wysokim standardzie stanowią już nawet 80 proc. gości. W Krakowie też ich nie brakuje. Półwysep

Arabski pokochał południe Polski. Czy z wzajemnością?

Pierwsi turyści z Bliskiego Wschodu zaczęli się pojawiać w Zakopanem w 2018 r. Krótko po tym, jak linie lotnicze Emirates wspólnie z Flydubai uruchomiły bezpośrednie połączenie do Krakowa (średnia cena biletu to ok. 1,6 tys. zł w obie strony).

Agata Wojtowicz, prezes Tatrzańskiej Izby Gospodarczej, pamięta, że mówiło się wtedy o jednym turyście z Dubaju prowadzącym agencję turystyczną – krakowscy

Oni zresztą też go potrzebowali, żeby dostrzec się do naszych zasad.

– *Ci dzisiejsi Arabowie są kompletnie inni niż ci, którzy odwiedzali nas jeszcze trzy lata temu* – macha ręką recepcjonistka w pensjonacie w okolicy góry Krokiew. Zapytana, co to znaczy, chwilę szuka odpowiedniego słowa. – *Tacy bardziej zeuropeizowani są* – znajduje. – *Tamci sprzed lat byli kłótlivi, chcieli, żebyśmy wszystko do nich dostosowywali. Tylko żądali, dziwili się, jeżeli coś nie było po ich*

nakazuje zwyczaj, ale pod standardowym ubraniem. Tylko włosy przykrywałą chustą, twarze zaś mają odsonięte. Jedynie nieliczne, zazwyczaj te starsze, zakrywają twarz maseczką albo szalem.

– *Tak jak mówiłam, są kompletnie inni i nie można już na nich narzekać* – recepcjonistka znów macha ręką. – *No i da się na nich zarobić, bo pokoje biorą na co najmniej tydzień, a nie – jak Polacy – na trzy, cztery dni. Koleżanki, które pracują w drogich hotelach przy Krupówkach, mówią,*



znajomi wzięli go na krótką wycieczkę do Zakopanego, w którym się zakochał. – *Polecał nas znajomym, a oni przyjeżdżali i polecali kolejnym. Właśnie to stało się kołem zamachowym turystyki między Półwyspem Arabskim a Tatrami* – stwierdza Wojtowicz.

Przed pandemią Kraków i Zakopane odwiedzały tylko arabskie rodziny, małżeństwa z dziećmi. Ale jakiś czas temu zaczęły się pojawiać grupy młodych bezdzietnych, którzy także chcieli zasmakować w popularnym kierunku. – *Niektórzy z nich wrócili w tym roku do nas już z rodzinami* – zauważa pani prezes.

Nie wszyscy turyści z Bliskiego Wschodu przylatują bezpośrednio do Krakowa. Na ulicach widuje się wiele wypożyczonych aut z czeskimi lub austriackimi rejestracjami, prowadzonych przez ciemnoskórych mężczyzn. Widać, że Zakopane stało się miejscem obowiązkowym na europejskiej mapie turystycznej Półwyspu Arabskiego.

Lokalny biznes dziś się z tego cieszy, ale niektórzy potrzebowali nieco czasu, żeby przyzwyczaić się do nietypowych gości.

myśli, a później przychodzili z pretensjami. To raz. Dwa: zostawiali niemożliwy chlew – śmieci wyrzucali przed pensjonat, nie do śmietników, tylko po prostu za drzewa. Ręczniki – kompletnie upakowane w nie wiadomo czym – tak samo.

– *Dziś tak nie robią?*

– *Nie, pod względem czystości w ogóle nie różnią się od innych gości. Może poza tym, że zawsze zostawiają zalane łazienki, bo przecież nie podcierają się po skorzystaniu z toalety, tylko do podmywania używają takich specjalnych węży przywiezionych przez siebie, które najwidoczniej powodują jakieś efekty uboczne. Ale to pikus, można się do tego przyzwyczaić* – opowiada kobieta.

Zmianą u turystów z Bliskiego Wschodu, która zrobiła na niej największe wrażenie, jest wygląd kobiet. – *Na początku prawie każda miała na sobie burkę. Mówiliśmy na nie skrzynki pocztowe, bo tylko oczy miały odsonięte i wyglądały, jakby patrzyły z wnętrza takiej skrzynki* – uśmiecha się kobieta. Dzisiaj turystka w burce to rzadkość. Dorosłe kobiety, owszem, zakrywają ciało, bo tak

że mężczyźni czasami wynajmują wiele pokoi, bo przywożą kilka żon. Ale to pewnie tylko bogacze, ci nasi nie wyglądają, jakby stać ich było na utrzymanie kilku kobiet – dodaje.

Turystyka klimatyczna

Wielu polskich turystów, z którymi rozmawialiśmy na Krupówkach, uważało, że Arabowie przyjeżdżają do Zakopanego, bo tu jest dla nich tanio. Tymczasem ci z Bliskiego Wschodu tłumaczyli, że to nieprawda. – *Ceny podobne do naszych, może nawet trochę wyższe* – mówi reporterowi POLITYKI ok. 30-letni mężczyzna z Kuwejtu (nie chce podawać imienia, prosi też, żeby nie zaczepiać jego żony). Muhammad także uważa, że ceny nie różnią się specjalnie od tych w Dubaju, dostrzegł również, że w poprzednich latach było w Polsce nieco taniej.

Agata Wojtowicz wyjaśnia, że turyści z Bliskiego Wschodu wcale nie są jednorodną grupą. – *Wśród nich są zamożni, rezerwujący miejsca w wysokostandartowych hotelach w centrum miasta, ale też tacy z – tak to nazwijmy – arabskiej* ▶

► *klasy średniej, którzy wybierają apartamenty i mieszkania o niższym standardzie.*

Wracając do Muhammada i jego rodziny, hotel – jak większość turystów z Półwyspu Arabskiego – znaleźli na własną rękę przez aplikację Booking. Do Krakowa dolecieli samolotem, później do Zakopanego pojechali taxibusem. W przyszłym roku też przyjadą, kto wie, może większą grupą.

W Tatrach najbardziej podoba im się pogoda. Nad Krupówkami zbierają się chmury, zanoszą się na deszcz. Turyści z Bliskiego Wschodu są prawdopodobnie jedynymi, którzy się z niego cieszą. – *U nas tego prawie nie ma. Do tego drzewa, trawa, kwiaty. I można iść na spacer, bo jest chłodno. W Dubaju jest teraz ze czterdzieści parę stopni* – uśmiecha się mężczyzna, a jego żona znowu potakuje głową nakrytą chustą.

Agata Wojtowicz rozmawiała już z wieloma arabskimi turystami i niemal wszyscy mówili jej, że w Zakopanem najbardziej urzeka ich wszechobecna zieleń, klimat i powietrze. – *Z początku zastanawiałam się, dlaczego akurat powietrze, na które sami często narzekamy, że jest zanieczyszczone. Ale po kilku rozmowach zrozumiałam, że dla ludzi, którzy na co dzień żyją w prawie 60 st. C i przemieszczają się z jednego klimatyzowanego pomieszczenia do drugiego, nasze powietrze jest zbawienne. Wreszcie mogą wyjść na dwór, spacerować i spokojnie oddychać* – tłumaczy prezes Tatrzańskiej Izby Gospodarczej, która kilka dni temu miała taką grupkę i wszyscy, jak jeden mąż, z telefonami w rękach fotografowali kwiaty na rabatce.

Halal?

Spacerowanie to główne zajęcie turystów ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich czy Kuwejtu. Nie interesują się lokalną kulturą, nie chodzą po muzeach, dopiero w tym roku można ich spotkać w niewielkich dolinach, kolejce na Kasprowy czy na spływach Dunajcem. Zaglądają do sklepów z pamiątkami, ale nie interesują ich tam ciupagi czy góralskie kapelusze, ale raczej spódniczki w kwieciste wzory dla dziewczynek.

– *Najgorzej, że się targują* – mówi właścicielka jednego z takich drewnianych sklepików przy Krupówkach. – *Discount, discount, powtarzają, a jak im mówię, że no discount, to potowa z nich wychodzi obrażona. Albo wciskają do ręki banknoty, jakby to miało mnie przekonać, żeby sprzedać ze zniżką* – dodaje. Choć po chwili przyznaje, że w tym roku i tak wielu przyzwyczało się, że górale niechętnie spuszczały z ceny i po pierwszej odmowie targowania zgadzają się na pełną kwotę.

– *Mówi się, że tacy bogaci, a jak przychodzi do płacenia, to kręcą nosami. Ostatnio takich miałam: chcieli dwie parasolki, więc podają i nabijam na terminal 100 zł. A oni krzyczą: O my God!, i biorą dwie pelerynki po 10 zł sztuka.*

Zapytana o stosunek tubylców do arabskich gości sprzedawczyni odpowiada, że jej zdaniem nikt nic do nich nie ma. – *Kiedyś się na mnie obrażali i mówili, że jestem racistą, jak wypraszałam ich ze sklepu. A mnie nie przeszkadzał kolor ich skóry, tylko to, że perfumują się tak, że do końca dnia sklepu nie można wywietrzyć. I tu nie chodzi o moją wygodę, tylko zdrowie, bo jestem alergiczka, i jak ktoś wyleje na siebie całą butlę perfum, to nie mogę oddychać. Po kilku incydentach ściągłam na telefon tłumacza i pokazywałam im przygotowany tekst: klientów perfumowanych nie obsługuje. Jestem alergiczka, nie rasistka.*

Michał, 29-letni taksówkarz, śmieje się, że w Zakopanem, w odróżnieniu od innych polskich miast, to nie Arabowie wożą Polaków, tylko Polacy Arabów. – *Tak tylko mówię, nie to, żeby mi to przeszkadzało* – dodaje. – *Nie robią problemów, tylko dużo i głośno rozmawiają w swoim języku, ale jak ma się słuchawki, można to przeżyć.*

Prawdziwym hitem zakupowym wśród turystów z Bliskiego Wschodu (prócz perfum rzecz jasna) jest polski miód i krówki. Słoiki z złotawym płynem i torebki pełne cukierków są ustawiane w najbardziej widocznych miejscach na straganach, żeby skusić zagraniczną klientelę. Ale pan Marian ze sklepu z walizkami też zaciera ręce i liczy banknoty, bo w końcu jakoś trzeba te słodkości później przywieźć do siebie.

Co ciekawe, stosunkowo niewiele na Arabach zyskuje gastronomia. – *Nieczęsto do nas zachodzą, raczej wolą kawiarnie i cukiernie* – mówi kelnerka w tradycyjnej góralskiej karczmie na Krupówkach. – *Na samym początku pytają o mięso halal. Gdy odpowiadam, że nie mamy takiego, pytają, czy chociaż drób i wieprzowinę przygotowujemy na oddzielnych grillach. A później odchodzą, bo – podobnie jak inni – wszystko pieczemy na jednym ruszcie.*

Naprzeciwko jest bar z kebabem. Tutaj ciemnoskórych turystów jest już nieco więcej. – *Strasznie udyziwiają* – odpowiada dziewczyna, która dorabia tu podczas wakacji. – *Już nawet nie chodzi tu o to całe halal, ale o to, że wielu z nich nie najlepiej zna angielski, ma nietypowy akcent, za to duże wymagania. Nie chcę wyjść na rasistkę, ale wolę klienta z Polski, bo ten mówi wprost, że chce wołowinę na cienkim cieście z sosem czosnkowym i tyle. A oni już w trakcie zamówienia dyskutują ze sobą,*

co wziąć, kto nie chce ogórka, kto mało pomidora, kto dużo cebuli, a na koniec okazuje się, że wszystko pomieszali i do nas mają pretensje – tłumaczy ekspedientka.

Dla przyjezdnych lokalne jedzenie tak-że jest wyzwaniem, dlatego najczęściej kończy się na sałatce, jakiejś podstawowej pizzy czy makaronie. Albo zakupach w markecie, gdzie grupy arabskie mijają się czasami z turystami z Izraela, których także przybywa w Tatrach.

W niektórych rozmowach da się wyczuć, że zakopiańscy gospodarze trochę z musu akceptują arabskich gości, bo ci ratują im sezon. Ale krajowych turystów jest mniej z roku na rok, więc lokalsi zachowują swoje obiekcje dla siebie i uśmiechają się do nowych „chlebodawców”. Muhammad zapytany o to, jak się czuje w Polsce, odpowiada, że bardzo dobrze. – *Polacy są mili i dobrze nas traktują* – mówi krótko, bo wyraźnie chce już wrócić do spaceru, w którym mu przeszkadzono.

Hiżaby i kłobuki

Arabscy turyści upodobali sobie także Kraków, który nierzadko jest pierwszym przystankiem ich podróży po Polsce. Zwiedzają zabytki, wożą się dorożkami albo oglądają biżuterię i rękodzieło wystawione w Sukiennicach. – *Dużo ich tu spaceruje, ale z utargiem niespecjalnie można na nich liczyć* – mówi właścicielka jednego z kramów z pewną pretensją. – *Powiem tak: dużo oglądają, mało kupują.*

Podobną refleksję ma Martyna, która pracuje w sklepiku z pamiątkami niedaleko Wawelu. – *Chodzą po rynku w tę i z powrotem, czasem zajrzą do środka i nawet kupią jakąś smycę, bransoletkę albo breloczek. Na kryształ, które są naszą wizytówką, tylko patrzą. Drogi towar cieszy się zainteresowaniem zagranicznych turystów, ale z Wielkiej Brytanii czy Stanów* – tłumaczy.

Także w Krakowie da się odczuć pewien żal do Arabów, że skoro już chodzą po naszym bruku, to mogliby kupować więcej. A może właśnie szczególnie tu, bo miasto nie narzeka na malejącą liczbę turystów, także zagranicznych.

Turysta bliskowschodni w Krakowie nie rzuca się w oczy tak bardzo jak na Krupówkach. W Zakopanem też powoli wtapia się w krajobraz. Po mieście krąży plotki, że Arabowie kupują już pierwsze działki na Podhalu (prezes Tatrzańskiej Izby Gospodarczej potwierdza pewien, nieznaczny jak na razie, ruch inwestycyjny). Kto wie, jeśli trend się utrzyma, może za kilka lat będziemy mieli w Zakopanem więcej hiżabów niż kłobuków?

NORBERT FRĄTCZAK

Niewidzialna ręka

Czy powinniśmy się obawiać rosyjskiej ingerencji w polskie wybory? I na czym mogłaby ona polegać?

T

RAFAŁ KALUKIN

ak hucznej celebracji Święta Wojska Polskiego jak w tym roku do tej pory jeszcze nie było. Z widowiskową defiladą w Warszawie na pierwszym planie, ale też dziesiątkami pomniejszych pikników w całym kraju, nęcących polskim świeżo zamówionego wojskowego sprzętu oraz zapachem dymiącej grochówki z kuchni polowej. W strategii PiS na wybory kwestia bezpieczeństwa od początku jest kluczowa, a sierpniowe święto pozwala zwizualizować snutą od miesięcy opowieść o Polsce zbrojącej się po zęby, niemal już mocarstwowej.

Jest zatem w interesie PiS, żebyśmy ponownie zaczęli się bać. Przynajmniej trochę, bez popadania w paranoję „wejdą, nie wejdą”. Z rozbudzonym widmem agresji trudno byłoby utrzymać poparcie dla dalszych dostaw sprzętu dla Ukrainy, którego sami możemy za chwilę potrzebować. Ale już zagrożenia mniejszej rangi, niedotyające większości z nas bezpośrednio, ogólnie zdolne podnosić ciśnienie opinii publicznej, byłyby całkiem pożądane. Kiedy więc rozgościli się na Białorusi najemnicy z Grupy Wagnera, i to w bezpośredniej bliskości polskiej granicy, naturalna stała się pokusa, żeby to propagandowo wykorzystać w kampanii PiS.

Prawdziwego celu rosyjsko-białoruskiej operacji oczywiście nie znamy, tym swobodniejsze zrobiło się jednak pole do spekulacji. Otworzył je zresztą Łukaszenka pogrózką wyprawy wagnerowców na Warszawę i Rzeszów, co zabrzmiało niedorzecznie, ale mieszkańcom przygranicznych terenów z pewnością zrobiło się nieswojo. Temat od razu więc podchwycił premier Morawiecki, jak zawsze w takich okazjach przywdziewający połową kurtkę, a za nim włączył się cały chór propagandy PiS. Zamiast poprzestać na uspokajającym komunikacie, że sytuacja jest pod kontrolą służb granicznych i wojska, przez wiele dni podbijano stawkę opowiadaniem o wagnerowskich bestiach, które zdolne są do wszystkiego. Całe szczęście,



ILUSTRACJA BARBARA POSPISCHIL

że minister Błaszczak pozostał na posterunku, z którego mógł uroczyście ogłosić dozbrojenie granicy...

Warto oczywiście pamiętać, że Donaldowi Tuskowi w okresie premierowania też zdarzało się zagrać na polskich łękach przed Rosją. Po aneksji Krymu w 2014 r. postraszył, że polskie dzieci mogą nie pójść 1 września do szkoły. I to zapewne efekt mobilizacji wokół flagi pomógł wyraźnie już wtedy słabnącej Platformie wygrać wybory europejskie, skądinąd ostatnie przed ciągle jeszcze nieprzerwanym pasmem porażek. Tyle że tamtem rządowi, ogólnie przecież dbałym o kwestie wizerunkowe, mimo wszystko obca była propagandowa nachalność i dosadność obecnej ekipy. Po ośmiu latach pisowskich rządów mamy polityczną wolnoamerykankę i dziś każdy używa tego, co akurat ma pod ręką. Toteż Tusk bez ceregieli odbił piłeczkę dwuznaczną sugestią, że PiS „szuka pomocy u wagnerowców ze strachu przed wyborami”. Co jako przerośnięta było wręcz truizmem, ale już brane dosłownie stawało się oskarżeniem najcięższym z możliwych.

Nic dziwnego, że wszystkie propagandowe armaty zaraz przystąpiły do ostrzeliwania szefa Platformy, który ▶

► (a) „wyszydza zagrożenia stojące przed Polską”, gdyż (b) polskie bezpieczeństwo ma za nic i w razie czego (c) raz jeszcze ucieknie na dobrze płatną synekurę w Berlinie albo Brukseli, bo tam przecież siedzą (d) jego prawdziwi mocodawcy, którzy (e) Putinowi jedli z ręki i (f) chcieliby jak najprędzej wznović tę konsumpcję... I tak dalej, sekwencja jest powszechnie znana, trzeba było ją tylko uaktualnić, osadzić w nowym kontekście. Teraz to i nawet wlokący się niemiłosiernie telewizyjny „Reset”, pasjonujący już chyba tylko garstkę czytelników „Gazety Polskiej”, nabrał dodatkowych kolorów. No i wróciła po prezydenckiej korekcie komisja od rosyjskich wpływów, o której niemal wszyscy zdążyli w międzyczasie zapomnieć. Taranem kampanijnym pewnie już się nie stanie, ale może choć trochę pomóc podtrzymać opowieść o zdradzie Tuska.

W samym środku propagandowego rejwachu zdarzyło się jednak coś, co zdarzyć się nie powinno. Oto w polską przestrzeń powietrzną nagle wleciały nie niepokojone przez nikogo białoruskie śmigłowce. Po ujawnieniu tego faktu mieliśmy do czynienia z już tradycyjnym łańcuchem zaprzeczania, zdawkowego potwierdzania i mało przekonujących tłumaczeń. Kolejny raz okazało się, że władza najmocniejsza jest w przechwałkach, ale już realne kryzysy zawsze ją przerastają. Lepszego „sprawdzam” opozycja nie mogła sobie wymarzyć, toteż dosiadła tematu, który spadł jej (nomen omen) z nieba. Czasem z sensem, a czasem nie bardzo, bo ostatecznie wszystko przyćmiła szarża Radosława Sikorskiego, który zalecał strącenie białoruskich śmigłowców. Takie wypowiedzi są dla drugiej strony na wagę złota, gdyż umożliwiają wyjście z narożnika i przejście do ofensywy. Radykalizacja języka i argumentów winduje jednak temperaturę sporu w coraz to wyższe rejony.

Z tego punktu widzenia Rosjanie nawet nie muszą się posuwać do bezpośrednich ingerencji, żeby wyrzucić wpływ na wybory w Polsce. Najczęściej bowiem sami sobie fundujemy to, co postulują teoretycy wojny informacyjno-psychologicznej. Jak stwierdza pułkownik FSB i zarazem politolog Andriej Manojło, głównym jej celem jest „doprowadzenie do podziałów i polaryzacji społeczeństwa, rozerwanie go na strzępy, a następnie sprawienie, aby te fragmenty naprawdę się znienawidziły. Wówczas należy je zwrócić przeciwko sobie, inicjując walkę na samozniszczenie (...)” (cytat wzięty z raportu dr. Michała Wojnowskiego dla Warsaw Institute). Czy trzeba jednak uciekać się do kosztownych i politycznie ryzykownych operacji, skoro wystarczy pokazać grupkę ludzi w mundurach gdzieś po drugiej stronie granicy, a całej naszej klasie politycznej od razu skacze gęś i zaczyna się wzajemnie okładać?

Prawdziwych rosyjskich planów oczywiście nie znamy, a krajowi znawcy tematu nie są zgodni co do prawdopodobieństwa zewnętrznej ingerencji w przebieg wyborów. Zdaniem jednych jest ono dosyć wysokie, gdyż Polska jest krajem frontowym i do tego zaangażowanym we wsparcie Ukrainy, co z perspektywy Rosji dodaje nam geopolitycznej wagi. Do tego dochodzi argument, że niepowodzenia armii Putina na froncie coraz bardziej będą skłaniać reżim do podejmowania działań asymetrycznych, poniżej progu militarnej konfrontacji, ale za to wymierzonych w kraje NATO. Głównie w sferze propagandowej, ale też mogą to być ataki na infrastrukturę cyfrową (których już teraz nie brakuje, nie tak dawno ucierpiał wzięte na cel serwery POLITYKI), a być może nawet akty dywersji bądź terrorizmu. W pakiecie rosyjskiej wojny hybrydowej od dawna znajduje się również wpływ na procesy wyborcze, czego boleśnie doświadczyło już wiele zachodnich państw, z USA, Wielką Brytanią, Niemcami i Francją na czele.

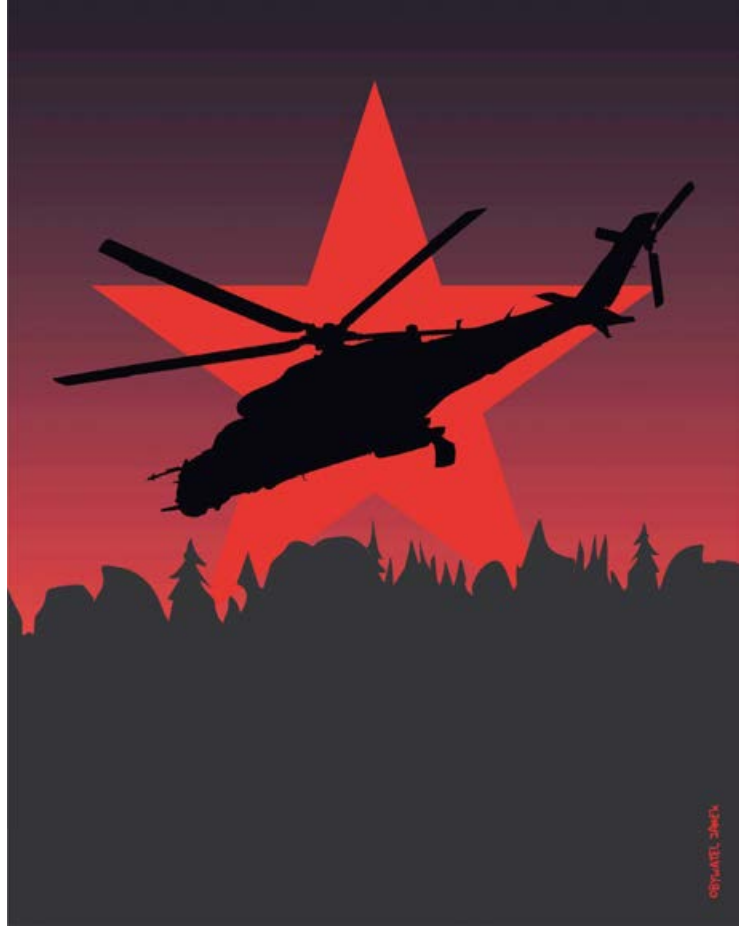
Z drugiej strony nie brak jednak opinii, że Rosjanie mają dziś zbyt wiele problemów, a Polska nie jest znowu aż tak ważna, skoro jak dotąd nie stała się przedmiotem poważniejszych operacji. W takim razie nie należy demonizować rosyjskiego chochoła, którym instrumentalnie wymachują obie strony krajowego sporu. Tyle że nawet nie znajdując się zbyt wysoko na liście rosyjskich priorytetów, mimo wszystko możemy zważyć wschodniego intruza własnymi błędami. Wszak to okazja przeważnie czyni złodzieja. A grząskich obszarów jest w tych wyborach wyjątkowo dużo.

To przede wszystkim scena polityczna trwale przeora-na głębokim podziałem. Nie trzeba jej sztucznie kreować, bo od dawna istnieje. Wystarczy umiejętnie podsycić konflikt, napuszczając na siebie obie strony pod byle pretekstem, w czym rosyjscy spece od wojny hybrydowej mają bogate doświadczenie. Nietrudno jest bowiem manipulować emocjami zacietrzonego społeczeństwa, które poluzowało sobie wspólnotowe więzy i straciło zaufanie do oficjalnych instytucji. Jak głęboko mogą sięgać tego rodzaju ingerencje, najlepiej pokazały wybory prezydenckie w USA w 2016 r., które wygrał Donald Trump. Miliony Amerykanów zostały wtedy zalane trefną reklamą polityczną w sieci, masowo kreowanymi fake newsami, wreszcie wrzutkami wykradzionych danych ze skrzynek mailowych czołowych polityków Partii Demokratycznej. Zresztą republikańskie skrzynki także zostały spenetrowane przez hakerów, chociaż tych danych akurat nie wykorzystano, co by potwierdziło, że w tamtych wyborach Rosjanie dosyć jednoznacznie obstawiali Trumpa.

Częściej jednak interesuje ich nie tyle zwycięstwo którejś ze stron, co eskalacja samego tylko napięcia, ogólny chaos, rozerwanie więzi społecznych. Konflikty można podsycić albo wręcz kreować. W kampanii 2016 r. trolle z petersburskiej farmy Węgieńija Prigożyna sprowokowały serię ulicznych wieców na drugiej półkuli pod hasłem „Stop islamizacji Teksasu”, jednocześnie mobilizując tamtejszą społeczność muzułmańską do ulicznej kontrmanifestacji. Obie grupy ochoczo zresztą zachęcane do zabrania broni palnej, chociaż na szczęście w sztucznie wywołanych zamieszkach obyło się bez ofiar. Tego rodzaju prób było zresztą więcej i za każdym razem adresowano je do grupek skrajnych, o silnych przekonaniach: z jednej strony aktywistów LGBT bądź Black Lives Matter, z drugiej – ortodoksyjnych baptystów albo konspiracjonistów z QAnon.

I zapewne nietrudno byłoby teraz napuścić na siebie ich polskie odpowiedniki, podobnie przecież zradyzalizowane, podatne na emocjonalny przekaz, feyki i teorie spiskowe. Tradycyjnie nie brakuje ich po prawej stronie: tej tradycjonalistycznej i religijnej, ciągle jeszcze najbliższej PiS, ale w jeszcze większym stopniu wśród mobilizowanych przez Konfederację antyszczepionkowych szurów, nacjonalistów, aktywnych w sieci ukrainofobów. Nie brakuje też radykałów w kręgach aktywistycznej lewicy, także w liberalnym centrum, gdzie szczególnie popularna na politycznym Twitterze jest społeczność #SilniRazem. Nie brakuje więc adresatów sztucznie generowanej toksycznej emocji, którzy wniosą ją po sieci, z czasem być może wywierając wpływ na kampanie prowadzone przez wielkie partie.

Materiał zawsze się znajdzie, prawdziwy bądź sfalszowany. W tym miejscu warto wspomnieć o wyciekach ze skrzynki Dworczyka, których sprawcy pozostają jak dotąd nieznani, chociaż tropy tradycyjnie wiodą na Wschód. Po pierwszych publikacjach polskie służby nieoficjalnie sugerowały, że wykradzionych „poufnych rozmów” mogło być dużo więcej, zaatakowano bowiem prywatne poczty ok. 300 polskich polityków ze wszystkich części



sceny, a do tego kilkanaście oficjalnych skrzynek parlamentarzystów. Tyle że nie wiadomo, ile w tym prawdy. Być może to tylko wymyślona opowieść mająca przykryć prozaiczny błąd samego Dworczyka, który – jak podpowiadało alternatywne wyjaśnienie – po prostu lekkomyślnie udostępnił hasło osobie blisko z nim współpracującej. W każdym razie dotychczasowy wyciek ograniczał się do jednej tylko skrzynki, aczkolwiek nie byłoby pewnie wielkiego zaskoczenia, gdyby w decydującej fazie kampanii pojawiły się kompromaty dotyczące innych osób. Swego czasu nagrania z Sowcy też swoje odczekały, żeby trafić na dogodny moment i wyrzucić nam scenę polityczną. A niektóre z nich podobno nawet czekają do tej pory.

Kolejnym z obszarów wrażliwych wydają się same wybory, które w państwie rozchwanianym rządami PiS już nie dają gwarancji uczciwości.

Ostatnio co prawda liderzy obu wielkich obozów rządziej epatują możliwością fałszerstwa, niemniej ziarno zostało zasiane. Zresztą wyborców opozycyjnych już same okoliczności – czytaj: ostantacyjna pogarda PiS dla reguł państwa prawa – od dawna skłaniają do przewidywania cudów nad urną. W istocie sfałszowanie wyborów to operacja tak skomplikowana, że chyba raczej niewykonalna, chociaż to akurat najmniej istotne, gdyż ewentualnego manipulatora interesuje przede wszystkim społeczna świadomość. A niszczenie zaufania do demokratycznych instytucji to przecież jeden z priorytetów w rosyjskiej doktrynie wojny nowej generacji.

Już w 2016 r. Rosjanom udało się włamać do baz wyborców w 21 amerykańskich stanach, co dało im możliwość odczytania ich, modyfikowania, usuwania danych, a nawet zniszczenia całego spisu. Do dziś nie wiadomo, dlaczego nie zrobiono z tego użytku. Podobnie było przy okazji wygranych przez Wołodymyra Zełenskigo ukraińskich wyborów w 2019 r., kiedy to rosyjscy hakerzy usiłowali przechwycić dane z systemu

informatycznego centralnej komisji wyborczej. Można tylko spekulować, na ile odporny jest nasz system. Ale już łatwiej przewidywać, że przy wyrównanych wynikach niemal każda wątpliwość co do uczciwości samego liczenia – choćby oparta została jedynie na luźnych podejrzeniach, że ktoś próbował się dostać do systemu – może się okazać ową kostką domina, która wprawia w ruch proces oddolnej delegitymizacji wyborów.

Tym bardziej że w tym roku będziemy mieli niecodzienną sytuację wynikającą ze zdublowania badań *exit poll*: na zamówienie głównych stacji telewizyjnych jak zwykle swoją prognozę zrealizuje IPSOS, ale niezależnie od tego alternatywny sondaż na bazie deklaracji zebranych przy lokalach planuje przeprowadzić w ramach oddolnej obywatelskiej inicjatywy pracownia IBSP. Pomysł wysoce ryzykowny, gdyż w razie wystąpienia w wieczór wyborczy istotnych różnic pomiędzy pomiarami może zostać rozbudzony stan społecznej podejrzliwości, który następnie będzie prowadzić do odrzucenia oficjalnie już ogłoszonych wyników. Któraś ze stron poczuje się bowiem okradziona ze zwycięstwa, co samo w sobie otwiera już bardzo niebezpieczne dla demokracji mechanizmy, a jeśli kryzys legitymizacji zacznie być sterowany przez zewnętrznych aktorów, można już mówić o zagrożeniu bezpieczeństwa państwa. Zachowując więc uzasadniony sceptycyzm wobec uczciwości zbliżających się wyborów, trzeba uważać na zewnętrzne prowokacje.

Coraz więcej zresztą wskazuje, że prawdziwe schody zasną się dopiero po wyborach.

Bo jeśli dotychczasowa dynamika polityczna nie ulegnie poważniejszej zmianie, staniemy w obliczu niemożności wyłonienia jakiegokolwiek nowej większości. Co oznacza już głęboki kryzys polityczny i ustrojowy, którym dodatkowo będzie można chybotać z zewnątrz. Nie można zresztą wykluczyć, iż większość gromadzonego obecnie na białoruskiej granicy potencjału do siania chaosu – z obozami wagnerowców oraz koczowiskami sprowadzonych z krajów Południa nielegalnych imigrantów – spokojnie sobie poczeka na wykorzystanie już po 15 października.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której elity polityczne trwają w powyborczym klinczu, nie będąc w stanie skonstruować koalicji opartej na parlamentarnej większości. Rząd Morawieckiego zgodnie z konstytucją już złożył dymisję na inauguracyjnym posiedzeniu Sejmu, nowego ciągle nie ma. W tym momencie wyrąbany zostaje szeroki kanał migracyjny, być może poprzedzony spektakularną prowokacją – wysadzeniem fragmentu granicznego muru, może nawet krótkim rajdem oddziału wagnerowców po polskiej stronie. Jak zareaguje na to państwo okresowo pozbawione legitymizowanej władzy? Kto poniesie polityczną odpowiedzialność? Czy pogłębi to problem sukcesji władzy? I komu to będzie na rękę?

Nietrudno wskazać potencjalnego beneficjenta chaosu. To oczywiście Konfederacja, o której planach wbicia klina i doprowadzenia do wyborczej dogrywki dopiero co pisaliśmy na łamach POLITYKI. A tak się składa, że pod wieloma względami to właśnie ugrupowanie – a przynajmniej część tworzących je środowisk – wydaje się w sposób świadomy albo choćby tylko kontekstowo sprzyjać niektórym rosyjskim celom. Nawet przypadkowe zbieżności powinny niepokoić, gdyż niezależnie od realnego potencjału i politycznych zdolności Konfy już sama obecność ugrupowania o takim charakterze w centrum politycznej sceny jako siły blokującej może się okazać potężnym czynnikiem destabilizacji. A to jak zaproszenie dla nieświadzialnej ręki ze Wschodu.

RAFAŁ KALUKIN



Trzeci oddech

Trochę „bad boy”, a trochę ministrant. Umie grać ostro i przegrywać wszystko przez impulsywne decyzje. Był w Sejmie, spółkach Skarbu Państwa, ale i na aucie. Teraz **Przemysław Wipler** wraca jako jedynka Konfederacji. Nowy początek czy kolejna porażka?

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

Jeszcze niedawno jedynką Konfederacji w Toruniu miał być brat Sławomira Mentzena, Tomasz. Jednak ciągnące się za nim śledztwo, w którym najcięższymi zarzutami stawianymi jego współpracownikom jest prowadzenie zorganizowanej grupy przestępczej i spowodowanie strat Skarbu Państwa na ponad 100 mln zł, zdaje się, że wyeliminowało go tym razem z gry wyborczej. Oficjalnie wycofał się „z powodów osobistych”. Jego miejsce zajął stojący dotychczas w cieniu przewodniczącego Nowej Nadziei, ale grający w partii rolę szarej eminencji, polityk ze sporym doświadczeniem – Przemysław Wipler.

Jeśli jednak, jak zapowiada Sławomir Mentzen, Konfederacja ma wywrócić polityczny stolik, to nie da się ukryć, że na jedynce swojej listy w Toruniu postawiła na kogoś, kto zna ten stolik w każdym szczególe. Wipler jest bowiem zaangażowany politycznie od wczesnej młodości.

Pracował w państwowych spółkach, zasiadał też w Sejmie. Widział przed sobą wielką karierę polityczną, ale pijacka bójka z policją i „nóż w plecy” od dawnego mentora odsunęły go na boczny tor. Teraz powraca, aby się zemścić na wszystkich tych, którzy sprawili, że przez jakiś czas musiał oglądać politykę głównie w telewizji.

Złote dziecko korwinizmu

Pochodzi z Piekar Śląskich, z rodziny górniczej, gdzie wszyscy mówili w domu po śląsku. Jednak i trochę znad morza. Kiedy bowiem jego rodzice rozwodzą się, trafia do Gdyni, gdzie kończy elitarne III LO im. Marynarki Wojennej, przez wiele lat najlepsze w rankingach w Polsce. Mocno trunkowego ojca, jak opowiada w mediach, odreagowuje pójściem w konserwatyzm. Chce mieć dużą stabilną rodzinę. I ma – piątkę dzieci. Wszystkie z tą samą żoną – co warto dodać, bo jednak nieoczywiste nawet wśród wielu deklaracyjnych konserwatystów, z Januszem Korwin-Mikkem na czele. Marzy o studiowaniu historii i filozofii,

ale to prawo daje szansę na stabilne i wysokie dochody. I kończy je na Uniwersytecie Warszawskim.

Angażuje się też politycznie. Konserwatyzm podkreśla przynależnością do Opus Dei. Celem „bożego dzieła” jest „realizacja ewangelizacyjnej misji oraz rozpowszechnianie świadomości powszechnego powołania do świętości i uświęcającej wartości codziennej pracy, tj. dobrego wypełniania obowiązków zawodowych i rodzinnych”. Te zaś Wipler chce wypełniać w jak najbardziej liberalny gospodarczo sposób. Uwielbia sztandarową pisarkę dla tego nurtu Ayn Rand i czołowego filozofa anarchoindywidualizmu Maxa Stirnera. Tą pierwszą tak bardzo, że z czasem nazwie własną firmę od jej nazwiska, Five Rand. Pisze też do głównych gazet środowiska Janusza Korwin-Mikkego, czyli „Najwyższego Czasu!” i „Stańczyka”. Współzakłada również nieformalną młodzieżówkę „korwinistów”, czyli Stowarzyszenie KoLibier. Najpierw szefuje jej warszawskiemu oddziałowi, potem całej organizacji. Z czasem zostanie też rzecznikiem „dorosłej”

części tego środowiska, czyli Unii Polityki Realnej. Pracuje w podmiotach będących thinktankową osnową partii, czyli w Centrum im. Adama Smitha i Fundacji Akcji Gospodarczej. Można powiedzieć, że staje się zawodowym korwinistą. Kiedy jednak UPR okazuje się okrętem sterowanym chaotycznie i tylko ku chwale kapitana – „pana Janusza”, postanawia zejść z pokładu i zająć się polityką na poważnie.

Syn marnotrawny

Wiąże się wówczas z PiS. Karierę robi błyskawiczną. Nie ma jeszcze trzydziestki, a już odpowiada za bezpieczeństwo energetyczne w Ministerstwie Gospodarki. Kieruje tam Departamentem Dywersyfikacji Dostaw Nośników Energii. Trafia do rad nadzorczych Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych Przyjaźń i Przedsiębiorstwa Przeładunku Paliw Płynnych Naftoport. W wyborach idzie mu gorzej. Nie zostaje radnym Warszawy w 2002 r. ani posłem w 2005 r. Dopiero w 2011 r. trafia do parlamentu. Tam jednak nie zagrzewa miejsca w ławach klubu poselskiego PiS. W połowie kadencji w czerwcu 2013 r. występuje i z niego, i z partii. Oficjalnie pomstuje na obranie przez jego ugrupowanie gospodarczo pro-socjalnego (a nie liberalnego, jak by pragnął) kursu. Nieoficjalnie media donoszą wówczas, że był to efekt niewybrania go jako kandydata PiS na funkcję prezydenta Warszawy.

Zakłada konserwatywno-liberalne Stowarzyszenie Republikanie i łączy siły z innym rozłamowcem, tym razem z PO, czyli Jarosławem Gowinem. Utworzą wspólnie nową partię – Polska Razem. Powstanie nowej inicjatywy komplikuje jednak fakt, że Wipler zalicza jeden z bardziej spektakularnych w polskiej polityce skandali medialnych. 30 października 2013 r. w nocy, przed klubem Enklawa, po suto zakrapianej imprezie, wdaje się w bójkę z policją. Media obiegają jego zdjęcie w poplamionej krwią koszuli. Ma we krwi 1,4 promila alkoholu. Trafia do izby wytrzeźwień. W lutym 2014 r. opuszcza nowe ugrupowanie. Kiedy więc nie udaje się mu wejść ponownie do politycznej ekstraklasy, postanawia wrócić do klubu, którego jest wychowankiem. Tym bardziej że zapowiada się niezły wynik w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego. W marcu jest już więc po słowie z Korwinem. Młody, agresywny, z doświadczeniem w głównonurtowej polityce, z doskonałą korwinistyczną biografią, momentalnie awansuje na numer dwa w ówczesnej partii Mikkego, czyli Kongresie Nowej Prawicy. Teraz nikt już mu nie broni startować na stanowisko

prezydenta Warszawy. KNP wystawia jego kandydaturę, a Wipler zdobywa 4,21 proc. i jest czwarty.

Partia zdobywa też w 2014 r. cztery mandaty do PE. Ten sukces to jej początek końca. Zgodnie z korwinistyczną tradycją długo nie trzeba było czekać na rozłam. Po jednej stronie staje frakcja Korwina-Wiplera-Berkowicza. Po drugiej grupa odsuniętych ze ścisłego kierownictwa przez naszego transferowicza z PiS – Stanisława Żółtka, Artura Dziambora i Jacka Wilka. Sprawy nie ułatwia sąd partyjny, który najpierw kwestionuje legalność zjazdu i wybór nowych władz, żeby po kilkunastu dniach jednak wpisać do ewidencji Wiplera, Berkowicza i Korwina jako stojących na czele zarządu. Ostatecznie 5 stycznia 2015 r. frakcja Żółtka odsuwa Korwina od władzy w KNP, pod koniec tego samego miesiąca mianuje prezesem europoła Michała Marusika. Wipler, Korwin i Berkowicz opuszczają partię i zakładają nowe ugrupowanie. Rezygnują już z wszelkich konwenansów i nazywają je po prostu: KORWiN.

Upadki i wzloty

Jednak mimo rozpadu partii przed Wiplerem rysowały się doskonałe perspektywy. Oczyszczone z wewnętrznej opozycji ugrupowanie, szykowało się do wejścia do Sejmu. Dowodził Korwin-Mikke, sekundował Wipler, rzecznikował naczelny „Najwyższego Czasu!” Tomasz Sommer. Klip wyborczy partii atakował przybywających wówczas do UE w dużej liczbie migrantów i był produkcją przypominającą bardziej film z gatunku „zombie apokalypse”, gdzie agresywne masy śniadych i czarnych wdzierają się do spokojnej Europy. Przed katastrofą zaś miał ratować nas właśnie KORWiN. Prezes jednak, swoim starym zwyczajem, odpala tak zwany protokół jeden procent. Nazywa uchodźców ludzkim śmieciem, hajluje w Parlamencie Europejskim, chwali Putina i Łukaszenkę, przyznaje się do jazdy samochodem po alkoholu – czyli jak zwykle robi wszystko, byleby do Sejmu nie wejść.

Ostatecznie partia zdobywa 4,76 proc. głosów i nikt z jej szeregów nie trafia do ław poselskich. Nic nie pomogło Wiplerowi uzyskanie ponad 17 tys. głosów. To on zostaje kozłem ofiarnym. Jako prawa ręka prezesa sterował przeciw finansami i kadrami i w zasadzie przejął władzę w partii. A zgodnie z kolejną, niepisaną, zasadą praktycznego korwinizmu prezes nie może być nigdy niczemu winny.

Ostateczny cios w plecy zadał mu sam dawny mentor. Asystent Korwin-Mikkego złożył do prokuratury doniesienie,

że Wipler defrauduje pieniądze ze zbliżonej do partii Fundacji Wolność i Nadzieja. Na wizyty w SPA, telefony komórkowe czy konsole do gier miał według mediów wyprowadzić z kasy organizacji ponad 100 tys. zł. Dodatkowo w czerwcu 2016 r. został uznany za winnego „zmuszenia przemocą funkcjonariuszy policji do zaniechania prawnej czynności służbowej przy naruszeniu ich nietykalności cielesnej, a także ich znieważenie” i skazany na sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata oraz grzywnę w wysokości 10 tys. zł, a także zobowiązany do przeproszenia pokrzywdzonych. Pogiębiony Wipler zrezygnował z funkcji prezesa Stowarzyszenia Republikanie, ogłosił zakończenie aktywności w partii KORWiN i wycofanie się z życia politycznego. Zajął się prowadzeniem swoich biznesów w branżach PR i lobbingsowej.

Nowa Nadzieja

Kto jednak sądzi, że taki aktywny przez lata polityk jak Wipler mógłby przejść na emeryturę, nie mając jeszcze czterdziestki, grubo się myli. Przez kilka lat pauzowania wyrok się zatarł i z czystym kontem i pełnią czynnych praw wyborczych ekspozel może wrócić do uprawiania polityki. Tym bardziej że nic nie wyszło z kariery naukowej. Mimo podjęcia studiów III stopnia na Uniwersytecie SWPS i przedłożenia pracy na temat komisji do spraw reprivatyzacji nieruchomości warszawskich odmówiono mu nadania stopnia doktora.

Po raz kolejny więc wrócił do korzeni i spróbował uzyskać wpływy w środowisku, z którego się politycznie wywodził. Stał się cichym doradcą jednego z pretendentów do następstwa tronu po Korwin-Mikkem, Sławomira Mentzena. Krok po kroku jego podopieczny usuwał z jego pomocą konkurencję. Poza szeregami Nowej Nadziei znaleźli się inni pretendenci do szefowania korwinistom: Artur Dziambor, Jakub Kulesza i Dobromir Sośnierz, a Konrad Berkowicz grzecznie złożył nowemu liderowi „hołd lenny”.

I tak dopełniła się także jego zemsta na Januszu Korwin-Mikkem, którego skutecznie, za pomocą Mentzena, ostatecznie wysadził z fotela prezesa. Na jesieni, jeśli potwierdzą się sondaże dające Konfederacji 13–15 proc., Wipler znajdzie się ponownie w Sejmie. Będzie mieć wówczas 45 lat. Dziś dla polityka nie jest to nawet wiek średni. W liceum Wipler marzył o tym, że zostanie premierem. Może aż tak to nie, ale w ewentualnym koalicyjnym rządzie PiS i Konfederacji na pewno mógłby liczyć na poważne stanowisko. ■



Ciąży strach

Rozmowa z ginekologiem prof. Hubertem Hurasem z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego o presji wywieranej na lekarzy i najtrudniejszych decyzjach w położnictwie.

PAWEŁ WALEWSKI: – **Czy lekarzom trzeba przypominać o tym, że nie muszą się bać ratować życia chorym?**

HUBERT HURAS: – Chciałbym wierzyć, że nie.

To dlaczego nie uratowali pani Izabeli w szpitalu w Pszczynie, Justyny w Wodzisławiu Śląskim, Doroty w Nowym Targu?

Bo w XXI w. medycyna wciąż bywa bezradna. I choć karmieni jesteśmy jej wspinałymi sukcesami, trzeba umieć znaleźć chwiejną równowagę między optymizmem a realizmem. Nawet w najlepszej klinice lub izbie porodowej może dojść do nieprzewidzianych powikłań, z którymi nie zawsze możemy sobie poradzić.

Ale przykłady, które głośnym echem odbiły się w Polsce, nie wynikały najpewniej z nieprzewidywalności przebiegu ciąży lub porodu, tylko odroczonej decyzji. Może właśnie ze strachu przed ich podjęciem?

Tak przedstawiają je media, dla których wszystko jest zero-jedynkowe. Tymczasem problemy związane z zagrożeniem ciąży są dużo bardziej skomplikowane. Ostatnie takie zdarzenie, z Nowego Targu, w które jestem włączony jako konsultant z tego regionu, nie doczekało się jeszcze rozstrzygnięcia, bo postępowanie prokuratorskie trwa. I nawet jeśli przyjąć, że doszło tam do opóźnienia w podjęciu decyzji przez lekarzy, to proszę pamiętać, że jeżeli pacjentka wpada we wstrząs septyczny w położnictwie, to czy jej ciążę zakończymy o godzinie 10, czy dwie godziny wcześniej, nie daje jeszcze szansy, że uratujemy jej życie. A z drugiej strony chcę stanowczo zaprotestować przeciwko temu, co czytałem w mediach: odejście płynu owodniowego w 20. tygodniu ciąży nie jest jednoznaczne z jej zakończeniem!

W przestrzeni publicznej zawsze ukazują się uproszczenia i emocjonalne komentarze, ale czy nie ma pan poczucia, że przyszło wam pracować w kraju z jednym z najbardziej restrykcyjnych praw określających warunki przerywania ciąży, co nie pozostaje bez wpływu na swobodę podejmowania decyzji? Może powinien pan uznać media za sojusznika w dążeniu do zmiany tej sytuacji.

Jeśli rzuca się przed milionową widownię wyssane z palca dane, że w ubiegłym roku z powodu sepsy zmarło w Polsce 14 ciężarnych kobiet, a w rzeczywistości to krwotok był główną przyczyną zgonów, proszę się nie dziwić mojej irytacji. Jestem za tym, aby zakończyć prymat polityki antyaborcyjnej nad medycyną, ale nie takimi metodami.

Co by bardziej pomogło?

W polskim prawie indukcja poronienia jest zagrożona dla lekarza karą pozbawienia wolności, więc ciąży na nas odpowiedzialność karna. I to należałoby zmienić, utrzymując w mocy – jak w innych krajach – odpowiedzialność cywilną. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r., który usunął ważną przesłankę do wykonywania takich zabiegów, jaką są wady płodu, dużo więcej lekarzy bierze pod uwagę ryzyko, że będzie trzeba tłumaczyć się przed prokuratorem.

Pan też się tego obawia?

W mojej klinice terminujemy ciężę, gdy trzeba ratować życie kobiety. Przecież prawo stanowi jednoznacznie, że w przypadku zagrożenia życia i zdrowia ciężarnej możemy ciężę na każdym jej etapie zakończyć, nawet jeśli płód jest żywy. Po 22/23 tygodniu ma on szanse przeżycia poza organizmem matki, wcześniej niestety nie.

No właśnie, a z tym w Pszczynie i Nowym Targu był kłopot.

Również przed zaostrożeniem prawa były w Małopolsce powiatowe szpitale, które kierowały do nas pacjentki z zagrożonymi ciążami na konsultacje, ale nie mieliśmy ich dokąd odesłać, bo placówki te deklarowały, że mimo wskazań i tak nie przeprowadzą terminacji. Co było niezgodne z prawem, bo podpisały kontrakt z NFZ na pełny wachlarz zabiegów. I zdarzały się sytuacje, że z tego samego powodu „przekazywano” nam kobiety z sąsiednich województw, a tymczasem prawo stanowi, że powinny mieć zagwarantowaną w swoim regionie możliwość zakończenia ciąży. Może więc to nie media, tylko NFZ powinien wziąć się do kontroli takich placówek?

Co pan robił w takich sytuacjach?

Musiałem zagwarantować ciągłość opieki, czyli przeprowadzaliśmy te zabiegi w naszym szpitalu lub kierowaliśmy do tych, gdzie się im nie sprzeciwiano. Jeśli tak było przed 2020 r., to w tych samych placówkach opór utrzymuje się nadal.

Dopytywał pan o jego powody?

Przyznam, że są one dla mnie kuriozalne, choć może powinienem je zrozumieć ze względu na szersze uwarunkowania? Wcale nie polityczne, tylko miejscowe. Lekarze związani z lokalnymi społecznościami boją się ostracyzmu, bo może się roznieść, że proponują terminację ciąży, choć jest „żywa”, a przecież życie to rzecz święta. Wielu ludzi na Podhalu i Podkarpaciu, ale pewnie też w całej Polsce, nie chce zrozumieć, że decyzja o zakończeniu ciąży może współgrać z ratowaniem życia kobiety. Nie jest więc dla mnie

przypadkiem, że do powikłań, o których rozmawiamy, doszło w mniejszych miastach, gdzie nigdy wcześniej nie przerywano ciąży. Po drugie, lekarze pracują pod presją konsekwencji dyscyplinarnych, jeżeli prawdą jest, że dyrektorzy szpitali obligują ich do niewykonywania takich zabiegów. Przecież za pracę oddziału odpowiedzialny powinien być ordynator. To patologia, jeśli lekarzowi zabrania się czegoś, na co zezwalają wytyczne i prawo.

Czy pan nie ma wpływu na zmianę tej sytuacji?

Kompetencje konsultanta wojewódzkiego są minimalne. Mogę przeprowadzać szkolenia i kontrole, ale wnioski z nich są wyłącznie dla mnie, bez realnego wpływu na decyzje innych. Zastanawiam się tylko, jak można rozpocząć pracę w szpitalu na oddziale ginekologii i położnictwa ze świadomością, jaki jest wachlarz zaburzeń, które będą wymagać leczenia i odpowiedniej reakcji – a potem odmawiać ich wykonania. To nieetyczne!

Tacy lekarze powołują się na klauzulę sumienia.

Ratowanie czyjegoś życia ma bezwzględny priorytet nad osobistymi przekonaniami lekarza, jego komfortem moralnym lub psychicznym. I w sytuacji zagrożenia życia kobiety – bezpośrednio i pośrednio – klauzula sumienia nie obowiązuje! Nie ma też czegoś takiego jak instytucjonalna klauzula sumienia, a więc cała placówka medyczna nie może odmawiać wykonywania aborcji. Jeśli pojedynczy lekarz się przed nią wzbrania, to informacja o tym powinna być spisana już przy przyjęciu go do pracy, ale te zabiegi przeprowadza zespół, więc należy go skompletować z innych osób.

Lekarze z Nowego Targu w rozmowie z panem zasłaniali się taką klauzulą?

Nie było o tym mowy, ponieważ dotyczyła ona nie kwestii terminacji ciąży pani Doroty, lecz konsultacji, jakie w jej przypadku wybrałbym postępowanie. Powiedziałem,



Prof. dr hab. n. med. **Hubert Huras** jest kierownikiem Kliniki Położnictwa i Perinatologii Collegium Medicum UJ. Jako konsultant z zakresu położnictwa, ginekologii oraz perinatologii nadzoruje jakość opieki ginekologiczno-położniczej w woj. małopolskim. Ostatnio pracował w zespole powołanym przez ministra zdrowia ds. opracowania wytycznych w zakresie procedur związanych z zakończeniem ciąży.

że podjąłbym jednoznaczną decyzję, radykalną – zakończenie tej ciąży.

Może gdyby nie lęk przed takim zabiegiem, lekarze zadzwoniliby wcześniej?

Na pewno taką decyzję szybciej podejmuje ktoś, kto choć raz miał już z taką sytuacją do czynienia. W medycynie uczymy się odwagi przez praktykę. A to był Nowy Targ, nocny dyżur, mógł pracować wtedy lekarz, który wcześniej nie leczył sepsy.

Usprowadliwia pan taką postawę?

Sytuacja przy wstrząsie septycznym jest bardzo dynamiczna. Samo wycięcie okołoporodowe macicy z dzieckiem jest zabiegiem trudnym i poważnym.

Tym bardziej konsultacja mogła się przecież odbyć wcześniej i być może należało przekazać pacjentkę do Krakowa, szpitalowi z wyższym stopniem referencyjności?

O ewentualnych błędach dowiemy się z postępowania prokuratorskiego. Co do konsultacji, o których pan mówi, mam ich ostatnio mnóstwo – i jest to pochodna obecnej atmosfery, w której lekarze boją się podejmować radykalne decyzje. Odbieram telefony od ordynatorów, którzy chcieliby do kliniki przekazać ciężarną z niewielkim podwyższeniem parametrów stanu zapalnego, choć nie wskazują one na żadną nieprawidłowość. Teraz, pod presją, mniejsze ośrodki starają się odesłać pacjentki z patologią ciąży do innego szpitala, żeby mieć święty spokój.

Czy zna pan stanowisko Komitetu Bioetyki Polskiej Akademii Nauk w sprawie ochrony życia i zdrowia kobiet ciężarnych? To właściwie apel do waszego środowiska o przestrzeganie praw pacjentki i zapewnienie im bezpieczeństwa.

Bardzo szanuję ten dokument. Jest merytoryczny i powinien być wsparciem dla wszystkich, dla których kwestie związane z klauzulą sumienia nie były do tej pory oczywiste.

Dlaczego Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników (PTGiP) nie wydało tak jasnych rekomendacji wcześniej?

W czerwcu dobrze zareagowało w liście otwartym przeciwko podważaniu autorytetu i bezpodstawnym oskarżeniom, by lekarze nie czuli się zastraszeni albo niesłusznie oczerniani.

Właśnie o tym mówię: wytoczono armaty przeciwko mediom, a nie wsparto lekarzy i nie przeciwstawiono się naciskom państwa czy stowarzyszeń pro-life, które ingerują w wasze praktyki. Nie odnalazłem też ostrego sprzeciwu wobec restrykcyjnego prawa przeciwoaborcyjnego.

► Zaraz po wyroku Trybunału Konstytucyjnego PTGiP ostrzegало przed ryzykiem załamania diagnostyki prenatalnej. Teraz napisano, że rolą państwa, a nie lekarzy, jest tworzenie prawa, które powinno budować fundamenty tworzące optymalne warunki leczenia dla pacjentów i lekarzy. A lekarze są zobowiązani do przestrzegania obowiązującego prawa. Dodam od siebie, że prawo w 2020 r. narzuciło nowe warunki, kasując jedną przesłankę do zakończenia ciąży (wady płodu). Ale prawo nie zabrania przerywania jej przy zagrożeniu życia! Mam takie wskazanie, to o czym tu dyskutować?

Widocznie trzeba, skoro w stanowisku Komitetu Bioetyki PAN tak jasno wyartykułowano ten postulat: lekarz, który działa zgodnie z aktualną wiedzą i decyduje o ratowaniu życia i zdrowia ciężarnej w drodze terminacji ciąży, nie ma się czego bać. Żadnej presji politycznej!

Dlatego cieszę się, że pojawił się ten dokument, bo jeśli eksperci tak szanowanej przez nas instytucji jak PAN mówią o tym, muszą to wziąć pod uwagę nie tylko lekarze, ale też politycy oraz organizacje społeczne z kręgu tzw. pro-life, urządzające demonstracje pod naszymi szpitalami albo kierujące na lekarzy hejt. Ja to stanowisko wspieram, choć mam zastrzeżenia do punktu mówiącego o tym, że jeśli lekarz – np. z gabinetu prywatnego lub specjalistycznej poradni – wyda orzeczenie stwierdzające, że ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety, to nie może go już zakwestionować ten, który miałby dokonać przerwania ciąży. Trzeba to inaczej ująć, bo nie wyobrażam sobie, aby specjalista ze szpitala nie miał prawa głosu i jeśli widzi inne rozwiązanie, nie mógł go zaproponować. Takie kontrowersje powinno rozpatrywać konsylium.

Pomijając tę niejasność, co robi pan z tym stanowiskiem? Czy nie byłoby dobrze, aby podpisały się pod nim władze PTGiP, krajowy i wojewódzcy konsultanci, a na koniec przekazali go na wszystkie oddziały w Polsce?

Jestem za jego jak najszerzym upowszechnieniem. Choć nie mam złudzeń, że dziś trudno pracuje się w mojej specjalności przede wszystkim z powodu rozkręconej spirali roszczeń. Z jednej strony nastają na nas organizacje pro-life, z drugiej stojące po przeciwnym stronie, które oskarżają o zbytnią powściągliwość. Rodziny pacjentek, u których przytrafiły się komplikacje po porodach i zabiegach, skarżą obecnie niemal o wszystko, bo wysokość odszkodowań wzrosła i często są to kwoty kilkumilionowe.

W obronie praw ciężarnych pacjentek

Komitet Bioetyki PAN zaapelował do przedstawicieli zawodów medycznych o zapewnienie kobietom ciężarnym bezpieczeństwa zdrowotnego oraz realnego i bezzwłocznego dostępu do aborcji w sytuacji, gdy ciąża stanowi zagrożenie dla ich życia lub zdrowia. Mówi wyraźnie, że decyzja o terminacji ciąży jest dopuszczalna i nie grozi za nią odpowiedzialność karna. Apel skierowano do lekarzy, położnych i pielęgniarek oraz osób zarządzających podmiotami leczniczymi. Czytamy w nim m.in.:
Lekarz, który zamiast ratować ludzkie życie i zdrowie swoją beczynnością lub nieadekwatnym działaniem świadomie naraża pacjenta na niebezpieczeństwo śmierci lub uszczerbku na zdrowiu, postępuje rażąco nieetycznie i bezprawnie;
Lekarz ma bezwzględny obowiązek udzielać pomocy lekarskiej w każdym przypadku, gdy zwłoka w jej udzieleniu mogłaby spowodować niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia. W takich przypadkach lekarz nie ma prawa powołać się na tzw. klauzulę sumienia;
Lekarska powinność udzielenia pomocy pacjentowi w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia dotyczy wszystkich pacjentek i pacjentów, a zatem także pacjentek w ciąży.

Za przyjęciem powyższego Stanowiska były 23 osoby spośród 31 członkin i członków Komitetu (etyków, prawników, lekarzy), którzy 25 lipca wzięli udział w głosowaniu. Link do pełnej treści Stanowiska z uzasadnieniem i odwołaniami do konkretnych zapisów w ustawach: <https://bioetyka.pan.pl/images/Stanowiska/Stanowisko-kb-1-2023.pdf>

Tyle rzeczy trudno zaakceptować w opiece położniczej – począwszy od rejestru ciąż, przez 47-proc. odsetek nacinanego krocza podczas porodu, po fakt, że zaledwie 14 proc. rodzących otrzymuje znieczulenie przy porodzie naturalnym – że nie dziwię się takiemu nastawieniu.

Najłatwiej przypisać za wszystko winę lekarzom. Rejestr ciąż wprowadzili politycy. Porody fizjologiczne odbierają położne i to je trzeba szkolić, by nie było tylu nacięć krocza. Za brak znieczuleń też nie odpowiadają położnicy, tylko anestezjoloży – jeśli nie przyjmują ich do pracy dyrektorzy szpitali, to nie ma ich na salach porodowych. Nie umniejszam różnych przewin w stosunku do pacjentek, ale zaryzykuję, że prawdziwą naszą udręką nie jest dziś fakt, że obcujemy na co dzień z cierpieniem, tylko presja społeczna wynikająca z rosnącej roszczeniowości. I niezaspokojony głód wygrywania procesów i wysokich odszkodowań.

Z tego powodu w USA już skurczyła się liczba położników, bo roszczenia odstraszały przed wyborem tej specjalizacji. Ponoć statystycznie amerykański lekarz pozywany jest do sądu raz na sześć lat.

Na ścianie mojego gabinetu w klinice wisi mnóstwo podziękowań, a i tak toczy się przeciwko nam kilka spraw sądowych. Opinia publiczna nie rozumie, że aby nagły krwotok nie doprowadził do śmierci matki, trzeba czasem szybko

usunąć macicę, by uratować jej życie. Heroiczna operacja udaje się, ale kilka miesięcy później zostajemy pozwani przez rodzinę kobiety, że nie będzie mogła mieć już więcej dzieci. Nie przyjmują do wiadomości, że radykalny zabieg dał jedyną szansę, by nie wykrwawiła się na śmierć. Dlatego nasza sytuacja przypomina tę z Ameryki i mamy w Małopolsce w tej chwili na sesji jesiennej 36 wolnych miejsc specjalizacyjnych, a ci, którzy ją kończą, idą do przychodni i gabinetów ultrasonograficznych, bo nie chcą pracować pod taką presją jak ich koleżdy ze szpitali.

Deficyt lekarzy ma zostać wyrównany za kilka lat narybkiem, który będzie wykształcony nie tylko w uniwersytetach medycznych, ale w dużo mniejszych szkołach zawodowych.

Z tego będzie w położnictwie więcej problemów niż pożytku, bo ich absolwenci nie zobaczą w lokalnych szpitalach, poza klinikami, najtrudniejszych przypadków: cukrzycy ciążowej, nadciśnienia tętniczego na oddziale patologii ciąży, łożyska przodującego. Jeśli mówiłem, że zabieg przerywania ciąży może być problemem dla kogoś, kto go nigdy nie przeprowadzał, to nasili się on za kilka lat, kiedy dyplomy zaczną uzyskiwać lekarze z wyrwykową wiedzą praktyczną. A kliniki nie pomieszczą na staże specjalizacyjne tylu chętnych, którzy od tego roku otrzymają indeksy w mniejszych uczelniach.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ WALEWSKI

Czuj i czuwaj



Dla jednych harcerstwo to staromodny obciach, dla innych sposób na wyrwanie dzieci i młodzieży ze szponów cyfrowego świata i powiązanie historii z teraźniejszością. Jakie jest dziś harcerstwo?

Harcerska warta honorowa podczas uroczystości w Muzeum na Majdanku.



© WOJCIECH JARGILO/REPORTER

ZBIGNIEW BOREK

Jedni i drudzy okopali się na swoich pozycjach i chętnie punktują „przeciwnika”. Jak internauta o nicku „Człowiek który był czołgiem”, usiłujący pokazać stereotypy o harcerzach i harcerstwie w krzywym zwierciadle. Napisał więc, że każdy harcerz pije na umór. Jak mówi, że nie pije, to pije po cichu. Harcerz nie umie sobie poradzić. Jak mu pęknie sznurówka w zdzicy, nie znajdzie tysiąca sposobów zorganizowania nowej i na pewno nie ma zapasowej. Ich (harcerzy) zdolność percepcji nie przekracza poziomu wiewiórek, które pewnie żrą w tych swoich lasach. Nie potrafi sobie („harcerzyk”) złożyć nowego łóżka ze sklepu meblowego, a co dopiero wybudować go z bali. Harcerstwo to niepoważna

zabawa (jak te ich mundurki), harcerze nie chodzą na imprezy, tylko grają w jakieś dziwne gry naruszające ich godność osobistą. Tych z ZHR chłoszczą różańcem (mohery), a ci z ZHP mają wytatuowanego Lenina na kłacie (komuchy) – pisał „Człowiek który był czołgiem”.

Choć miała to być intelektualna prowokacja, oberwał już za sam tytuł („Harcerstwo to frajerstwo”), bo nie wszyscy zwolennicy harcerstwa znają się na „takich” żartach. Niezbyt przychylnie odebrali też tytułowe pytanie debaty w Pałacu Prezydenckim z czasów Bronisława Komorowskiego: „Czy harcerstwo jest dzisiaj potrzebne społeczeństwu i Państwu Polskiemu?”. Wiadomo przecież, że (zdaniem zwolenników) jest nie tylko potrzebne, ale też świetne. Tymczasem prof. Krystyna Szfranec (nieżyjąca już socjolożka młodzieży i relacji międzypokoleniowych, do tego

harcerka) mówiła wtedy, że harcerstwo „nie jest tą organizacją, którą młodzież kocha”, bo skupia tylko 1 proc. tej grupy, gdy organizacje sportowe 15 proc., czysto religijne 8 proc. Jak zauważyła, młodzi nie są temu winni: rozdarci między wzorcami rozpasanej konsumpcji i trudnościami w jej zaspokojeniu stali się indywidualistami, sami sobie wybierają wartości, a na harcerstwie oprzeć się nie mogą, „ponieważ wymaga poświęcenia i podporządkowania”.

„Czy metoda harcerska jest na tyle plastyczna i elastyczna, żeby odpowiedzieć na potrzeby młodych ludzi, którzy większość czasu spędzają przy komputerze, czyli interesują się zupełnie czymś innym niż przebywanie w naturze, wspólne uczestniczenie w różnych wydarzeniach?” – pytała dekadę temu dr Monika Figiel (współtworzyła ZHR w 1989 r.) i też jej się za to od „środowiska” oberwało. Dylemat ►

► jednak pozostał. Witold Wrzesień, prof. UAM z Zakładu Socjologii Cywilizacji: – *Harcerstwo było atrakcyjne dla ludzi młodych przed drugą wojną światową, w pewnym stopniu w PRL, ale obecnie żyjemy w świecie cyfrowych technologii.*

Mech na drzewie i GPS

Gdy prof. Wrzesień na spacerze złapała burza, schronił się w przejściu podziemnym, podobnie jak młodzian, który „stracił zasięg” i nie mógł się nigdzie dodzwonić. – *Nie potrzebowaliśmy pomocy, ale musiałem go uspokajać, bo zachowywał się, jakby dostał ataku paniki* – opowiada. I dodaje: – *Młodzi nie dzielą świata na wirtualny i realny, to dla nich wzajemnie przenikająca się rzeczywistość. Dlaczego mają się uczyć, który kierunek geograficzny wskazuje mech na drzewie, jeżeli po swoim mieście chodzą z nawigacją GPS? Skoro są tak zależni, a często uzależnieni od technologii, to jak mają pielęgnować zaradność i samodyscyplinę?*

U zarania polskiego harcerstwa takich dylematów nie było. Nowy system wychowawczy gen. Roberta Baden-Powella, zwany skautingiem, jawił się jako idealny sposób formowania młodych ludzi na żołnierzy i przyszłych obywateli odrodzonej Polski. Szybko przyswoiły go organizacje niepodległościowe, a zaborcy skorzystali, wcielając skautów do swoich armii w trakcie pierwszej wojny światowej. Skautci wstępowali też do Legionów Polskich (organizowali pomoc dla ofiar wojny, sierot, uciekinierów), bronili Lwowa (jako Orleńscy Lwowski), walczyli w powstaniu wielkopolskim i trzech śląskich, w kampanii wrzesniowej, a pod okupacją konspirowali i przelewali krew w powstaniu warszawskim (jako Szare Szeregi).

Współcześnie organizacje harcerskie ochoczo do tego nawiązują, ale ciemne karty historii zwykle zbywają milczeniem – choćby poglądy Baden-Powella, który „Mein Kampf” nazywał „cudowną książką, z dobrymi pomysłami w zakresie oświaty, zdrowia, propagandy i organizacji”, pisał też, że „gapiowaty czarnuch ze swoją beznadziejną biernością jest gorszy niż wół”.

Związek Harcerstwa Polskiego, największa organizacja polskiego skautingu, wołałaby puścić w niepamięć także część PRL, gdy wiernie służył socjalizmowi (i zbudował liczącą potęgę: w 1980 r. liczyła ponad 3 mln członków). Najchętniej zapomniałaby również o początkach III RP, gdy jego szeregi opuszczało setki tysięcy młodych ludzi, a starzy wyjadacze uwłaszczali się na harcerskich nieruchomościach.

– *ZHP to połączenie ponad 100-letniego doświadczenia z bacznym obserwowaniem*

zmieniającego się świata i odpowiadania na te zmiany – deklaruje podharcmistrzynie Olga Junkuszew, rzeczniczka ZHP. Jej zdaniem organizacja się odradza (w ostatniej dekadzie liczba członków ZHP wzrosła z 90 tys. do 106 tys.), na brak chętnych nie narzeka też Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej (przekroczył barierę 20 tys. członków), a polskie harcerstwo to także pięć innych organizacji pod protektorem prezydenta RP, kilkanaście mniejszych. Kluczowe okazuje się to, że rodzice wciąż szukają miejsca, w którym dziecko może rozwijać się w innej niż w szkole grupie rówieśniczej, próbować nowych rzeczy i zdobywać sprawności „na całe życie” (a harcerstwo z kwartalnymi składkami w wysokości kilkudziesięciu złotych i obozami za 1–2 tys. zł uchodzi za tanie).

– *Nie udajemy, że wirtualnego świata nie ma, nie próbujemy być alternatywą, raczej się z nim przenikamy. Uczymy, jak mądrze wykorzystywać nowe technologie, i sami z nich korzystamy, np. robiąc zbiórki z użyciem GPS czy kodów QR. Na obozach, gdzie telefony idą w ką, widzimy jednak, że dzieci radzą sobie lepiej, niż wyobrażają to sobie dorośli* – twierdzi Junkuszew.

Potwierdza to 12-letnia Wiktoria z 78. Kryniankiej Drużyny „Potok” pod Białymstokiem: – *Mamy zajęcia na podwórku i w terenie, znam się na kompasie, potrafie rozpałić ognie, przyszyć łatę i guzik, a komórki ucale mi nie brakuje.* Wiktoria do harcerstwa wciągnęła koleżankę, brat Wiktorii, dziewięcioletni Szymek, należy do zuchów. – *Miałam świetne wspomnienia z harcerstwa, zabrałam dzieciaki na zbiórkę i połknęły bakcyła* – opowiada ich mama Magdalena Świsłocka. Ocenia, że dzięki harcerstwu szybciej się „ogarniają” i dogadują z rówieśnikami.

Podobne preferencje mają inni rodzice: 28 proc. chciałoby, żeby w harcerstwie ich dziecko aktywnie spędzało czas oraz rozwijało samodzielność, po 26 proc. deklarowało, że najważniejsze jest zawieranie znajomości i rozwój poczucia odpowiedzialności. Tak wynika z badania z 2020 r. „Wizerunek ZHP wśród rodziców” (projekt Harcerskiego Instytutu Badawczego ZHP i pracowni Kantar objął 1056 respondentów w wieku od 18 do 50 lat posiadających dzieci). Harcerstwo kojarzy im się głównie z wychowaniem (29,6 proc.) i działalnością społeczną (27,8 proc.), rzadziej z kształtowaniem charakteru (14,5 proc.), aspektem paramilitarnym (7 proc.), dbaniem o wartości patriotyczne i tradycję (5,8 proc.). Cenią mundury (65,8 proc.), ale jako symbol, nie instrument drylu. Tylko 12,5 proc. rodziców oczekuje od harcerstwa wpajania ich

systemu wartości, 55 proc. chciałoby nauki otwartości na różne religie.

Osoby należące do harcerstwa mają wyższe poczucie własnej skuteczności, nie boją się wyzwań, chętniej rozwiązują problemy, niż ich unikają – tego dowodzi w (tegorocznej) pracy magisterskiej Weronika Własak z Uniwersytetu Szczecińskiego, instruktorka z 17-letnim stażem w ZHP. Przeanalizowała opinie niemal 700 harcerek i harcerzy.

– *Zdarza się, że komuś jest trudno. Jedna mała harcerka tęskniła na obozie za rodzicami, łóżko nie było wygodne jak w domu, wokół latały komary, myć się trzeba było w misce. Drużynowa i rodzice podjęli decyzję, że harcerka opuści obóz, ale ta sama dziewczynka po roku aktywności w drużynie zgłosiła się na kolejny jako pierusza i była na nim jedną z dzielniejszych* – opowiada Anna Malinowska, szefowa wydziału komunikacji ZHR (staż w organizacji: 27 lat). Jej zdaniem harcerstwo kształci też kompetencje leaderskie, komunikacyjne i umiejętność pracy w grupie, a tego właśnie często brakuje absolwentom polskich szkół, pracodawcy zwracają więc uwagę na harcerskie doświadczenie odnotowane w CV. Do przeszłości w mundurku chętnie przyznają się Bronisław Komorowski i Andrzej Duda, w USA wielu od Franklina D. Roosevelta po Baracka Obamę, a także globalne gwiazdy, jak Harrison Ford, Mariah Carey czy David Beckham.

Organizacje harcerskie mają więc silną legitymację, żeby pracować z dziećmi i młodzieżą. – *Powinny ich jednak akceptować takimi, jakie są, a nie lepić na własną modłę* – zauważa Klaudia (imię zmienione), biseksualistka i była drużynowa ZHR.

Z Bogiem i bez

Klaudia należała do ZHR kilkanaście lat, nie przyznawała się jednak do swojej orientacji seksualnej, bo „organizacja traktowała to jak chorobę”. – *O antykoncepcji czy seksie też się z młodzieżą nie rozmawiało, jeśli już, to na szkoleniach instruktorskich dla dorosłych i w świetle katolickich nakazów i zakazów* – mówi.

Z Bogiem czy bez Boga? – głóWKują obie główne organizacje harcerskie od przełomu ustrojowego. ZHR (rozpoczął wtedy oficjalną działalność) najpierw uchwalił statut z dwiema rotami, ale tę bez Boga po roku usunął i tak jest do dziś. ZHP (odcinał się właśnie od minionej epoki) przywrócił tradycyjne przyrzeczenie ze „służbą Bogu, Polsce i bliźnim”, ale dopuścił alternatywne („dążyć do Prawdy i Sprawiedliwości”). To drugie jednak zlikwidował w 1995 r. Dopiero od zeszłego

roku w ZHP znów można wybierać: „służyć Bogu” czy tylko „stać na straży harcerskich zasad”. Okazało się jednak, że to tylko wierzchołek góry lodowej.

Dokładnie tak zilustrowała to „Depresyjna drużynowa z różowym gwizdkiem”: na widok wierzchołka góry lodowej z napisem „rota dla ateistów” harcerz w łodzi wrzeszczy: „Co to harcerstwo się takie alternatywne zrobiło!!!”, a pod wodą tkwią: mundury unisex, niebinarność i transpłciowość. „Kiedy przyjdzie do mnie podopieczny, który zmagą się z dysfórią płciową, mam kazać założyć mu ubranie, które sprawi mu ból?” – pisze „Depresyjna drużynowa” z ZHP (10 tys. obserwujących, dewiza: „Bycie harcerzem? Sometimes maybe good, sometimes maybe shit”).



© MAREK SZYMAŃSKI/REPORTER

Zlot ZHP w Piotrkowie Trybunalskim, 1979 r.

Olga Junkuszew podkreśla, że regulamin mundurowy ZHP dopuszcza noszenie przez dziewczyny spodni i spodenek. Sama tytułuje się rzeczniczką, w obiegu są: drużynowe, komendantki, przewodniczące, naczelniczki. ZHR też nie ma kłopotów z feminatywami, regulamin dopuszcza dla harcerek połowy mundur ze spodniami (galowo tylko bluzy i spódnice lub jednolitą sukienkę), organizacja formalnie dzieli się na męską i żeńską.

Rzeczywistość ciągle jednak gna do przodu. Aby za nią nadążyć, ZHP w 2017 r. zmienił „dziesiątkę”. Tak w środowiskowym slangu nazywa się 10. punkt liczącego ponad 100 lat Prawa Harcerskiego zakazujący picia alkoholu i palenia papierosów. Wcześniej nawet dorośli harcerze mogli wylecieć za to z organizacji. Władze ZHP zapewniały, że chcą walczyć z wszelkimi nałogami (według nowej „dziesiątki” harcerz „jest wolny od nałogów”), odebrano to jednak jako rezygnację z całkowitej abstynencji. Gdy podobne

przymiarki w ZHR nagłośniły prawicowe media, jeden z portali opublikował list oburzonych rodziców. „Zastanawia nas, czy następnym krokiem (...) będzie wygumkowanie z tradycji, zasad i dokumentów Związku wartości chrześcijańskich oraz triady Bóg–Honor–Ojczyzna. I zastąpienie rogatywek hipsterskimi czapkami” – pisali. Centrala ZHR szybko zapewniła, że 10. punkt jest nienaruszalny jako symbol „kształtowania charakteru w duchu wartości chrześcijańskich”.

Czarne liczby i zaufanie

Największym wyzwaniem może się jednak okazać zjawisko pedofilii. Doświadczyła tego The Boy Scouts of America (BSA), jedna z największych organizacji

harcerskich na świecie (przez jej szeregi przeszło 110 mln osób), pozwana przez byłych skautów. Ich prawnicy podkreślali, że przez 103 lata BSA ani razu nie sugerowała problemu, choć jej szefowie byli świadomi, że harcerstwo przyciąga pedofilów, którzy pełnili funkcje drużynowych i opiekunów. Doliczono się 92 tys. byłych skautów, którzy zgłosili seksualne wykorzystywanie, zarząd BSA ich przeprosił, zgodził się też wpłacić 800 mln dol. na fundusz ofiar.

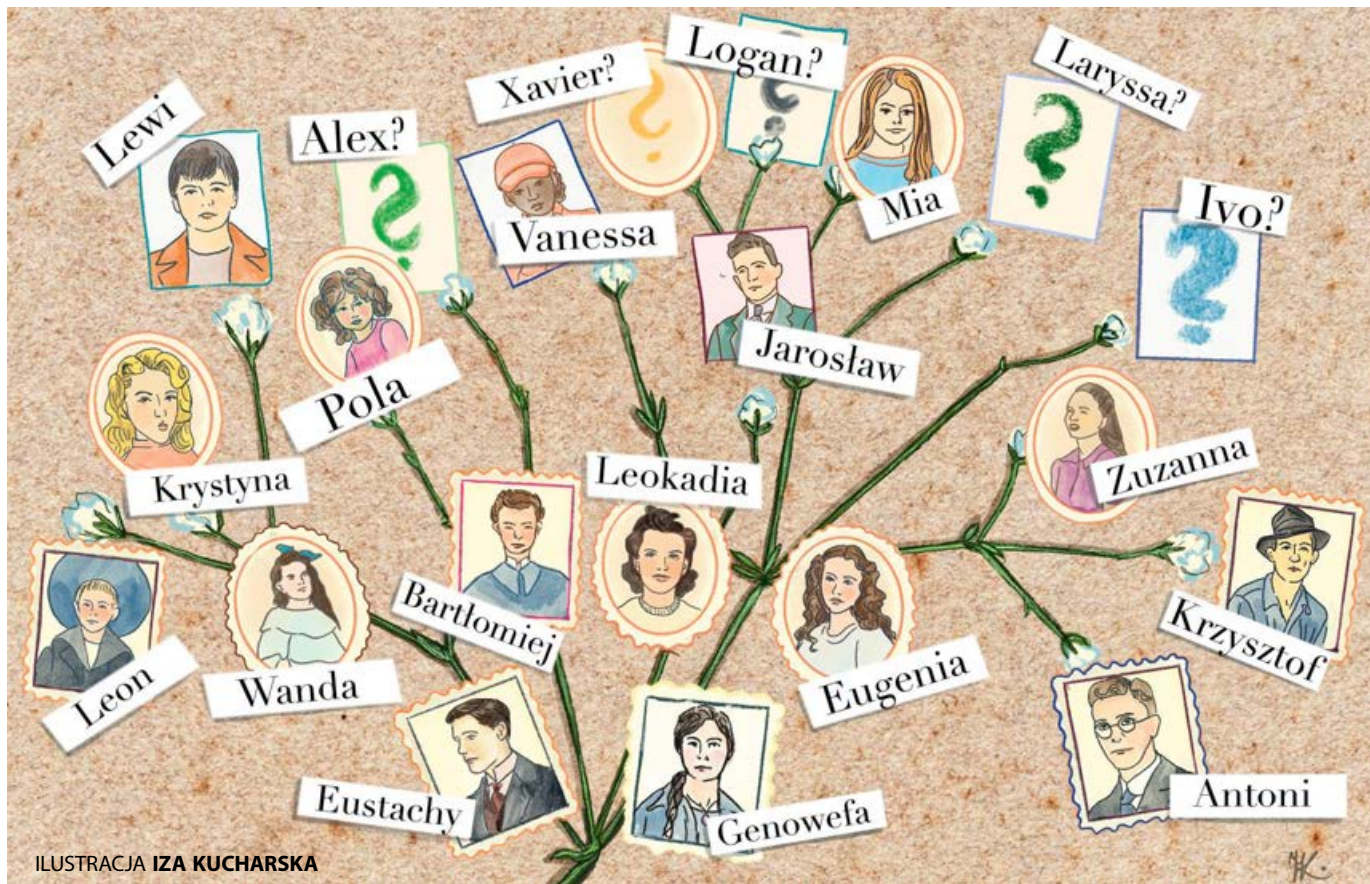
W Polsce media opisują pojedyncze przypadki wykorzystywania seksualnego w harcerstwie. Schemat jest zbliżony: drużynowy, instruktor albo komendant molestuje (były też przypadki) chłopców lub dziewczynki przy okazji zbiórek, biwaków czy obozów. Sądy skazują ich na kilkuletnie wyroki pozbawienia wolności, wieloletni albo dożywotni zakaz pracy z dziećmi, wskazując na nadużycie „stosunku zależności oraz zaufania” (nie raz także siły fizycznej).

– Każde środowisko, w którym przebywają małoletni, jest narażone na zjawisko wykorzystania seksualnego. W harcerstwie sprzyja temu relacja „mistrz–uczeń”, a także paramilitarna hierarchia, mundury i stopnie, które sprawcy dają rzeczywistą i psychologiczną władzę nad ofiarą – komentuje prof. Błażej Kmiecik, do niedawna szef (obecnie rzecznik) państwowej komisji ds. przeciwdziałania pedofilii. Był wręcz zdruzgotany tym, że komisja aż pół roku czekała na informacje od ZHP i ZHR w sprawie sposobu reagowania na przypadki molestowania seksualnego dzieci. Obie organizacje zapewniają, że zawiniło niedopatrzenie. Po monitach udzieliły odpowiedzi o prowadzonych szkoleniach i wdrożonych wytycznych, które zakazują nie tylko dwuznacznych zachowań, ale też konkretnych gier i zabaw (niepokój mogą budzić już ich nazwy: „samolotik”, „co może zrobić ta ręka?”, „buziak na noc w kręgu”). Nie zgłosiły jednak żadnego przypadku molestowania harcerzy czy zuchów przez ich opiekunów w mundurkach, a państwowa komisja prowadziła do tej pory (działa od 2020 r.) tylko jedną sprawę ze środowiska harcerskiego: zgłosił ją pokrzywdzony, sąd uznał (nieprawomocnie), że drużynowy wielokrotnie doprowadził go do poddania się tzw. innym czynnościom seksualnym „poprzez podstęp i nadużycie zaufania”.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć: uważam, że harcerstwo to wspaniała sprawa, moja córka też była harcerką, nikogo więc konkretnego o nic nie oskarżam, ale każdy w takim środowisku musi być nad wyraz czujny, bo to leży w interesie dzieci, ich rodziców i organizacji – podkreśla prof. Kmiecik.

Przedstawiciele organizacji harcerskich zapewniają, że robią wszystko, co w ich mocy, żeby pokładanego w nich zaufania nie zawieść. Rodzice wystawiają im wysokie noty: 62,4 proc. respondentów sondażu pracowni Kantar i Harcerskiego Instytutu Badawczego ufa albo zdecydowanie ufa harcerstwu (wyprzedziła je tylko straż pożarna i Orkiestra Owsiańska). 45,7 proc. respondentów jest pod wrażeniem profesjonalizmu działań ruchu harcerskiego, jednocześnie 22 proc. uważa, że harcerstwo jest mało atrakcyjne w porównaniu z innymi zajęciami pozalekcyjnymi i formami wypoczynku, a dr Monika Figiel, która przed dekadą stawiała niewygodne pytania o elastyczność „metody harcerskiej”, podkreśla dziś, że to tylko zestaw narzędzi, który można stosować dobrze lub źle – to zależy od ludzi, tych zaś poznamy po owocach.

ZBIGNIEW BOREK



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

Zima, Iga, Alex

Rozmowa z prof. Mariuszem Rutkowskim, językoznawcą, członkiem Rady Języka Polskiego, o tym, jak wraz z Polską zmieniają się imiona albo jak imiona zmieniają Polskę.

JULIUSZ CŹWIELUCH: – Z imienia można wyczytać czyjś charakter?

MARIUSZ RUTKOWSKI: – Myślę, że prędeziej z imion wyczytać można charakter społeczeństwa, opisać jego przemiany, oczekiwania, chwilowe mody i fascynacje.

Dzisiaj najbardziej fascynująca jest fantazja, która poniosła Polaków.

Od marca 2015 r. ustawodawca dał Polakom właściwie pełną swobodę w kwestii wyboru imienia. Nie można nadawać tylko imion ośmieszających i uwłaczających ani zdrobniałych. Ale tego akurat mało kto przestrzega. Ostatnim ograniczeniem jest zastrzeżenie dotyczące płci – imię powinno ją wskazywać. Ale i tu jest furtka. Można nadać imię niewskazujące na płeć, ale takie, które w powszechnym znaczeniu

jest przypisane do jakiejś płci. I właściwie tyle. Takiej wolności w nadawaniu imion Polacy jeszcze nigdy nie mieli. Korzystają z niej z rozmaitymi efektami.

No właśnie, czy mógłbym dać na imię dziecku Żarówka?

Formalnie tak. Tym bardziej jeśli byłaby to dziewczynka. Z drugiej strony w poprzednim porządku prawnym był zapis, że imiona nie mogą być równe wyrazom pospolitym. Już go nie ma, ale Rada Języka Polskiego zaleca, żeby trzymać się tej zasady. Jako organ doradczy Rada może jedynie opiniować, formułować zalecenia, ale ostateczna decyzja należy do urzędnika. Ja osobiście nie rekomendowałbym tego wyboru. No i myślę, że urzędnik stanu cywilnego, który

nadaje imię, również miałby obiekcje, czy jest to w ogóle imię.

A czy Zima to jest imię?

Rozumiem, że to podchwytliwe pytanie. Domyślam się, że znalazł je pan w bazie PESEL. Jeśli tak, to znaczy, że to jest imię, bo paradoks z nadawaniem imion polega na tym, że wybierają je rodzice, ale nadają urzędnicy. Jeśli zatem urzędnik zdecyduje się zatwierdzić takie imię jak Zima, to wraz z tym aktem nadania Zima się nim staje. To jest właśnie ta rewolucja, o której mówiłem. Wieki temu imienia szukałby pan w żywotach świętych. Za komuny w oficjalnym spisie, poza który nie miały prawa wyjść ani pan, ani urzędnik. Dziś pole do popisu jest niemalże nieograniczone.

Teoretycznie nieograniczone.

Według tej samej bazy PESEL najpopularniejsze imiona męskie to: Piotr, Krzysztof, Andrzej. U pań odpowiednio: Anna, Katarzyna i Maria – to co to za rewolucja?

Pan podaje liczbę osób noszących dane imiona. A rewolucja jest na poziomie nowych nadań, bo przeciw zliberalizowane przepisy obowiązują dopiero od ośmiu lat. Andrzej to dziś imię w odwrocie. Jednak przez lata było tak bardzo popularne, że obecnie mamy ponad pół miliona mężczyzn o tym imieniu. Podobnie jak 184 tys. Januszków. Podczas gdy dziś jest to imię tak

zszargane przez memy, że w poprzednim roku nadano je zaledwie 14 chłopcom.

Nikt nie chce być typowym polskim Januszem?

Wygląda na to, że nie. Co samo w sobie jest przecież fascynujące, bo przecież nie brakuje wybitnych Januszów. A jednak siła internetu wykreaowała Janusza na zadowolonego z siebie nieudacznika, z piwnym brzuchem i niezbyt trzeźwymi poglądami. Rodzice odnoszą ten wizerunek do ewentualnej przyszłości swojego dziecka i trudno się dziwić, że unikają tego imienia.

Imię tabu?

Nie. Raczej imię obciachowe, mówiąc językiem młodzieży. Co zresztą pewnie przeminie, jak każda moda i antymoda. W czasach mojej młodości takim imieniem był Czesiek. Po latach skonfrontowałem stosunek do Czeška z profesorem z innej części Polski. U niego na podobnych zasadach funkcjonowało inne imię. Na swoje nieszczęście Janusz trafiony został przez liczone w milionach internetowe zasięgi, dlatego kryzys wizerunkowy Januszów jest tak dotkliwy. Ale z pewnością nie jest to imię tabu. Choć takich nie brakowało, np. Maria.

Maria?

W naszej kulturze przez wieki była tylko jedna Maria – Matka Boska i do połowy XIX w. właściwie się nie nadawało dzieciom tego imienia, choć żadnego formalnego zakazu nie było.

To co było?

No właśnie społeczne tabu. Przecież ktoś nie mógł mieć na imię tak jak matka Jezusa. Dopiero kiedy wpływy Kościoła katolickiego zaczęły słabnąć, osłabło również tabu. Co nie znaczy, że całkiem zniknęło. Nadal obowiązuje inne. W spisie nadanych w Polsce imion nie znajdzie pan ani jednego Jezusa, choć były próby nadania tego imienia.

W Meksyku występują na pęczki.

Dlatego mówiłem, że z imion można wiele wyczytać o społeczeństwie. W to, że imię jest jakimś nośnikiem charakteru człowieka, że niejako go opisuje, nie wierzę. Co nie znaczy, że imię nie może nas w jakiś sposób naznaczyć. Amerykanie badali wpływ imion na możliwość popełnienia przestępstw. Samo w sobie założenie dość karkołomne, ale z badań wynikało, że nosiciele niektórych imion, jak Jeremy, statystycznie częściej popełniają przestępstwa. I mimo że nie wykazano prostych korelacji między imieniem a tendencją do łamania prawa, na Jeremym zaczęto patrzeć nieco podejrzliwie. Również inne imiona niepopularne mogły oznaczać większe kłopoty z prawem lub zmniejszać szanse ludzi na rynku pracy.

Mieli złe imiona? W Polsce w czasie okupacji „złe imiona” mieli Żydzi. Tyle że wojna się skończyła, a żydowskie imiona nie wróciły.

Imiona żydowskie zostały naznaczone tragedią i ludobójstwem.

Swoje dożył pogrom kielecki, a później 1968 r.

Wojna odcisnęła ślad również na imieniu Adolf, którego jeszcze wiele lat po wojnie w Polsce w ogóle nie nadawano. Zresztą do dziś nie jest specjalnie popularne. Z bazy PESEL wynika, że w Polsce żyje 2776 Adolfów.

Kobiet o imieniu Rachel jest 306.

Imiona żydowskie zaczęły nieśmiało wracać dopiero po 1989 r. Gdy Polacy zmieniali się pod wpływem przemian ustrojowych, zmieniali również wybory w kwestii imion. Takie są wyniki najbardziej przekrojowych badań, jakie 10 lat temu przeprowadził krakowski zespół badaczy. Naukowcy dostali ekskluzywny dostęp do przekroju danych z bazy PESEL. Dzięki temu mogli opisywać trendy i zmiany, jakie dokonywały się w imionach na przestrzeni lat. Zmiany mogli opisywać nie tylko z poziomu całego kraju, ale nawet poszczególnych województw.

A to ma znaczenie?

Okazuje się, że ma. Nawet w imionach odbija się podział na Polskę bardziej progresywną i tę konserwatywną. Z badań wyszło, że trendy w nadawaniu nowych, niekonwencjonalnych imion kształtowane są w dużych miastach, głównie zachodniej Polski, oraz w Warszawie. Z kolei w województwach podlaskim, podkarpackim, lubelskim czy świętokrzyskim częściej sięgano po imiona tradycyjne, kulturowo oswojone i zakorzenione. W imionach odbija się więc granica zaborów i związana z nimi mentalność. Ale szło też nowe. W latach 1995–2010 największym wzięciem cieszyła się np. Julia. Imię wcześniej mało popularne, właściwie niszowe. Zresztą podobnie jak pozostałe najczęściej wybierane, a były to: Aleksandra, Natalia, Wiktoria, Karolina, Zuzanna, Weronika, Oliwia, Klaudia, Anna. Przy czym Anna była numerem jeden w liczbie nadań w całym XX w. i numerem jeden w latach 1981–90.

O czym jest ta opowieść?

Że Anna podbiła lata 80., a Julia 90.?

To jest opowieść o potrzebie zmiany, która nastąpiła na poziomie społecznym, ale też indywidualnym. Z pewnością jest to również opowieść o tym, że społeczeństwo stawało się bardziej otwarte na nowe w kulturze. Przy czym, jak to bywa w kulturze, nurty się ścierały i jednocześnie część społeczeństwa się „konserwowała”. Zmiany były głębsze po stronie imion żeńskich, a w męskich bardziej zachowawcze. Co ja bym czytał jako uznanie mężczyzny za transmiterów tradycji. Ale tu opieram się na intuicji, bo szeroko zakrojonych badań motywujących wybór imienia w Polsce nigdy nie przeprowadzono.

To skąd wiemy, dlaczego Polacy wybierają takie, a nie inne?

Niektóre motywacje są dosyć klarowne dla badaczy kultury. Weźmy np. imię Iga. Imię z pierwszej setki najczęściej nadawanych, ale niezbyt eksponowane. Przez 15 lat w okresie 1995–2010 nadano je 10 tys. dziewczynek. A tylko w ostatnich pięciu latach doszło do kolejnych 15 tys. W zestawieniu z Igą Świątek i jej sukcesami to coś więcej niż tylko koincydencja.

Czyli jednak rodzice wierzą, że w tym imieniu jest jakaś siła.

Z pewnością dobrze się kojarzy, z sukcesem, dobrze też brzmi. Pasuje do wielkości nazwisk, zgodnie z regułą językową, że w zestawieniu dwóch wyrazów to pierwsze powinno być krótsze. A w co wierzą rodzice Ig? Pewnie w to samo, co rodzice innych dzieci – że będzie im sprzyjało szczęście i że odniosą sukces. W ludziach

jest wciąż głębokie przekonanie, że imię jest częścią człowieka. Ja wolę mówić, że imię jest symbolem i znakiem rozpoznawczym człowieka, więc ten związek jest silny, ale nie determinujący.

Jak widać, nie każdy Juliusz zostanie drugim Słowackim.

Na przykład. Dawno temu związek człowieka z imieniem był postrzegany jako niemal fizyczny. Tak jak zęby, włosy, tak imię było częścią człowieka. Poddawane było różnym tabu w różnych kulturach, np. nie można było nadawać imion po zmarłych, bo wierzono, że duch zmarłego może chcieć zamieszkać w duszy takiego człowieka. Wierzono również w związek imienia z losami człowieka, o czym świadczą cały zasób imion słowiańskich, które bardzo ▶



© JULIUSZ CWIELUCH

Prof. dr hab. Mariusz Rutkowski,

(rocznik 1970)
– językoznawca, zajmuje się teorią i pragmatyką funkcjonowania nazw własnych. Od 2019 r. członek Rady Języka Polskiego, gdzie m.in. opiniuje wnioski związane z nadawaniem i zmianą imion i nazwisk. Dziekan Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

► często były dwuczłonowe, jak Domo-rad, któremu imię miało gwarantować radość czy pomyślność domu, czy Mirosław. W tym ostatnim imieniu zawierało się życzenie, że będzie to człowiek sławiący pokój.

W mojej młodości furorę robiła książka „Portrety imion”, w której imionom przypisywano pewne konkretne cechy: Anny były romantyczne, Ewy chimeryczne, Jan pracowity itd.

Jako językoznawca jestem bezradny wobec takich zabiegów. Rozumiem, że ktoś może mieć ten rodzaj myślenia, ale go nie podzielam. W jednym z artykułów opisałem znalezione w internecie motywacje, jakimi kierowali się ludzie przy wyborze imienia. Współcześnie są głównie estetyczne. Ma się od niego łatwo tworzyć fajne formy zdrobniałe. Ma być komunikatywne.

To marzenia z głównego nurtu.

A co jest na drugim krańcu?

Osobiście opiniowałem próbę nadania dziecku imienia Lucyfer.

O do diabła!

No właśnie. W tym wypadku to rodzic zwrócił się do Rady Języka Polskiego w 2020 r. z prośbą o pozytywne zaopiniowanie tego pomysłu. Co zresztą się nie stało. Motywowałem to bardzo szeroko, łącznie z tym, że nadanie takiego imienia może doprowadzić do zaburzenia relacji pomiędzy dzieckiem a rodzicami. Zwracałem uwagę, że nie jest to imię neutralne, jest mocno obwarowane konotacjami diabolicznymi. I jako takie nie może być rekomendowane. Ta sprawa była dosyć ewidentna. Ale są też imiona słabo znaczące, np. Primia. W tym konkretnym przypadku kobieta chciała zmienić swoje imiona na właśnie takie.

A czy to w ogóle jest imię?

I tu wracamy do filozoficznego sporu, który poruszyliśmy na początku rozmowy. Jeśli urzędnik je zapisze, nada – to będzie. Ale w tym konkretnym wypadku ciekawszy jest sam fakt próby zmiany imienia. Kiedyś imię było, że tak powiem, jednoznaczne. Choć formalnie można było je urzędowo zmienić, to korzystano z tego sporadycznie.

Zdaniem urzędników z USC zmiana imion jest już silnym i zauważalnym trendem. Motywacje również bywają ciekawe, np. biznesowe. Ktoś ma kanał na YouTube „Szafa Vanessy”, a na imię Marta, i teraz chce być Vanessą.

Imię nie musi być tożsame z pseudonimem. Mieliśmy przecież posła Liroya, czyli Piotra Marca. Nie musiał zmieniać imienia. Zmiana imienia nie jest tylko gestem administracyjnym. Czasem po formie

nowego imienia można się zorientować, że mamy do czynienia z prawdziwą i głęboką zmianą tożsamości, jak w przypadku osób transpłciowych. Dla osób, które są *gender fluid*, imię wyraźnie określające płeć jest zmartwieniem. Stąd wielka popularność imienia Alex, które w zasadzie jest płciowo neutralne. Do grupy imion neutralnych płciowo zaliczane są też takie, jak Noel, Logan, Kai.

Wśród imion są mody?

Zdecydowanie, choć zjawisko samo w sobie jest stosunkowo nowe i sięga połowy XIX w., czyli narodzin popkultury. Dopiero wówczas ludzie inspiracji do nadawania imion szukali w książkach, gazetach. Z czasem w filmach, dziś w internecie.

Tak było chyba z Amelią, których obecnie jest ponad 121 tys., z czego pewnie zdecydowana większość dzięki wizycie rodziców w kinie.

Sugeruje pan, że Amelia została poczęta w kinie? W tym żarcie jest sporo racji, bo to nie jest imię, które wcześniej dobrze pracowało. Zresztą pula imion dobrze pracujących, czyli często i długo-falowo nadawanych, jest bardzo ograniczona. W realnym użyciu w Polsce mamy jakieś 12,5 tys. imion. Z czego zaledwie 3 proc., czyli jakieś 330, obsługuje 98 proc. wszystkich nadań. Za to w tych pozostałych 2 proc. kryje się prawdziwa galaktyka oryginalnych imion i informacji o polskim społeczeństwie.

I co można z tej galaktyki wyczytać?

Widać, jak bardzo Polska zmienia się kulturowo. Jest wiele imion egzotycznych, także afrykańskich i azjatyckich, które pojawiają się w bazach. Już widać, że przybywa imion kojarzonych z Ukraincami. Polska przestaje być krajem homogenicznym i zaczyna się otwierać na inne kultury. Co – jak obserwujemy – idzie z oporami i wiąże się z silnymi emocjami politycznymi. Ale staje się już faktem.

Jakie są jeszcze tendencje?

Imiona się szybko zużywają. Amerykanie mają jedno z najstarszych baz danych. Z ich rejestrów wynikało, że od początku lat 60. do lat 90. zeszłego wieku najpopularniejszy był Michael. Absolutny numer jeden. Później zrobiło się dynamicznie. U nas jest podobnie. W ciągu 10 lat ok. 20 proc. imion wypada z setki najpopularniejszych i na ich miejsce wchodzi nowe. Przez ostatnie trzy lata najpopularniejsze imiona to: Antoni, Jan i Aleksander, a żeńskie Zuzanna, Zofia i Hanna. A jeszcze 15 lat temu jedynie Zuzanna była w pierwszej dziesiątce, inne notowano w trzeciej i czwartej dziesiątce. W Polsce mamy np. 422 tys. Jakubów, z których

połowa urodziła się w latach 1995–2010. Jakub jest obecnie na 10. miejscu w ogóle, a w całym XX w. był na 59. miejscu. Niezwykły sukces.

A które imiona wypadają na out?

W regresie jest grupa zakończona na -eta, -etta, czyli Aneta, Violetta. Ale też Dorota staje się imieniem coraz rzadziej nadawanym. Proszę mnie nie pytać, co za tym stoi. Społeczeństwo w swojej zbiorowej mądrości tak postanowiło. Moim zdaniem jednak brzmienie za-ważało na tych imionach, które nie są przecież jakoś specjalnie negatywnie obciążone. Od kilku już lat w regresie jest również Krystyna.

Jeszcze 20 lat temu w Kielcach odbywał się festiwal – imieniny Krystyny.

Bo patrząc globalnie, jest dużo Krystyn, tylko że nie są najmłodsze. Krystyna to imię, które zdecydowanie wypierane jest z zasobu. Co nie znaczy, że kiedyś nie wróci, tak jak niedawno wróciła Zosia czy wśród chłopców Antoni, który w ubiegłym roku był na pierwszym miejscu nadań. Ale to nie kwestia powrotu jednego imienia, ale pewnej grupy: Antoni, Jan, Kazimierz to imiona, które reprezentują pewną tradycję. Brzmia dostojnie, są osoby historyczne, dobrze się kojarzące, o tych imionach. W grupie dziewcząt widać większą otwartość na imiona rzadkie. Przy dziewczynkach większa jest również pula imion zdrobniałych: Pola, a nie Apollonia. Lena, Paula. Z trendów rosnących można wskazać wzrost zapożyczeń słowiańskich. Imiona miękkie też mają się lepiej. Dobrze to widać na przykładzie porównania wariantów, np. Oliwera i Oliviera. Twardy Oliwer przez w jest daleko z tyłu.

Vanessa przez W czy V?

Przypadek litery V czy X w imieniu również jest bardzo ciekawy. Jeszcze kilkanaście lat temu Rada Języka Polskiego była przeciwna używaniu tych liter w polskich imionach. W kwestii pisowni imion przez x przełom w Radzie nastąpił zaledwie jakieś dwa lata temu. Właściwie kiedy okazało się, że kwestia wyszła poza kaprys celebryty, żeby syn był Xavierem, a nie Ksawierem. A zaczęło mieć szerszy kontekst. U osób transpłciowych często zdarzały się imiona z literą x na końcu, bo ta rewolucja, jak już powiedziałem, odbywa się nie tylko na poziomie wyboru, ale i stojącej za nim motywacji. Imię jest bardzo blisko zespolone z człowiekiem. Określa nasze relacje. Mówimy: jestem z nim po imieniu. Ale też jesteśmy zrośnięci z naszym imieniem, ono nie może uwierać, nosimy je dzień w dzień.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CWIELUCH

JOANNA CIEŚLA

Mrożące ocieplenie

Zmiana klimatu niesie turbulencje nie tylko na mapach pogody, lecz także w ludzkiej psychice. Jest już nawet nazwa: depresja klimatyczna. Jednak Polacy przeżywają ją nieco inaczej niż większość świata.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Spokój Marzeny rozbił się o cztery stopnie. Właśnie o tyle – cztery stopnie Celsjusza – średnia temperatura na Ziemi była niższa niż teraz, gdy skuwała ją zmarzlina, w apogeum epoki lodowcowej. Do znanego nowożytnym ludziom poziomu klimat ocieplał się przez 10 tys. lat. – *A jeśli nie wyhamujemy emisji gazów cieplarnianych,*

temperatura podskoczy o kolejne cztery stopnie w najbliższym stuleciu, do 2100 r. Konsekwencje trudno sobie nawet wyobrazić – podkreśla Marzena. Kończyła politologię, wątek globalnego ocieplenia przeżywał się przez całe jej studia. Perspektywa topnienia lodowców, zalewania wysp, narastających kataklizmów pogodowych trafiła do wyobraźni, latami budząc dreszcz.

– *W 2018 r. w „Gazecie Wyborczej” przeczytałam wywiad z fizykiem prof. Szymonem Malinowskim* – referuje Marzena. To tam była wzmianka o czterech stopniach, a także o tym, że katastrofa faktycznie może się zacząć już w 2050 r., kiedy dzieci Marzeny – a ma ich trójkę – będą w środku życia. Ona sama mówi dziś, że jej reakcja dryfowała przez kolejne fazy, ►

► podobnie jak to jest w żalobie: niedowierzanie, zaprzeczanie, lęk. Pochłaniała kolejne publikacje, książki, raporty, surfowała przez specjalistyczne serwisy. Lęk się nasilał. W końcu przestała sobie dawać radę. – *Z nikim poza mężem nie byłam w stanie rozmawiać na ten temat. Przyjaciele i rodzina nie wiedzieli, o co mi chodzi, skupiali się na życiu codziennym i harówce, „żeby dzieci miały lepszy start”. A ja nie mogłam pojąć, jak można nie uwzględnić, że wysychanie gleb, blackouty, rosnące ceny żywności też będą miały na ten start przełożenie.* To osamotnienie wypychało Marzenę w jeszcze głębszy lęk i poczucie bezradności.

Poczucie niemocy

W raportach międzynarodowych ośrodków i organizacji podobne diagnozy powracają od kilku lat: globalne ocieplenie, obok negatywnych konsekwencji dla środowiska oraz dla ludzkiego zdrowia fizycznego, niesie też zagrożenie dla psychiki. I choć eksperci przede wszystkim mówią o mieszkańcach regionów, w których powodzie, cyklony i susze już teraz stają się codzienną udręką, związek upałów, burz i fatalnych prognoz ze stanami emocjonalnymi ludzi z umiarkowanych stref również uznano za niewątpliwą.

Hasłem, które najczęściej przewija się w medialnych doniesieniach na te tematy, jest „depresja klimatyczna”. – *W rzeczywistości nie stawia się takiej diagnozy, choć istnieje zjawisko głębokiego smutku czy nawet rozpaczliwej związanej z utratą nadziei, że katastrofie klimatycznej można zapobiec* – podkreśla dr Magdalena Budziszewska z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, członkini Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego w Polskiej Akademii Nauk.

– *Dyskomfort i cierpienie psychiczne wywołuje w ludziach nie tyle uświadomienie sobie zmiany klimatu, ile poczucie bezradności i niemocy w zderzeniu z obecnymi i przewidywanymi konsekwencjami tej zmiany oraz obserwowanie bierności innych* – dodaje dr Marzena Cypryańska-Nezlek, kierująca Centrum Działań dla Klimatu i Transformacji Społecznych z Uniwersytetu SWPS (zbieżność imion bohaterki i ekspertki przypadkowa). Specjaliści zdrowia psychicznego podkreślają,

że depresja jest poważną chorobą, natomiast reakcje emocjonalne na zmianę klimatu i związane z nimi dyskomfort są naturalne w zetknięciu z rzeczywistym zagrożeniem. Nie muszą być przejawem zaburzeń psychicznych. Choć gdy lęk i smutek uniemożliwiają sen, pracę czy wywiązywanie się z innych obowiązków, warto zwrócić się po pomoc do specjalisty.

Osobny szlak powstawania psychologicznych turbulencji to doświadczanie ekstremalnych upałów, burz czy wichur. – *W psychologii od lat znany jest związek między wysokimi temperaturami a zachowaniami agresywnymi. Podczas fal upałów ludzie częściej wdają się w bójki, rozpętują awantury, rośnie przestępczość* – kontynuuje dr Budziszewska. M.in. w brytyjskich badaniach z 2018 r. stwierdzono też, że w okresach wysokich temperatur w szczególności mężczyźni częściej podejmują próby samobójcze, a służby ratunkowe są częściej wzywane do osób w kryzysach zdrowia psychicznego. Międzynarodowe analizy potwierdzają też intuicyjnie zrozumiałą zależność, że susze i zmienność klimatu należą do zgrzytot dotkliwie targających zdrowiem psychicznym rolników. Na ogólnej kondycji nerwowej odbija się wreszcie stres związany z dramatycznymi załamaniem pogody. Tego też doświadczyła rodzina Marzeny. – *W trzecim dniu obozu harcerskiego, na który pojechała córka, przez las przeszła łamiąca drzewa nawałnica. Dzieciaki w trakcie kolacji były ewakuowane ze stołówki, tak jak stały. Córka*

do dziś denerwuje się, słysząc odgłosy burzy – opowiada kobieta. Choć podobne przeżycia zdarzały się w przeszłości, zmiana polega na tym, że ich przybywa i będzie przybywać.

Magdalena Budziszewska, prowadząca od lat badania ze współpracownikami z Polski i Skandynawii, zwraca uwagę, że tzw. emocje klimatyczne mają jednak szerszą i różnicowaną paletę. – *To także złość, wstyd czy poczucie winy, bo prawie nikt nie żyje tak ekologicznie, jak by chciał. Wiele osób wikła się np. w nieustanne liczenie zużywanych foliowych opakowań, co jest szczególnie mało konstruktywne, gdy jednocześnie ma się poczucie, że w pojedynkę i tak nic się nie zmienia.*

Ale w gabinetach psychologicznych omawiane są również mroczne odczucia,

jak np. nienawiść do rodzaju ludzkiego, pragnienie, by ludzkość pochłonęła katastrofa, skoro bezmyślnie do niej dąży. – *Z drugiej strony wiele osób dzieli się też wzruszeniem, smutkiem i żalobą po tym, co już stracone* – dodaje badaczka. – *Zauważają bardzo subtelne zmiany w przyrodzie: znikanie pewnych kolorów lub zapachów, jak zapach trawy po deszczu i mokrej, zdrowej ziemi. To się wiąże ze zmienionym rytmem opadów – zamiast dni i godzin mżawek, dżdżów i mgły, tygodnie suszy przerywa gwałtowny deszcz, który nie wsiąka w grunt. Spływa, zanim zdąży zapachnieć.*

Młodzi odpuszczają

Wysyp zapotrzebowania na fachową pomoc w silnych lękach o przyszłość i złości przyszedł w Polsce w 2019 r., podobnie jak w wielu miejscach na świecie. To w tym roku Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) opublikował opracowany przez ponad stu naukowców wielki raport dotyczący oceanów i kriosfery. W jego następstwie na ulice zaczął wychodzić Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, a o dramatycznych perspektywach zrobiło się głośno. Pytań o depresję i lęk klimatyczny raptownie przybyło w internetowych wyszukiwarkach.

Po kilku latach w Polsce reakcje układają się jednak inaczej niż na świecie. O ile w innych krajach perspektywa klimatycznej katastrofy martwi ludzi tym bardziej, im są młodszy, o tyle u nas najbardziej niepokoją się ci w środku życia – rodzice, 40-latkowie. Wśród nasto- i 20-latków nadal widoczna jest poruszona, wystraszona i sfrustrowana grupa. – *Te osoby są wystarczająco liczne, by wypełnić gabinety psychoterapeutów. Ale to nie znaczy, że całej młodzieży w naszym kraju jest z tego powodu szczególnie trudno* – zauważa dr Budziszewska. Jedną z bardziej prawdopodobnych przyczyn jest – przewrotnie – niedostatek edukacji klimatycznej. – *W Skandynawii dzieci mają jej elementy we wszystkich ścisłych przedmiotach, a w Irlandii rozmawia się z uczniami, prowadząc lekcje w lasach i na łąkach. W Polsce wyrzykowe zagadnienia wpisano w podstawę programową geografii. Młodzież czerpie wiedzę z mało sprawdzonych źródeł, od tiktokerów. Przez to może być nawet bardziej niż starsi podatna na dezinformację i denializm* – kontynuuje badaczka.

Jak wynika z najnowszej edycji raportu „Ziemianie atakują”, przygotowanego w 2022 r. przez Kantar Polska i ośrodek Lata Dwudzieste przy wsparciu European Climate Foundation oraz UN Global



Compact Network Poland, to właśnie osoby między 18. a 25. rokiem życia częściej niż pozostałe (23 proc. wobec 13 proc. ogółu Polaków) mówią, że nie zamierzają nic robić z katastrofą ekologiczną, bo to inni są za nią odpowiedzialni. Z drugą częścią tego zdania trudno się nie zgodzić. I faktycznie, to Polacy między 46. a 65. rokiem życia są bardziej gotowi na zmianę zwyczajów, bardziej przemyślane zakupy, ograniczenie jedzenia mięsa czy jazdy samochodem.

Wśród starszych osób zaufanie do naukowców i tradycyjnych źródeł wiedzy jest co do zasady większe. – *Emeryci, z którymi rozmawialiśmy m.in. w Bielsku-Białej, Rzeszowie i na Śląsku, byli bardzo świadomi zachodzących zmian, również dlatego, że odbijają się one na ich codziennych czynnościach – nie trzeba odśnieżać, ale za to trzeba stale wszystko podlewać. Na działkach wysychają studnie, brakuje wody. Trzeba kupować klimatyzatory, bo seniorzy są też szczególnie wrażliwi na skutki upałów dla zdrowia, występuje u nich nasilenie astmy i alergii – wyjaśnia dr Budziszewska. Także z powodu tych dolegliwości to starsi czują się gorzej psychicznie.*

Spokój negacjonisty?

Czy klimatycznym denialistom żyje się przyjemniej i lepiej? – *Zaprzeczenie zagrożeniu może być sposobem na uniknięcie dyskomfortu psychicznego, ale to pozorna i krótkoterminowa korzyść. Negowanie zagrożeń nie sprawia, że one znikają, w dłuższej perspektywie zmniejsza szanse przetrwania – odpowiada dr Marzena Cypryańska-Nezlek. I dodaje, że warto uściślić, kogo ma się na myśli, mówiąc o denialistach. – Jeszcze dekadę temu wiele osób negowało zmiany klimatu w ogóle. Dziś, gdy ich konsekwencje są dostrzegalne gołym okiem, otwarte zaprzeczenie zdarza się rzadko. Bardziej powszechne jest kwestionowanie, że te procesy wynikają z działalności człowieka. Obecnie można usłyszeć np., że może i człowiek za globalnym ociepleniem stoi, ale wcale nie musi ono prowadzić do katastrofy. Łączy te podejścia zaprzeczanie, że potrzebna jest reakcja, zmiana naszego stylu życia.*

Według cytowanego raportu „Ziemia atakuje” wśród Polaków ponad 11 proc. nie zgadza się ze stwierdzeniem, że stan, w jakim znalazła się Ziemia, jest poważny i wymaga natychmiastowych działań. 42 proc. ocenia, że człowiek i jego działania zagrażają środowisku naturalnemu, a pozostałe prawie 60 proc. nie ma w tej sprawie zdania lub wręcz

uważa, że działania człowieka pomagają środowisku.

Jak mówi dr Cypryańska-Nezlek, denializm klimatyczny jest związany z orientacją polityczną. Niektóre analizy wskazują też na związek z religijnością, choć ten może być pośredni. Tak wynika z badania, które psycholożka przeprowadziła wraz z prof. Johnem Nezlekiem w Polsce i USA: – *W porównaniu z osobami o poglądach lewicowych i liberalnych badani o poglądach prawicowych i konserwatywnych wykazywali wyższy poziom negacjonizmu klimatycznego, mniej przejmowali się zmianą klimatu, a jednocześnie częściej deklarowali wiarę w Boga. I ostatecznie wyniki analiz wykazały, że to nie sama wiara miała podstawowe znaczenie, lecz właśnie jej powiązanie z orientacją polityczną, która m.in. wpływa na to, z jakich źródeł informacji się korzysta. Zarówno w polskich, jak i amerykańskich prawicowych mediach pojawia się więcej dezinformujących, sprzecznych z danymi naukowymi materiałów na temat klimatu niż w mediach liberalnych. Możliwych wyjaśnień tej prawidłowości jest sporo, poczynając od tego, że w czasie prowadzenia badań i w USA, i w Polsce silne i oczywiste były związki przemysłu paliwowego z prawiowymi politykami i wydawnictwami.*

Część filozofów i naukowców zwraca uwagę na jeszcze jedno: zmiana klimatyczna jest niemożliwa do wyhamowania bez silnej międzynarodowej współpracy i solidarnych wyrzeczeń. Dlatego politykom i wyborcom, którym bliski jest nacjonalizm, łatwiej zaprzeczać, niż godzić się na podejrzone sojusze z innymi. W polskich warunkach, na Wydziale Filozofii i Nauk Społecznych UMK, badacze zaobserwowali, że niechętnie wobec proekologicznych rozwiązań, a życzliwie nastawione do korzystania z paliw kopalnych są osoby o tzw. narcystycznej identyfikacji narodowej, które uważają, że ich grupie (czyli Polakom) należy się szczególnie status na tle innych, i które żywią uprzedzenia wobec obcych. Jeśli chodzi o jednostki, podobnie – część denialistów to osoby z silnym rysem narcystycznym, co znów intuicyjnie zgadza się z tym, że koncentracja na własnej wygodzie, swoim wyglądzie i bieżących interesach

nie sprzyja np. rezygnacji z zakupowych zachcianek czy nawet wysiłkowi segregacji śmieci.

W ostatecznym rozrachunku niewiele jednak wskazuje, by denialistom żyło się spokojniej. Przeciwnie, statystycznie, według badań z ostatnich lat, lepiej – zwłaszcza społecznie – funkcjonują osoby z troskane o klimat. Są bardziej przyzostosowane, mają więcej przyjaciół i znajomych, ich relacje z innymi są bliższe. Co może wynikać i ze wspomnianego silnego kontaktu z rzeczywistością, i z umiejętności refleksji i rozpoznawania własnych uczuć.

Rodzice dla Klimatu

Jak niejednokrotnie już zauważyli psychologowie, smutek, także związany z nostalgią i stratą – wysychaniem lokalnych potoków, milknięciem śpiewu ptaków, błyskawicznym przemijaniem wiosny – potrafi łączyć ludzi. Wokół wartości i wspomnień łatwo się porozumieć, by chronić to, co zostało: lokalne lasy i chaszczki, gdy zagrażają im nie tylko upały, lecz także prostsze do powstrzymania niepotrzebne inwestycje, rozlewianie się miast. Podobnie mobilizująca bywa złość płynąca z niezgody na działania korporacji, zaniedbania polityków, medialne oszustwa i manipulacje. Działania jednostek są niezbędne i istotne, ale najwięcej zadań do wykonania mają przemysłowe korporacje i rządy, na które jednak każdy może naciskać jako wyborca i konsument. A poza tym robić, ile się może i potrafi, nie obwiniać się, że nie da się więcej, i pamiętać, że świata się w pojedynkę nie uratuje.

Marzena, której wizje klimatycznego kataklizmu nie dawały normalnie żyć, w 2019 r. zaangażowała się w działalność grupy dorosłych wspierających nastoletnich członków Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. – *Chcieliśmy wspomóc nasze dzieci logistycznie, merytorycznie, ale też w kontaktach z politykami ignorującymi ich apele. Nazwali się Rodzice dla Klimatu. Piszą petycje do władz, spotykają się z nimi, przedstawiają propozycje zmian prawnych. Marzena wśród ludzi mówiących podobnym głosem i traktujących się nawzajem poważnie szybko poczuła się lepiej. Obrazy katastrof przestały ją nękać.*

JOANNA CIEŚLA

Pierwsza była Amber

Child Alert działa w Polsce od 2013 r.
Do tej pory ogłoszono ich sześć.
Ostatni, kiedy 11-letnia Wiktoria wyszła
w sobotni wieczór wyrzucić śmieci
i nie wróciła do domu w Sosnowcu.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Nadkomisarz Konrad Gajda z Wydziału Poszukiwań Komendy Głównej Policji pytany, czy sześć alarmów w procedurze Child Alert, ogłoszonych w ciągu 10 lat, to tylko sześć, czy aż sześć, bez wahania odpowiada: – *Ja bym wolał, żeby w ogóle nie dochodziło do sytuacji wymagających uruchomienia go, bo za każdą z nich kryje się dramat jakiegoś dziecka, zagrożenie zdrowia i życia wynikające z porwania.*

Ostatni raz CA ogłoszono w listopadzie 2022 r. po zabójstwie 26-letniej kobiety, do którego doszło w Oświęcimiu. Podejrzany, 25-letni Norweg, za którym wydano Europejski Nakaz Aresztowania, nie tylko zamordował swoją byłą partnerkę, ale też uprowadził z jej mieszkania ich 5-letnią córeczkę. Mia została odnaleziona w Danii. Oświęcimski sąd prawo do opieki nad dzieckiem dał jej dziadkowi i to on pojechał po wnuczkę do Kopenhagi.

Wsiadła do samochodu

Wiktoria wyszła z domu w sobotę 5 sierpnia po południu. Padał deszcz, dziewczynka miała na sobie krótkie spodenki i koszulkę. A przy sobie, oprócz worka ze śmieciami, telefon. Miała wrócić za chwilę. Nie wróciła. Jak ustalili policjanci, poszła na przystanek kolejowy w Sosnowcu Dańdówce. I wsiadła do czekającego na nią samochodu. Mężczyzna, który siedział za kierownicą, przyjechał z zachodniego Pomorza, z Koszalina.

Rodzice najpierw czekali na Wiktorię, potem zaczęli dzwonić na jej telefon. Okazało się, że jest wyłączony, a abonent niedostępny. Zaalarmowali wtedy policję. Ta poszukiwania rozpoczęła od razu, ale Child Alert, procedurę uruchamianą w sytuacji zagrożenia życia dziecka, ogłoszono

w niedzielę, na podstawie zebranych już informacji. Dziewczynkę odnaleziono trzy dni po zniknięciu w Zachodniopomorskiem. Policja weszła do mieszkania, w którym przebywała z 39-letnim mężczyzną, o 6 rano. Wiktorię, całą i zdrową, oddano rodzicom. Jak w ciągu dwóch dni udało się ją namierzyć?

– *Nasze działania operacyjne są niejawne, poza tym lepiej nie zdradzać metod, które wykorzystujemy w czasie poszukiwań dziecka* – mówi nadkomisarz Gajda. I od razu dodaje, że najważniejszy jest sukces, a na ten składa się praca zespołu kryminalnego, prewencji, specjalistów od cyberprzestępczości. Swoją cegiełkę dokładają też media, bo Child Alert oznacza włączenie do poszukiwań wszystkich, którzy mogą przekazywać informacje o zaginięciu dziecka, jego portret, każdy, nawet najmniejszy drobiazg, dzięki któremu można do niego jak najszybciej dotrzeć.

Gajda, pytany o okoliczności porwania 11-latki, odpowiada jednak krótko: – *To jest tajemnica śledztwa. I tak mediom przekazano bardzo dużo informacji, a nie możemy zapominać, że to dziecko wróciło do domu, ma koleżanki i kolegów z podwórka, klasy. I może stać się ofiarą ponownej wiktymizacji, bo z ofiary stanie się obiektem hejtu. Podobnie jak jej bliscy. Bo teraz każdy może powiedzieć, że on by swoje dziecko upilnował.*

O 39-latku, który przyjechał po dziewczynkę, wiadomo, że był karany za nielegalne posiadanie broni. Jeden z portali podał też informację, że był karany za pedofilię, co później zdementowano. Z Wiktorią porozumiewał się (i koniec końców umówił), korzystając z popularnej aplikacji Snapchat – wiadomości w tym komunikatorze po jakimś czasie znikają. Teraz prokuratura, która zabezpieczyła telefon i laptop mężczyzny, będzie próbowała je odzyskać.



Ja też mam 12 lat

Maciej Frasunkiewicz, psycholog związany z Uniwersytetem SWPS, przyznaje, że kanałów w sieci, w których dziecko może zetknąć się z niebezpieczeństwem, jest wiele. On jednak chętnie podzieli się dwiema historiami związanymi z dwoma z nich.

– *Pracowałem wtedy w Centrum Aktywności Lokalnej, odpowiadałem za współpracę sąsiedzka. I któregoś dnia dwie dziewczynki, szóstoklasistki, które przyszły tam pograć w planszówki, opowiedziały mi, co je spotkało. I, przyznam, zmroziło mnie* – opowiada Frasunkiewicz.

Okazało się, że dziewczynki korzystały z portalu Omegle, który wykorzystywany jest do przypadkowego poznawania obcych osób. Korzystają z niego i nastolatki, i dorośli. Te pierwsze często dla zwykłego wygłupu czy, używając młodzieżowego języka, dla beki.

– *Na portalu można wejść na chat i po prostu wymienić wiadomości, ale jest też opcja rozmowy z włączoną kamerką. I z tymi dwiema dziewczynkami zaczęły czatować dorośli mężczyzna, który włączył kamerkę. Był nagi. A resztę można sobie dopowiedzieć* – psycholog z Uniwersytetu SWPS przyznaje, że od razu uderzyło go, że nastolatki

opowiedziały o tym drastycznym spotkaniu w sieci jemu. Nie rodzicom, nie nauczycielom w szkole czy pedagogowi.

– *To jest wręcz namacalny dowód braku zaufania czy, szerzej, braku relacji z dzieckiem. Pewnie obie bały się, że pierwszą reakcją będzie odcięcie przez rodziców internetu, zarzuty, że tak naprawdę to ich wina, bo przecież weszły na podejrzaną stronę. Tylko że autorytarne wychowanie przynosi skutek odwrotny do zamierzonego, a obarczanie winą ofiary to nic innego jak kultura gwałtu* – mówi Frasunkiewicz. I dodaje, że złożył wtedy zawiadomienie na policję, uznając, że doszło do molestowania nieletnich. I do dzisiaj nie kryje rozczarowania, że policja wtedy z jego zawiadomieniem nie zrobiła nic.

– *Omegle to serwis amerykański, ale jest też polski, 6obcy.pl, gdzie oczywiście jest pytanie o wiek, ale nikt przecież nie sprawdzi, czy klikający w kwadracik*

oznaczający, że jest się pełnoletni, nie kłamie. Ale operator w takiej sytuacji powie, że nie ponosi odpowiedzialności za zamieszczane treści, bo przecież czatowały osoby formalnie dorosłe – Frasunkiewicz, który o serwisie dowiedział się od swoich wychowanków, przyznaje, że jakiś czas po sytuacji z Omegle postanowili ze swoją partnerką poczatować na tym serwisie jako 14-letnia Zuzia, aby sprawdzić, czy i na nim może dojść do tego typu sytuacji. Odezwał się do nich 25-letni Kamil. Z Podlasia. Zuzia zapytana o to, co robi, odpowiedziała: „Leżę, bo jestem chora. I się nudzę. A ty?”. Kamil odpowiedział jej: „Leżę i coś sobie robię”. „Co?”. „Masuję kutaska”.

– *I o takich spotkaniach powinniśmy mówić naszym dzieciom. Nie tyle zabraniać im korzystania z internetu, ile tłumaczyć, jakie kryją się w nim zagrożenia* – podkreśla Frasunkiewicz.

Co mogą rodzice

Podinspektor Anna Zgódka z Wydziału Poszukiwań KGP: – *Jeśli ktoś mnie pyta, jak chronić swoje dziecko, to odpowiadam mu jedno: budować z nim relacje. Rozmawiać, interesować się, wiedzieć, z kim się spotyka, gdzie chodzi, co czyta, ogląda. Dziecko, które ufa rodzicowi, opowie mu o każdym podejrzanym kontakcie. Takie, które będzie się bało mamy czy taty, ukryje informacje, ale to wcale nie oznacza, że niebezpieczeństwo zniknie.*

I psycholog, i policjantka przyznają, że im bardziej agresywnie chce się kontrolować to, co młody człowiek robi, tym intensywniej będzie on szukał coraz to nowszych i sprytniejszych metod uniknięcia tej kontroli.

– *Kiedy ustalamy z dzieckiem pewne reguły, upewnijmy się, że nie tylko je rozumie, ale też szanuje i uważa je za dobre. Niektórym wydaje się, że autorytarny i autorytatywny znaczą to samo, a nie dostrzegają istotnej różnicy. W tym drugim przypadku mówimy o wychowaniu w modelu demokratycznym, którego nie należy mylić z permissywnym, oznaczającym pozwalanie dziecku na wszystko* – tłumaczy Maciej Frasunkiewicz.

A podinspektor Zgódka dodaje: – *Policjanci z prewencji na spotkaniach w szkołach uczulają dzieci na zagrożenia zarówno w sieci, jak w rzeczywistości, ale i tak najczęściej zależy tu od rodziców, którzy nawet jeśli zainstalują dziecku w telefonie aplikację służącą do śledzenia miejsc, w których ono przebywa, nie mają gwarancji, że ochronią je skutecznie. I właśnie dlatego tak ważne jest po prostu bycie z dzieckiem i to, jaką mamy z nim relację.*

Child Alert to system natychmiastowego rozpowszechniania wizerunku zaginionego dziecka za pośrednictwem dostępnych mediów, ale także skoordynowane działania różnych instytucji, służb, przede wszystkim policji i mediów, które są w stanie niemal niezwłocznie rozpowszechnić wizerunek zaginionego dziecka na ogólnokrajową, a nawet międzynarodową skalę.

Procedurę stworzono po porwaniu w 1996 r. w Arlington w Teksasie 9-letniej Amber Hagerman. Dziewczynkę, przebywającą u dziadków, porwał nieznan sprawca – na oczach jej młodszego brata i innych dzieci wciągnął ją do swojego pick-upa, gdy jeździła na rowerze na parkingu przy starym, nieznanym supermarkecie. Mężczyzna niezatrzymany przez nikogo odjechał. Nie odnaleziono go do dzisiaj, choć policja na miejscu porwania pojawiła się kilka minut po przyjęciu zgłoszenia o uprowadzeniu dziewczynki. Ciało Amber znaleziono cztery dni później w przydrożnym rowie melioracyjnym.

Liczy się czas

Ta tragedia stała się inspiracją do opracowania działań podejmowanych przy uprowadzeniu dzieci. Nazwano je Planem AMBER (America's Missing Broadcast Emergency Response) i zgodnie z opracowaną procedurą każde ogłoszenie go oznaczało, że policja w ciągu kilku minut od porwania dziecka ma przekazać do stacji radiowych i telewizyjnych informacje o porwaniu i poszukiwaniach. Podstawą działania systemu jest szybkość reakcji na zgłoszenie, natychmiastowe rozpowszechnienie za pośrednictwem wszelkich dostępnych mediów, ale też zaangażowanie całej społeczności w poszukiwania zaginionego dziecka i osoby podejrzanej o jego uprowadzenie.

W Europie Child Alert funkcjonuje w 16 krajach członkowskich Unii Europejskiej: Belgii, Bułgarii, na Cyprze, w Czechach, we Francji, w Grecji, Hiszpanii, Holandii, Irlandii, Niemczech, Polsce, Portugalii, Rumunii, Słowenii, na Słowacji i we Włoszech. W przyszłości CA ma działać we wszystkich krajach Unii.

Podinspektor Anna Zgódka: – *Niezależnie jednak od samego systemu pamiętajmy o najważniejszej rzeczy – kiedy dziecko nie wraca zbyt długo do domu, to nie czekamy 24 czy 48 godzin. Jeśli mamy jakiegokolwiek podejrzenia, obawy, zgłaszamy zaginięcie na policję tak szybko, jak tylko się da. Tu naprawdę liczy się czas.*

Wszystkie dzieci poszukiwane w Polsce według procedury Child Alert zostały odnalezione. ■



Kempingów czar

Im więcej Polaków chce spędzać wakacje na kempingach, tym szybciej one znikają. Klientów napędziła im najpierw pandemia, potem drożyzna, a teraz także nieznośne upały na południu kontynentu. Ale to, co jest najbardziej w kempingach atrakcyjne dla turystów, staje się też powodem ich likwidacji.

JOANNA SOLSKA

Alexa w Chłapowie położona jest na wysokim, 40-metrowym klifie, z prywatnym zejściem na plażę i oszołamiającym widokiem na morze. Żeby móc tu przyjechać w lipcu lub sierpniu, trzeba rezerwować miejsce dużo wcześniej. Stali goście zapowiadają się na następny sezon już przy wyjeździe. Kemping zajmuje spory obszar, cztery i pół hektara gruntu, ale zaczyna tu być ciasno. Słaba ziemia rolna była prawie bezwartościowa, więc pod koniec lat 80. Andrzej Jetka odkupił działkę od wujka i założył tam pole namiotowe. – *Jeździłem i podglądałem zagraniczne kempingi, starając się zrobić podobne* – wspomina. Obecnie prowadzi kemping wspólnie z córką Moniką. Alexa awansowała do grona najlepszych kempingów nad Bałtykiem, chwali się czterema gwiazdkami. Każda kolejna oznacza konieczność nowych inwestycji i wyższe koszty, ale także zyski. Gwiazdki przyznają urzędy marszałkowskie. Przy jednej gwiazdce goście muszą mieć zapewnioną ciepłą wodę w łazienkach dwa razy dziennie, przez cztery godziny, przy trzech ciepła kąpiel jest gwarantowana non stop. Warunków do spełnienia jest dużo więcej. Najostrzejsze dotyczą bezpieczeństwa.

Kemping Rafael w Łebie kiedyś miał cztery gwiazdki. Kiedy jednak okazało się, że liczba toalet w stosunku do liczby turystów jest zbyt mała, dwie zostały mu odebrane. A po wykryciu kolejnych braków – wszystkie. Stracił prawo, żeby nazywać się kempingiem, ale turystów przeważnie niewiele to obchodzi, nie zwracają na gwiazdki uwagi. Według Polskiej Federacji Campingu i Caravaningu tylko 117 kempingów w kraju ma prawo do nazywania się kempingiem. Tylko co piąty ma przyznaną najwyższą kategorię, czyli cztery gwiazdki.

Najwięcej jest ich w Zachodniopomorskiem, właściciele musieli dostosować warunki do oczekiwań klientów niemieckich, ale też Holendrów, zachwyconych lasami, których sami nie mają. Zarządzających najlepszymi kempingami łączy to, że prawie wszyscy są już właścicielami gruntów, na których leżą kempingi, a więc – chcą i mogą na nich inwestować. Wyjątkiem jest kemping miejski w Katowicach. Im dalej na południe kraju, tym luksusów na kempingach mniej. – *Ale to i tak jest dobry interes, żaden z kempingów nie został zlikwidowany z powodów ekonomicznych* – zapewnia Michał Szeftel, prezes PFCiC.



© KACPER KOWALSKI/FORUM

Wymagań bezpieczeństwa, egzekwowanych od właścicieli kempingów skategoryzowanych, nie spełnia część bardzo popularnych biwakowisk w okolicach Chałup. Przyczepy, które wynajmują turyści za ciężkie pieniądze, ustawione są jedna obok drugiej, niemal przylegają do siebie, panuje ścisk. Nad Zatoką Pucką jest mało miejsca, a amatorów surfowania szybko przybywa. – *Gdyby na kempingach przestrzegano wymogów bezpieczeństwa, nie dałoby się upchnąć aż tylu przyczep* – wyjaśnia Paweł Kozłowski, który zawodowo testuje kampery, opisując je potem na swoim blogu. Pracuje i odpoczywa wraz z rodziną na kempingach, także zagranicznych.

Właściciele kempingów nie ukrywają, że to coraz lepszy interes. Najwięcej zarabiają te położone nad morzem. Ale rekordy biją skupione wokół Zatoki Puckiej, właśnie w Chałupach i Jastarni. Niekoniecznie przyjeżdża się tu kamperami. Najbardziej popularne są miejscowe przyczepy, rezerwowane z dużym wyprzedzeniem. Więc pytającym o ich cenę pracownik nie odpowiada, bo miejsc nie ma. Chałupy to mekka surferów i celebrytów. Kempingi położone są na gruncie gminy i częściowo państwa, które za dzierżawę pobierają bająnskie sumy, miejscowi twierdzą, że od kempingu nawet 2 mln zł rocznie. Lokalne władze są świadome, że przy rozgęszczeniu przyczep prowadzący dziki kemping nie zarobi tyle, żeby zapłacić żadaną sumę, więc bezpieczeństwem nikt się nie przejmuje. Jak zdarzy się tragedia, będziemy szukać winnych.

Tłok po pandemii

Ponad 90 proc. gości wypoczywających na kempingu Bravo – cztery gwiazdki – to turyści zagraniczni, przeważnie seniorzy. Najstarszy miał 96 lat, przyjechał z Niemiec kamperem. W tym sezonie masowo nad Bałtyk ruszyli także Czesi. Boom seniorów z Holandii, Niemiec i Skandynawii zaczął się od razu po lockdownie. Wsiadają w kampery już w kwietniu, nie brakuje ich też po sezonie. Są i tacy, którzy decydują się na pobyt w Polsce nawet trzy razy w roku. Coraz więcej kempingów otwiera się na gości przez cały rok. Żeby mieć chętnych, trzeba turystom po sezonie zapewnić warunki i atrakcje, ale całoroczny biznes staje się o wiele bardziej stabilny.

Zanim zachodni turyści wybiorą miejsce, studiują europejskie katalogi z kempingami. Dla wielu najbardziej wiarygodny jest ten holenderskiej organizacji caravaningowej ACSI. – *Jak tam jest napisane, że coś jest, to tak musi być* – zapewnia Zbigniew Choiński, właściciel. Inspektorzy ACSI wizytują Bravo każdego roku, kemping jest także w kilku innych katalogach europejskich i właścicielowi zależy, żeby z nich nie wypadł. Michał Szeftel, prezes Polskiej Federacji Campingu i Caravaningu, narzeka, że na reklamie polskich kempingów najmniej zależy państwowej Polskiej Organizacji Turystycznej, nic w tej sprawie nie robi.

Polacy radzą sobie bez reklamy POT. Czasem kamper staje przed kempingiem, wyskakuje z niego jedna osoba i biegnie obejrzeć sanitariaty. Kiedy wyjdzie i woła „można”, kamper wjeżdża na teren. Od czasów pandemii czystość w łazienkach jest warunkiem twardo egzekwowanym przez turystów. Niektórzy chcą toalet nie tylko czystych, ale też prywatnych. Trend przyszedł z Niemiec.

Paweł Kozłowski, tester kamperów, odwiedza także kempingi zagraniczne. Od czasów pandemii zauważył, że ubywa tam łazienek ogólnodostępnych, a przybywa tych, z których korzysta może tylko jedna rodzina. – *Najemca płaci dodatkowo 15 euro na dobę i dostaje klucz. Oprócz gwarancji, że nikt obcy nie skorzysta, ma też wygodę, bo w prywatnej łazience zostawia własne ręczniki oraz kosmetyki*. W sanitariatach ogólnodostępnych standardem jest gruntowne sprzątnięcie co godzinę. Tak jak Pod Brzozami w Ustroniu Morskim, którego właściciel Jakub Grajek chwali się, że ten zwyczaj wprowadził jako pierwszy. ►

Trzema gwiazdkami może pochwalić się 30 kempingów, a najwięcej, bo 36, tylko dwiema. Jednogwiazdkowych jest 26, to już bardziej pole namiotowe niż kemping. Zwykle z szambem zamiast podłączenia do kanalizacji. Posiadacze najlepszych dziwią się, że kategoryzacji kempingów nikt nie egzekwuje. Jeżdżąc po kraju, na tabliczkę „camping” natykamy się nieustannie. Najczęściej to tylko kilka przenośnych toalet i pole namiotowe, którego właściciel chce na turystach zarabiać, niczego im nie gwarantując, nie inwestując w infrastrukturę. Działają legalnie, zarejestrowane są w gminie jako pole namiotowe. Tego, czy zapewniają gościom właściwe warunki bezpieczeństwa, nikt nie kontroluje.

Przyczepa spaliła się w osiem minut

Kiedy właściciele Alexy postanowili przeskoczyć z trzech do czterech gwiazdek, musieli powiększyć stanowiska dla kamperów z 60 do 70 m kw., oddzielone od siebie zielenią, skrzynkami z kwiatami. Tyle samo miejsca musi mieć każdy namiot, bez względu na wielkość. Kiedy czasem zaprzyjaźnione rodziny pytają, czy nie mogą postawić na jednej parceli dwóch namiotów, słyszą, że to wykluczone. Goście się dziwią, przecież właściciel mógłby za jedno miejsce wziąć dwa razy większą sumę.

Żeby przestali się dziwić, na otwarcie sezonu Alexa zaprosiła fanów caravaningu na imprezę pod hasłem „bezpieczeństwo turystów”. W obecności policjanta, strażaka oraz specjalisty od sieci gazowniczej Andrzej Jetka podpalił przyczepę, na co wcześniej uzyskał zgodę. – *Chciałem pokazać, jak błyskawicznie rozszerza się ogień, od podpalenia do całkowitego spalenia przyczepy minęło zaledwie osiem minut, a po dwóch minutach temperatura podskoczyła do 600 stopni, co zmierzył przedstawiciel Państwowej Straży Pożarnej* – opowiada. Obecni uswiadomili sobie, jak wielkie niebezpieczeństwo czyha w miejscach, gdzie przyczepy sąsiadują ze sobą, niemal się dotykając. – *W Hiszpanii na kempingu w pożarze wiele lat temu zginęło ponad 200 osób, od tej pory wymagania przeciwpożarowe są surowo egzekwowane. Oczywiście od tych, którzy nazwy kemping używają legalnie* – przypomina Monika Jetka. W lipcu na parkingu koło Elku spalił się kamper, zginęły dwie osoby. Gdyby stał na dzikim kempingu, ofiar byłoby więcej.

► Na kempingach we Włoszech, w Chorwacji czy Niemczech czteroosobowa rodzina musi zapłacić za postój co najmniej 100 euro za dobę, a za parcelę z dostępem do prywatnego basenu nawet 250 euro. Mimo to coraz trudniej o miejsce. Tłok zrobił się po lockdownie, gdy w Europie sprzedano rekordową liczbę kamperów. W 2019 r., tuż przed covidem, polskie kempingi odwiedziło prawie 2 mln gości. Potem był spadek, do 1,3 mln, ale znów się odbijamy. Właściciele najlepszych uważają, że w tym roku mamy szansę pobić rekord. Dla zubożonych Europejczyków, zmęczonych upałami u siebie, odpoczynek w przyrodzie nabiera wartości nie tylko z powodu ceny. – *Oddycham tu morską bryzą i sosnowym powietrzem, nie tym tłoczonym przez hotelową klimatyzację. To prawdziwy luksus* – zapewnia Agnes, która cały tydzień odpoczywa z rodziną na kempingu Wiking w Dziwnówku.

Domki w cenie

Zdaniem Pawła Koźłowskiego nasze kempingi bardzo potrzebują inwestycji. Stać na nie jednak tylko właściciele gruntów. Dzierżawcy prowadzący kempingi należące do przedsiębiorstw państwowych lub gmin nie znają dnia ani godziny, kiedy właściciele każą im się wynosić. Nie inwestują więc, tracąc klientów chcących niedrogo wypoczywać w naszym kraju.

Polska z cenami nieprzekraczającymi 150–200 zł (dwie osoby za miejsce dla kampera lub namiotu z obowiązkowym dostępem do energii elektrycznej na kempingu Bravo w Mielnie zapłacą 120 zł za dobę, cztery osoby 160 zł) zyskuje na atrakcyjności. Zarówno w oczach tych, którzy cenią naszą przyrodę i klimat i przyjadą z zagranicy wypasionymi kamperami, jak i rodaków, którzy kamper wypożyczają, płacąc 350 zł dziennie. Zbigniew Choiński pamięta, że jeszcze przed pięcioma laty na Bravo przyjeżdżało kamperami niewielu rodaków, może pięciu–sześciu, i to raczej starymi. Teraz większość przyjeżdża własnymi, czasem luksusowymi, nawet za 2,5 mln zł, albo z przyczepami. Na posiłkach w kempingowych tawernach spotykają się osoby zamożne z tymi, które chcą spędzić urlop tanio. Nie łączy ich zawartość portfela, ale raczej styl życia bliżej natury.

W kamperach nocuje 70 proc. obcokrajowców przebywających na polskich kempingach oraz 43 proc. rodaków. Nasi preferują przyczepy (46 proc.), które turyści zagraniczni powoli odstawiają, w ubiegłym roku mieszkało w nich 28 proc. Nocowaniem pod namiotem nadal cieszy się już tylko 3 proc. rodaków i zaledwie 1 proc. zagranicznych. Mimo że namioty także zrobiły się wypasione, z dwiema sypialniami, przedpokojem i nawet schowkiem na rowery. To najświeższe dane Polskiej Federacji Campingu i Caravaningu. Wynika z nich także, że coraz modniejsze robią się małe domki kempingowe. Preferują je Polacy. Są bowiem tanie, wygodne i gwarantują intymność. O wiele tańsze niż nadmorskie hotele i o wiele mniej krepujące niż kwatery prywatne.

Na kempingu Wiking w Dziwnówku dwuosobowy drewniany domek o powierzchni 20 m kw., z prysznicem i WC, ale też lodówką i aneksem kuchennym, a nawet tarasem, można wynająć za 350 zł za dobę. Andrzej Szymczak, który prowadził ten kemping jeszcze jako agent państwowej Pomeranii, o ich zakupie nie mógł wtedy marzyć. Potem kemping ktoś sprywatyzował, nadal go zatrudniając, a wreszcie postanowił się kempingu pozbyć. Szymczak kupił i nareszcie poczuł się na swoim. Może inwestować. Domków przybywa, a wraz z nimi gości.

Andrzej Stupkiewicz prowadzący kemping w Stegnie inwestować nie może, żaden bank nie da mu kredytu na zakup domków. Marzą mu się domki czteroosobowe, o powierzchni 35 m kw., ale przeważają tu namioty ustawione w starym,

ponadstuletnim lesie. Zaraz za nim są wydmy i od razu morze. Stare drzewa obniżają temperaturę, turystów nie męczą nawet trzydziestostopniowe upały. Bywa, że dla amatorów krótkiego weekendowego wypoczynku brakuje miejsc. Żeby mieć pewność, trzeba wcześniej zapłacić zadatek.

Stupkiewicz zarządza kempingiem od 30 lat i tyle samo czasu żyje na walizkach. Właścicielem jednego hektara gruntu są Lasy Państwowe, które mogą mu wypowiedzieć dzierżawę z półrocznym wyprzedzeniem bez podania powodu. Nie udało się przekonać Lasów, żeby zawarły z nim umowę choćby kilkuletnią. Przepisy mówią, że trzeba by wtedy las odleśnić, wyłączyć z produkcji drewna, choć hektar pod kempingiem nigdy drewna nie produkował. Gdyby był pracownikiem Lasów, miałyby prawo zakupić nieruchomości już po trzech latach pracy.

Choć do kempingów dokładać nie trzeba, to jednak szybko ich ubywa albo się kurczą. – *Ten miejski, w Świnoujściu, blisko morza, poważnie zmniejszono, żeby zbudować kilka apartamentowców. Zniknęły kempingi w Pobierowie i Pogorzeliczy* – wylicza Andrzej Szymczak. Lista jest długa. Według Międzynarodowej Federacji Campingu i Caravaningu co czwarty turysta odwiedzający inny kraj chce zobaczyć także jego stolicę. – *W Polsce zaledwie jeden na dziewięćdziesięciu* – twierdzi Michał Szeftel. Hotele odstrasza cenami, a Warszawa nie ma ani jednego kempingu. Jeszcze niedawno w stolicy było ich pięć.

30 lat na walizkach

Kempingi zabija to, co je czyni najbardziej atrakcyjnymi dla turystów – doskonałe położenie nad morzem, nad jeziorami czy w górach. Kiedyś były państwowe, najpiękniejszymi zakątkami kraju miała się cieszyć klasa pracująca miast i wsi. Po 1990 r. ich właścicielami zostały gminy, państwo albo Lasy Państwowe. Od kilku lat obecni właściciele kempingów chętnie ulegają namowom deweloperów i sprzedają je pod budowę apartamentowców. Widokiem na morze, jezioro czy góry cieszą się już tylko ci, których na to stać. W Międzyzdrojach czy Mielnie powstaje największa liczba mieszkań w stosunku do liczby mieszkańców. Przez większą część roku stoją puste. Obok kempingu w Stegnie ma powstać sześciokondygnacyjny apartamentowiec. Na Mierzei już jest ich pełno.

O losie kempingu Słoneczna Jurata, oddzielonego od morza tylko wydymami, Lasy Państwowe już zdecydowały. W pełni letniego sezonu brama jest zamknięta, na terenie nie ma już namiotów ani domków. Tu też powstaną apartamentowce oraz jakieś centrum konferencyjne – informuje sprzedawca z pobliskiego sklepu. Teren zostanie odlesiony, kolejne drzewa wycięte. Walizki pakuje Magdalena Kiseweter, zarządzająca kempingiem Pod Krokwią w Zakopanem. – *Działaliśmy przez cały rok, na ogrzewane domki nie brakowało chętnych nawet zimą, od nas od razu wychodzi się na górskie szlaki* – relacjonuje. Domki są stare, wymagają remontu, ale cena 92 zł od osoby była nie do pobicia. Miasto zdecydowało, że kemping likwiduje, staną tu apartamentowce. Internauci są oburzeni, deweloperzy skuteczni.

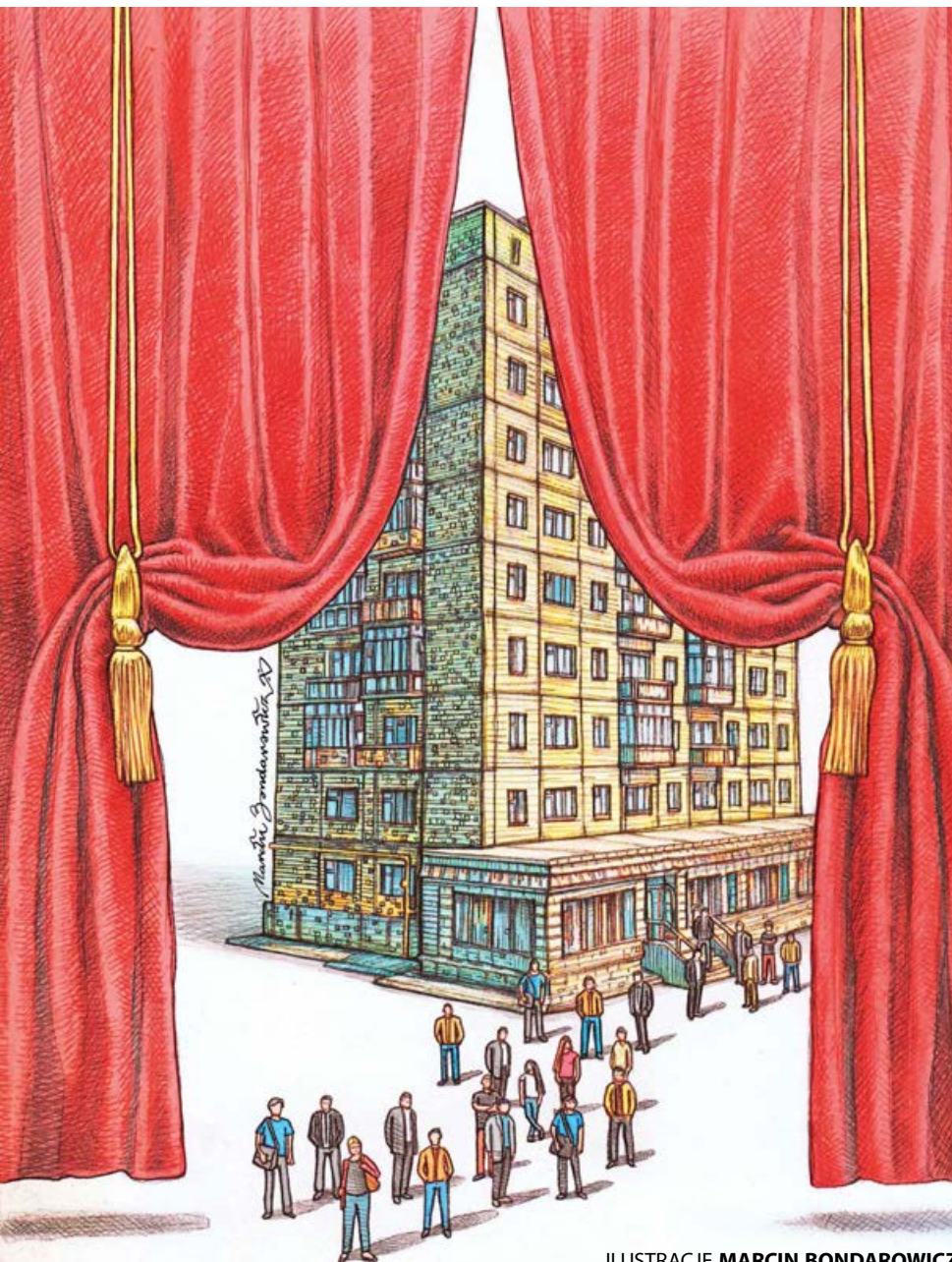
Jakub Grajek, który nie tylko zarządza kempingiem Pod Brzozami w Ustroniu, ale też apartamentowcami, uważa, że procesu likwidacji kempingów nie da się zatrzymać. Na kilkupiętrowych apartamentowcach zarabia się po prostu lepiej niż na parterowych domkach. Andrzej Szymczak z Dziwnówka jeszcze nie zdążył przekształcić wieczystej dzierżawy gruntu pod kempingiem, a już ma oferty kupna od deweloperów. Druga młodość kempingów, tak popularnych w PRL, może więc być ostatnia. Realizuje się marzenie prezesa Kaczyńskiego, aby Polacy wyjeżdżali na wakacje do Egiptu.

JOANNA SOLSKA

Gorączka na kredyt

Mieszaniowy przedwyborczy program PiS wstrząsnął rynkiem. Deweloperzy nie nadążają za popytem, więc ceny w dużych miastach biją kolejne rekordy. Marzenia o własnym lokum wkrótce będą zarezerwowane tylko dla najbogatszych.

CEZARY KOWANDA



ILUSTRACJE MARCIN BONDAROWICZ

Tegoroczny lipiec był na świecie najcieplejszym miesiącem w historii pomiarów temperatury, a według wielu naukowców najgorętszym w całych dziejach ludzkości. W Polsce rekordy pogodowe co prawda nie padały, ale za to nasz rynek nieruchomości dostosował się do globalnych trendów meteorologicznych. Zgodnie z danymi Biura Informacji Kredytowej liczba klientów poszukujących środków na zakup domu czy mieszkania podwoiła się w porównaniu z ubiegłorocznym lipcem, a wartość wniosków o kredyty hipoteczne wzrosła aż o 273 proc. Deweloperzy sprzedali w ubiegłym miesiącu w siedmiu największych polskich aglomeracjach aż 5,7 tys. mieszkań, bijąc i tak świetny wynik z czerwca (5,5 tys.). Tymczasem w drugiej połowie ubiegłego roku znajdowali klientów na zaledwie 2,5–3 tys. lokali miesięcznie.

Bez limitu

Gwałtowny wzrost temperatury na naszym rynku nieruchomości spowodował przede wszystkim tzw. Bezpieczny Kredyt 2 proc. To jeden z pomysłów PiS na kampanię wyborczą, którego popularność przeszła najśmielsze oczekiwania polityków. Ten produkt dostępny jest dopiero od początku lipca i na razie tylko w niektórych bankach – głównie tych kontrolowanych przez państwo, jak PKO BP, Pekao SA czy Alior Bank. One otrzymały ponoć polityczne polecenie, aby błyskawicznie wprowadzić do oferty kredyt z dopłatą. Co ciekawe, banki prywatne się z tym nie spieszą, a część z nich w ogóle ogranicza liczbę udzielanych kredytów hipotecznych. Niektóre liczą wciąż straty po kredytach frankowych, inne boją się kwestionowania w sądach wskaźnika WIBOR.

Okazało się jednak, że państwowa część sektora wystarcza klientom. W ciągu zaledwie pięciu tygodni złożyli oni wnioski o 24 tys. takich pożyczek. Eksperti szacują, że do końca roku może być ich nawet 70 tys. Tymczasem rząd zakładał, że w tym roku udzielonych zostanie ok. 10 tys. wyborczych kredytów, a w przyszłym 40 tys. Jednak z uwagi na polityczne cele PiS nie wprowadził w tym roku żadnych limitów. Każdy, kto złoży wniosek do grudnia i spełnia warunki, może skorzystać z kredytu, przy którego spłacie przez 10 lat będą mu pomagać wszyscy podatnicy. Dzięki temu oprocentowanie takiej pożyczki ma ►

► wynieść zaledwie ok. 2 proc. rocznie, a nie 8–9 proc., jak w przypadku zwykłych kredytów komercyjnych.

Wystarczy mieć nie więcej niż 45 lat (w przypadku pary jedna z osób może być nawet starsza) i nie posiadać dotąd żadnego domu ani mieszkania. Zainteresowanie jest ogromne z kilku powodów. Po pierwsze, taki kredyt może opiewać na 500–600 tys. zł, a dodatkowo wolno jeszcze dodać do 200 tys. wkładu własnego. To z kolei pozwala w wielu miastach na wybór mieszkania trzypokojowego. Poza tym rząd nie wprowadził żadnego limitu ceny za metr kwadratowy. Można szukać lokali i nowych, i używanych, a także zdecydować się na zakup czy budowę domu jednorodzinnego. Oszczędności okazują się niebagatelne, bo w przypadku kredytu na 400 tys. zł rata miesięczna będzie niższa o mniej więcej tysiąc złotych, a przy maksymalnej kwocie 600 tys. zł nawet o 1,5 tys. zł. od rat kredytu bez dopłaty. – *Zauważyliśmy większe zainteresowanie klientów już w lutym, gdy ci mający nadzieję na Bezpieczny Kredyt 2 proc. zaczęli rezerwować upatrzone mieszkania. Na razie największy popyt jest w dużych miastach. Spodziewamy się, że ta fala dotrze na jesieni też do mniejszych ośrodków* – ocenia Konrad Płochocki, dyrektor generalny Polskiego Związku Firm Deweloperskich.

Znikające mieszkania

Gorączka na rynku nieruchomości nie jest jednak związana tylko z promocyjnym kredytem. Wszystkich szukających mieszkań najbardziej martwi coraz uboższa oferta. To dlatego decyzje o zakupie podejmuje w pośpiechu też wiele osób, które nie mogą skorzystać z Kredytu 2 proc. albo nawet nie potrzebują żadnej pożyczki, bo mają spory zapas gotówki. Boją się, że już niedługo nie będzie z czego wybierać, i mogą mieć rację. W każdym z ostatnich miesięcy deweloperzy sprzedają więcej mieszkań, niż wprowadzają ich na rynek. Rząd w pogoni za wyborczymi głosami wspomógł część kupujących, ale zapomniał, że mieszkań nie da się w szybkim tempie wyprodukować.

Tym bardziej że deweloperzy w ubiegłym roku mocno ograniczyli swoją działalność. Nie chcieli obniżyć cen, więc postanowili po prostu zamrozić część inwestycji i w ten sposób przeczekać spowolnienie spowodowane gwałtownym wzrostem stóp procentowych. – *Co więcej, ofiarą cięć padły zwłaszcza mniejsze i tańsze lokale, na które teraz, z powodu Kredytu 2 proc., jest ogromny popyt. Deweloperzy woleli skoncentrować się na mieszkaniach*

z segmentu premium, wybieranych przede wszystkim przez zamożniejszych klientów, którzy często nie potrzebują kredytu przy zakupie, więc dla nich wyższe stopy nie były problemem – podkreśla Marek Wielgo, analityk rynku nieruchomości w portalu Rynekpierwotny.pl.

Według danych GUS w 2022 r. firmy deweloperskie zaczęły budowę 116 tys. mieszkań – aż o 30 proc. mniej niż w 2021 r. Tymczasem oddały do użytkowania prawie 144 tys. lokali. Także pierwsze półrocze tego roku to kontynuacja tej nierównowagi. Deweloperzy przekazali klientom klucze do 64 tys. lokali, ale zaczęli budowę tylko 48 tys. mieszkań. Co dalej?

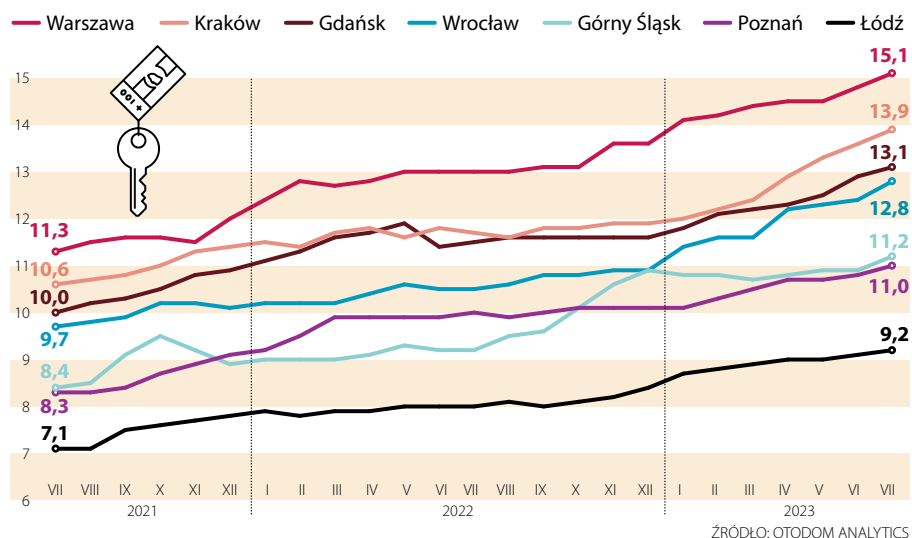
przede wszystkim o dostęp do gruntów, które dzisiaj należą do Krajowego Zasobu Nieruchomości lub spółek Skarbu Państwa. Wiele takich działek miało zostać przeznaczonych na Mieszkanie Plus, ale rząd sam ogłosił śmierć swojego niegdyś sztandarowego projektu. Tymczasem zarezerwowane dla niego grunty dalej nie są wykorzystywane, bo państwowe przedsiębiorstwa boją się je sprzedawać.

Cenowe kominy

Oczywiście branża nieruchomości wykorzystuje nagły powrót koniunktury, co widać w cennikach. Kredyt 2 proc. jest może i tańszy, ale koszt

Powrót podwyżek

(Rynek pierwotny: średnia cena w tys. zł za m kw. w ofercie deweloperów)

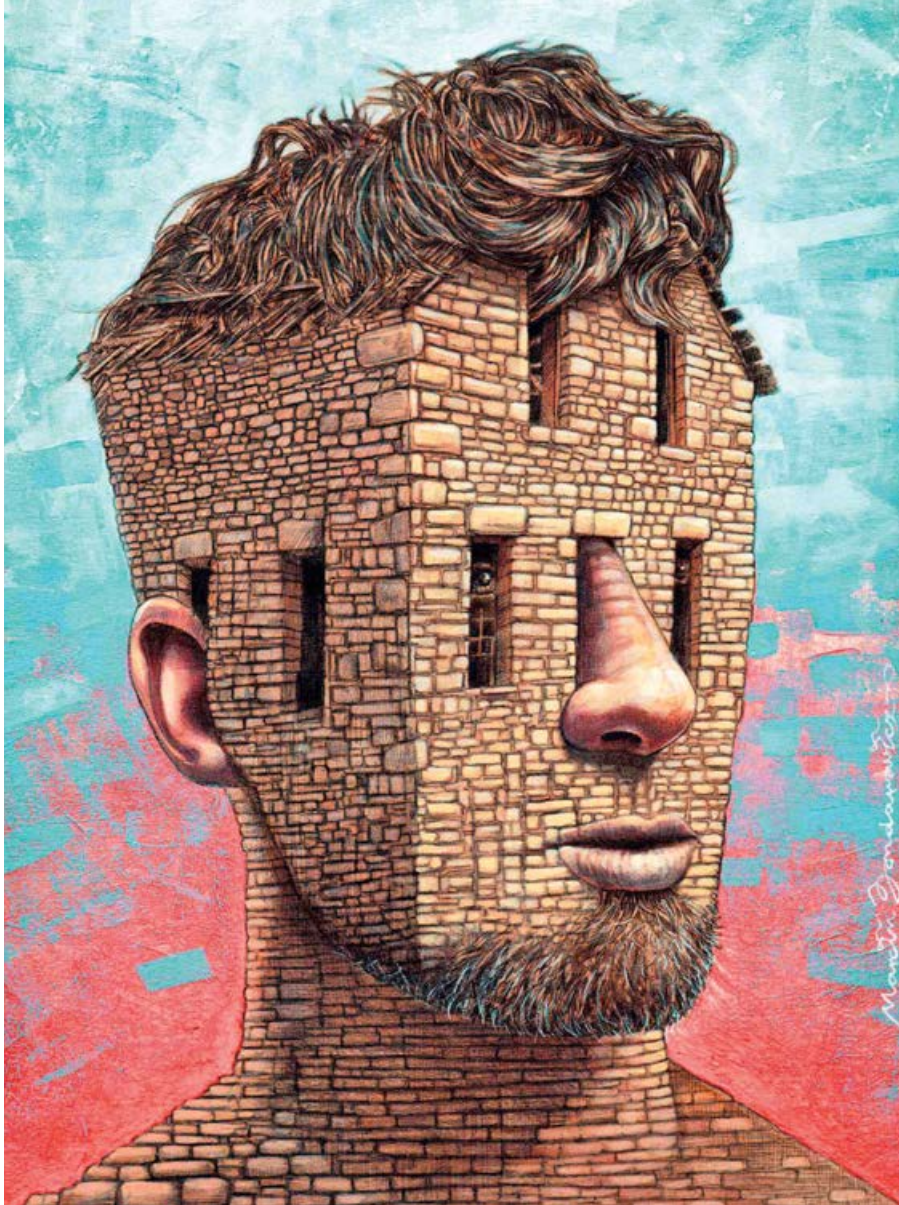


Branża twierdzi, że stara się reagować na eksplozję popytu wśród klientów, ale jej możliwości są ograniczone. – *Od lutego deweloperzy wprowadzają do sprzedaży tak dużo projektów, jak tylko mogą. Wykorzystują swoje banki ziemi i wszystkie pozwolenia na budowę, ale sytuacja jest różna w zależności od miasta. Spory wpływ na naszą działalność ma polityka lokalnych władz i tempo działania urzędów.*

Najlepsza pod względem nowych inwestycji sytuacja jest w Łodzi i Poznaniu, gdzie możemy liczyć na dobrą współpracę z samorządami. Gorzej w Warszawie i Trójmieście, a fatalnie w Krakowie, który od lat prowadzi antyinwestycyjną politykę. I to właśnie tam oferta dostępnych mieszkań kurczy się najszybciej – podkreśla Konrad Płochocki z Polskiego Związku Firm Deweloperskich. Dodaje, że bez radykalnych zmian deweloperzy nie będą w stanie znacząco zwiększyć liczby inwestycji. Branża od dawna apeluje

zakup mieszkania różnie w szybkim tempie. W drugiej połowie ubiegłego roku deweloperzy, przerażeni gwałtownym spadkiem liczby udzielanych kredytów, praktycznie zamrozili ceny. Jednak od kilku miesięcy po tej stabilizacji nie ma śladu. W Warszawie metr kwadratowy nowego mieszkania kosztuje według danych Otodom Analytics średnio już ponad 15 tys. zł, podczas gdy rok temu było to 13 tys. zł. W Krakowie, także z powodu poważnego deficytu inwestycji, została niemal osiągnięta granica 14 tys. zł (podwyżka w ciągu roku o prawie 20 proc.!), a Gdańsk i Wrocław z wynikami po ok. 13 tys. zł biją się o trzecią lokatę w tym mało chlubnym rankingu.

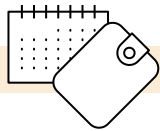
Najwolniej mieszkania drożeją w Łodzi i Poznaniu, co ma potwierdzać argumenty deweloperów o tym, że elastyczność lokalnych władz oznacza bardziej dostępne mieszkania. Tyle



Kredyt 2 proc. – o ile tańszy?

(Czas spłaty 30 lat)

Kwota kredytu	Miesięczna rata zwykłego kredytu o oprocentowaniu zmiennym (obecna)	Miesięczna rata kredytu 2 proc. z dopłatą (stała przez 10 lat)
200 tys. zł	1565 zł	1034 zł
300 tys. zł	2347 zł	1551 zł
400 tys. zł	3130 zł	2067 zł
500 tys. zł	3912 zł	2584 zł
600 tys. zł	4695 zł	3101 zł



ŹRÓDŁO: EXPANDER

że taka polityka rodzi często konflikty, bo mieszkańcy istniejących osiedli nie chcą ich dogęszczania, zabierania im bezpłatnych dotąd miejsc parkingowych i wycinania drzew. Deweloperzy zatem spodziewają się, że przynajmniej do wiosennych wyborów samorządowych będzie im jeszcze trudniej o nowe pozwolenia na budowę.

Mieszkanie szaleństwo wśród klientów to nie tylko efekt emocji, ale i chłodnej kalkulacji. – *Wiele młodszych osób doszło do wniosku, że oto pojawiła się dla nich ostatnia szansa na własne mieszkanie. Z jednej strony chcą skorzystać z dopłat, a z drugiej widzą szybko rosnące ceny i zdają sobie sprawę, że już wkrótce lokale zwłaszcza w metropoliach*

po prostu przestaną być dla nich dostępne. Najbliższe miesiące doprowadzą do sytuacji, w której tańsze mieszkania – zarówno nowe, jak i z rynku wtórnego – praktycznie znikną z portali ogłoszeniowych. Staniemy się nowoczesnym krajem na wzór państw Europy Zachodniej w tym sensie, że mało kogo będzie stać na własność w dużym mieście – ocenia Wielgo.

Paradoksalnie zatem kredyt 2 proc., który ma pomóc młodym, przyspieszy wzrost cen i pozbawi klasę średnią szansy na własność, skazując ją na wynajem albo mieszkanie na dalekich peryferiach aglomeracji. Kto nie może dziś znaleźć lokalu u dewelopera, ten także na rynku wtórnym ma coraz większe kłopoty. Spada bowiem podaż mieszkań używanych i to przynajmniej z dwóch powodów. Część właścicieli nie chce ich sprzedawać, bo nie wie, co zrobić z zarobioną w ten sposób gotówką. Nawet najlepiej oprocentowane lokaty nie chronią oszczędności przed wciąż dwucyfrową inflacją. Poza tym gorsza oferta u deweloperów oznacza osłabienie zjawiska przeprowadzek z mniejszych do większych lokali, podczas których dotychczasowe mieszkanie było wystawiane na sprzedaż, aby sfinansować część kosztów zakupu nowego.

Deweloper plus

Rząd na pewno w kampanii będzie się chwalił popularnością swojego projektu, za to jego destabilizujący wpływ na cały rynek raczej przemilczy. Tymczasem problemów dałoby się uniknąć, gdyby w poprzednich latach spowolnienia zachęcono deweloperów do większej aktywności. Można było to zrobić na różne sposoby: przez partnerstwo publiczno-prywatne (państwo daje tak pożądaną grunty, a prywatne firmy część lokali budują pod tani wynajem) albo współpracę z samorządami, które dostałyby środki do znacznego rozszerzenia programów budownictwa komunalnego czy społecznego.

Tymczasem rządzący politycy najpierw wierzyli naiwnie w sukces Mieszkania Plus, potem narzekali na deweloperów, a tuż przed wyborami zaoferowali im niespodziewany prezent. I tylko zapomnieli, że dzięki Kredytowi 2 proc. samych mieszkań przybędzie najwcześniej za dwa lata. Bo tyle trwa średnio budowa nowego bloku, zakładając, że deweloper dysponuje wszystkimi niezbędnymi dokumentami. Na razie klienci biją się o coraz szybciej znikające lokale, a sprzedawcy kalkulują, o ile jeszcze mogą podnieść ceny. Ta gorączka potrwa dłużej niż lato.

CEZARY KOWANDA

Dopaść Zełenskiego

Rosjanie polują na prezydenta Ukrainy z nieco mniejszym zapalem niż na początku wojny. A mają przecież możliwości: udało im się trafić w siedzibę wywiadu wojskowego GUR w Kijowie. Jednak gmachu przy ulicy Bankowej nie atakują.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Smierć czeka na Wołodymyra Zełenskiego, kiedy prezydent opuszcza swoje zaciemnione kijowskie biuro w gmachu rządowym przy Bankowej. Kiedy leci śmigłowcem na pole walki pod Bachmutem, jedzie pociągiem przez Ukrainę pod Chersoń albo płynie łodzią motorową na Wyspę Węży. Teraz, po 18 miesiącach, już się przyzwyczaił i mówi, że całkowicie polega na swojej ochronie.

Ma inne zmartwienia na głowie. A może zdał sobie sprawę, że ryzyko nie jest już aż takie duże – jego najbliższe otoczenie sprawdziło się i w walce, i w wierności, a podejmowane w nagłym trybie decyzje wyjazdowe nie dają szpiegom czasu na poinformowanie moskiewskiej centrali o celu podróży prezydenta. Jego doradca stoicko zauważa, że „mogą nas trafić wszędzie, i co z tego? Musimy pracować!”.

Ale na początku wojny Zełenski naprawdę był narażony na ataki, a grupy zabójców naprawdę próbowały się przebić do centrum Kijowa. Wtedy był „tylko” prezydentem napadniętego kraju, któremu prawie wszyscy wieszcyli szybki upadek, a Zełenskiemu osobiście co najwyżej sprawowanie urzędu na uchodźstwie. Od tego czasu znaczenie Zełenskiego tak wzrosło, że Kreml – gdyby odniósł sukces w swoim polowaniu na niego – mógłby tylko stracić. Niełatwo bowiem zabić legendę, jaką stał się Zełenski w ciągu tych 18 miesięcy.

Jednak Kreml wciąż próbuje. Przed kilkoma dniami Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) poinformowała o aresztowaniu kobiety w Oczakowie nad Morzem Czarnym. Zaangażowana była w przekazywanie Rosjanom pozycji ukraińskich przeciwlotników i śledzenie przygotowań do przyjazdu prezydenta Ukrainy, który pod koniec lipca wizytował ten odcinek frontu.

Najgorzej już było

Najwięcej prób zamachu na Zełenskiego podjęto na samym początku wojny. Ich liczba, podawana przez doradcę prezydenta Michała Podoljaka – 12 – wcale nie wydaje się przesadą, zważywszy na liczbę rosyjskich jednostek wojskowych i paramilitarnych rywalizujących wówczas o jak najszybsze przedarcie się do Kijowa. Z tamtych dramatycznych dni pozostało wiele nagrań telefonami komórkowymi, wykonanych przez mieszkańców przedmieść. Jedno zwłaszcza cieszyło się ponurą sławą: pokazywało rozbięcie kolumny anonimowych samochodów cywilnych, z ludźmi w mundurach, którzy ewidentnie zagubili się w podkijowskim blokowisku.

Widać na filmie, jak są systematycznie zabijani przez niewidocznych w kamerze żołnierzy sił specjalnych Ukrainy.

Ujawniono później, że ten marny los spotkał rosyjskie komando wysłane do Kijowa jako awangarda ataku, z zamiarem zdekapitowania ukraińskiego przywództwa. Oprócz rosyjskiego specnazu, sił specjalnych podlegających wywiadowi wojskowemu GRU, do Kijowa dotarły również oddziały Czełnieców i prawdopodobnie również wagnerowców. I to tych lepszych, zawodowych rosyjskich komandosów-najemników, a nie wychudzonych więźniów, którzy później falami ginęli pod Bachmutem.

Ukraińcom udało się udaremnić te ataki. Z nieskrywaną satysfakcją Oleksij Daniłow, sekretarz rady bezpieczeństwa, mówił, że ukraiński wywiad znał plany dywersji od źródła umieszczonego w rosyjskiej służbie bezpieczeństwa FSB. Być może tak było, jednak na przełomie lutego i marca sytuacja wydawała się wymykać Ukraińcom spod kontroli. Z łagodnym niedowierzaniem potraktować można słynną anegdotę o Zełenskim, który miał mówić anonimowemu amerykańskiemu dyplomacie (i zarazem jednemu i niepewnemu źródłu tych słów), że „potrzebuje amunicji, a nie podwózki”. W rzeczywistości sytuacja była poważna, prezydent i jego otoczenie w pierwszych dniach nie ruszali się z bunkra przy Bankowej. Zełenskiemu groziły nie tylko rosyjskie rakiety Kindżał, komanda rosyjskich zabójców, ale i możliwość zdrady we własnych szeregach. Spośród uzbrojonych ludzi w swoim otoczeniu ufać mógł tak naprawdę tylko Maksymowi Doniecowi, osobistemu ochroniarzowi, którego znał i cenił od 2019 r.

Dopiero kiedy minęło pierwszych 10 dni inwazji, Zełenski zażądał podróży poza Kijów. Chciał zobaczyć wojnę z bliska, bo – podobnie jak miliardy ludzi na świecie – do tej pory jej obrazy widział tylko na Twitterze i Telegramie. Suche meldunki wojskowych i wywiadu nie oddawały pełni grozy i cierpienia jego współobywateli. Według opowieści ludzi z jego otoczenia Zełenski w swojej pierwszej podróży dziwił się lejom po bombach. I trudno było się nie dziwić, nie startował przecież do prezydentury, by prowadzić wojnę. W takich warunkach kształtował się człowiek, który niebawem miał zostać globalnym symbolem niezłomności i walki ze złem rosyjskiej agresji.

Jednak anegdota o buńczucznym odrzuceniu oferty ewakuacji Zełenskiego w pierwszych dniach





wojny oddawała rzeczywisty i strategiczny problem zarówno Ukrainy, jak i – przede wszystkim – Zachodu. Kogo wspierać, jeśli by zabrakło prezydenta.

Sukcesja

Zgodnie z konstytucją Ukrainy, jeśli głowa państwa nie może pełnić swoich obowiązków, jej miejsce czasowo może zająć przewodniczący Werchownej Rady, czyli parlamentu. Obecnie jest nim Rusłan Stefanczuk, w przeszłości bliski doradca Zełenskiego. W kolejnych miesiącach potwierdził swoją bezwarunkową orientację na Zachód, kiedy bez cienia zmęczenia podróżował po Europie, zachęcając do wsparcia Ukrainy. W Polsce Stefanczuk był gościem prezydenta Andrzeja Dudy, ale gościł również na Campusie Polska Rafała Trzaskowskiego. Wystąpienie Stefanczuka zostało przez młodych Polaków przyjęte entuzjastycznie. Jego zwalista, niedźwiedzia postura w połączeniu z umiejętnościami oratorskimi kazały się domyślać, że nawet gdyby Zełenskiego zabrakło, Ukraina ma lidera zdolnego podnieść upuszczony przez prezydenta sztandar.

Sprawa ta była szczególnie ważna w pierwszej fazie wojny, kiedy Kreml szykował się do osadzenia w Kijowie posłusznej sobie władzy. Miał co najmniej dwóch kandydatów na miejsce Zełenskiego. W Rostowie nad Donem czekał w gotowości były prezydent Wiktor Janukowycz. Jego ucieczka z Ukrainy w lutym 2014 r. była triumfem kijowskiego Majdanu i jednocześnie początkiem rosyjskiej inwazji na Krym i Donbas. Dla wielu Ukraińców Janukowycz był symbolem zdrady i upadku – czyli idealnie nadawałby się na rosyjskiego namiestnika.

Kreml miał jeszcze lepszego kandydata: Wiktora Miedwiedczuka, ukraińskiego ultraoligarchę i przyjaciela Władimira Putina, ojca chrzestnego jego córki. W lutym wywiad ukraiński podejrzewał, że prorosyjska partia Za Życiem chce odwołać Stefanczuka i osadzić Miedwiedczuka. Jeśli Rosjanom powiódłby się jednocześnie zamiar wyeliminowania Zełenskiego, Miedwiedczuk mógłby „legalnie” zostać prezydentem Ukrainy. Miedwiedczuk został zatrzymany, ale 26 lutego udało mu się zbiec z aresztu domowego. Schwymano go dopiero w kwietniu, a pozycja i bezpieczeństwo Zełenskiego zdołały już okrzepnąć po pierwszym szoku wywołanym napaścią Rosjan.

Ale co by się stało, kiedy i Stefanczuka by zabrakło w chaosie pierwszych dni wojny? Tutaj ukraińska konstytucja jest już mniej precyzyjna, podaje tylko, że zastępcy przewodniczącego Rady zastępują go w czasie nieobecności, ale czy stają się automatycznie pełniącymi obowiązki prezydenta?

Oczywiście teraz te spekulacje brzmią już mniej groźnie, Kijów nie jest zagrożony. Ale w lutym i marcu ub.r. zachodni dyplomaci poświęcili im wiele czasu i pracy prawników. Upadek Kijowa i nieobecność centralnej figury niemal na pewno sprowokowałyby Rosjan do podbicia całej Ukrainy. ►

► Niemożliwa stałaby się pomoc wojskowa i finansowa – komu składać obietnice pomocy i w czyje ręce przekazywać kolejne partie uzbrojenia? Jeśli Rosjanie wybraliby marionetkowy rząd, to mimo braku uznania przez Zachód powstałaby nowa sytuacja prawna np. dla Chin, Indii i Brazylii, zbliżających się do Rosji.

Prawa statystyki

Istnieje tendencja do przypisywania jednostkom wybitnej roli w historii. Rola Wołodymyra Zełenskigo w zachowaniu niepodległej Ukrainy zdaje się tę intuicję potwierdzać, kiedy obserwujemy jego triumfalne podróże do światowych stolic. I rewerencje, z jaką przyjmują go głowy państw, parlamenty i zwyczajni ludzie, dla których stał się niemal popgwiazdą i bohaterem globalnej wyobraźni. Wojna, oprócz starcia dział i czołgów, jest również wojną percepcji.

Ukraina dużą część swoich zwycięstw i przetrwanie zawdzięcza temu, że jej prezydent żyje, jeździ po świecie, zdobywa poparcie i powoduje, że nawet tak bliscy Moskwie partnerzy jak Chiny muszą zmierzyć się z figurą Zełenskigo. Jednak nauki o wojnie i statystyka mówią coś przeczącego tej intuicji: śmierć lidera nie liczy się aż tak bardzo dla losów wojny, w którą zaangażowany jest jego kraj.

W 2007 r. dwójka naukowców z Cambridge – Benjamin Jones i Benjamin Olken – zbadała wpływ zabójstw polityków, od 1875 do 2004 r., na stan państw i wojen przez nie toczonych. W tym czasie na świecie odbyło się 298 prób zamachów, z czego udanych, skutkujących śmiercią polityka, było 59. Ze statystyki wypływają dwa wnioski, ciekawe z punktu widzenia Rosji i losu wojny w Ukrainie.

Pierwszy jest optymistyczny dla społeczeństw, zwłaszcza żyjących w państwach autorytarnych (jak Rosja). Statystyka dowodzi, że zabójstwo dyktatora może pomóc demokracji, co poetycko zobrazował w czasie narodzin Stanów Zjednoczonych Ameryki Thomas Jefferson: „drzewo wolności trzeba od czasu do czasu podlewać krwią tyranów i patriotów”. A zgodnie z badaniami z Cambridge, jeśli zamach się udaje, to istnieje ponad 13 proc. więcej szans, że pozbawione dyktatora państwo zmieni się w demokrację, niż w przypadku zamachu nieudanego. W 19 proc. badanych przypadków w ciągu następnych 10 lat po zabójstwie tyrana (takiego jak Putin) nastąpiła reforma instytucjonalna i poluzowanie reżimu. Zatem w świetle tych badań dla Rosji wciąż istnieje szansa na demokrację, jeśli tylko znajdzie się tam ktoś poważniejszy niż Jewgienij Prigożyn.

Drugi wniosek dotyczy wpływu zabójstwa lidera na przebieg wojny, zwłaszcza w dużej skali. Tutaj badania wskazują, że tylko w niewielkiej grupie wojen wpłynęło ono na szybsze zakończenie konfliktu. Dla Rosjan wcale nie musiałoby oznaczać zwycięstwa ani nawet przyspieszenia końca kosztownej wojny. Zwłaszcza że przypadek Ukrainy jest szczególny, jeśli wziąć pod uwagę wzorce społeczne, które ujawniły się tam po inwazji. Charakter ruchu oporu i partyzantki na okupowanych przez Rosjan terenach pokazał, że ludzie organizują się oddolnie, często bez wyznaczonych liderów i struktur dowodzenia. Podobny był przypadek samoorganizacji Majdanu w Kijowie, w czasie którego nie ujawnili się jacyś szczególnie ważni liderzy. Sporadyczne relacje ukraińskiego biznesu po wybuchu wojny również podkreślają wagę poziomych więzi społecznych w ich firmach dla przetrwania w czasie chaosu wojennego, ewakuacji pracowników i przeniesienia firmy w inne miejsce, nawet za granicę.

Ten poziomy charakter relacji w społeczeństwie ukraińskim, gdzie liderzy odgrywają ważną, ale nie decydującą rolę, podkreśla Timothy Snyder, historyk amerykański, którego „wykłady o Ukrainie” na YouTube przyciągnęły miliony widzów. Tłumaczy, że Ukraińcy różnią się od Rosjan tym, że nie oczekują, iż rząd

zrobi za nich wszystko. Putin wykorzystał utrwaloną w rosyjskim społeczeństwie niewiarę we własną sprawczość do umocnienia swojej władzy. Natomiast bycie Ukraińcem, jak przekonuje Snyder, to „codzienny plebiscyt” wyborów życiowych, decyzji o wzięciu odpowiedzialności za siebie i miejscową społeczność, często w obliczu dysfunkcyjnego państwa. W wielu przypadkach samoorganizacja prowadzi do chaosu, z którego ukraińskie życie polityczne i społeczne było znane przed 2022 r. Teraz mogłoby to oznaczać, że kiedy zabrakłoby lidera, kolejny może się szybko pojawić, wyniesiony nienawiścią do Rosjan.

Rosjanie kalkulują

Rosjanie polują na Zełenskigo z nieco mniejszym zapałem niż na początku wojny. Niech nas nie zmyli ta nieszczęsna kobieta-szpieg z Oczakowa. Nie mogła nawet marzyć, że ujawni miejsce pobytu prezydenta. Rosjanie mają przecież też możliwości rażenia go, choćby atakując raketami jego siedzibę na Bankowej. Nawet jeśli rosyjskie rakiety nie są wystarczająco precyzyjne, byłyby zemstą za to, że Ukraińcy zaatakowali dronami Kreml. W maju Rosjanom udało się przecież trafić w siedzibę wywiadu wojskowego GUR w Kijowie na Ostrowiu. Jeśli chcą, to potrafią. A jednak ulicy Bankowej nie atakują.

Można tylko spekulować, dlaczego. Może uznali, że lepszy Zełenski żywy, ale stopniowo tracący swój powab „Churchilla XXI w.”? Obecny czas jest przecież dla ukraińskiego prezydenta trudniejszy niż rok ubiegły, kiedy triumfalnie przemawiał w amerykańskim Kongresie, a gwiazdy Hollywood prześcigały się w wyrazach sympatii. W lipcu, na szczycie NATO w Wilnie, Zełenski został przywitany raczej zniecierpliwieniem. Wśród sojuszników zaczęły się pojawiać głosy, że Ukraińcy nie doceniają pomocy, a ich ofensywa nie przynosi spodziewanych efektów, mimo towarzyszącego jej zadowolenia Zachodu, że tyle dla Ukrainy już zrobił. Ben Wallace, brytyjski minister obrony, mówił mu wprost, że „NATO nie jest Amazonem”, Joe Biden odrzucał prośby o rakiety ATACMS i samoloty F-16.

Wiosną pojawiła się również fala wezwań do zakończenia wojny drogą negocjacji. Plotki z kolejnych szczytów i spotkań, suflowane przez rosyjskich i chińskich dyplomatów, sugerują wręcz, że Ukraińcy zdolni są zgodzić się na ustępstwa terytorialne. Takie słuchy dochodziły np. z arabskiej Dżeddy ze spotkania Ukrainy z sojusznikami oraz państwami formalnie neutralnymi, jak Arabia Saudyjska, Indie czy Chiny. Podobny charakter – wysondowania, na ile Rosja gotowa jest dogadać się z Ukrainą w sprawie terenów okupowanych – miały rozmowy byłych dyplomatów USA Richarda Haasa i Charlesa Kupchana z Siergiejem Ławrowem w kwietniu, w ramach tzw. dyplomacji Track 2, czyli niezobowiązującego kanału kontaktów, utrzymywanych przez byłych dyplomatów z Rosjanami. Do zawarcia pokoju namawiają też Turcja i Chiny.

Rosjanie, mimo nienawiści, jaką Putin darzy Zełenskigo, muszą sobie zdawać sprawę, że jest on jedyną osobą w Ukrainie, która będzie umiała powiedzieć współobywatelom „dość”, jeśli obecna ofensywa nie przyniesie przełomu, a zachodnie poparcie będzie słabło. Koniec tej agonii Ukrainy w imię celów nie do osiągnięcia – tak przynajmniej postrzega tę fazę wojny część wpływowych komentatorów i polityków republikańskich w USA. Opcje przyszłego działania dyplomacji wymagają po stronie ukraińskiej lidera na miarę Zełenskigo. Nawet jeśli by miało go to zniszczyć w oczach wierzących w całkowite zwycięstwo Ukraińców i przekreślić w ukraińskiej Historii.

Byłoby to symboliczne zabójstwo ukraińskiego przywódcy – bardziej bolesne niż prawdziwa zbrodnia popełniona pistoletem, bombą albo nożem. A Rosjanie są śmiertelnie cierpliwi.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

„Niech żyje Rosja, niech żyje Niger i Nigeryjczycy” – zwolennik rządzącej w Nigrze junty z transparentem w kolorach rosyjskiej flagi, Niamey.

Francja bez Afryki

Jak to się dzieje, że mówiący po francusku Afrykanie z Sahelu bardziej cenią Putina niż Macrona i wolą opiekę Kremla niż pomoc Zachodu?

MARK OSTROWSKI

Precz z Francją”, „Francja złodziejka Afryki” – takie hasła pojawiły się wśród demonstrantów popierających juntę wojskową w Nigrze, która uwięziła dotychczasowego prezydenta. Junta konsoliduje władzę, odmawia dialogu z wysłannikami międzynarodowych organizacji. Niger liczy 25 mln mieszkańców i mimo że dysponuje 7 proc. światowych złóż uranu, jest najbiedniejszym krajem kontynentu, w dodatku przeżył klęskę suszy i głodu. I trawi go ta sama gorączka dżihadu, co sąsiednie kraje – Mali i Burkina Faso. To samo było tam wcześniej.

W Burkina Faso do wojskowego zamachu stanu doszło niemal rok temu i – tak jak jeszcze wcześniej w Mali – nowa ekipa żąda wyniesienia się francuskich wojsk, które pomagały legalnym władzom walczyć z dżihadystami. A podsycanie

niechęci czy nawet wrogości do Francji wydaje się juntom wojskowym dobrą metodą pozyskiwania poparcia mieszkańców. Ponadto kraje Sahelu stopniowo ogarniają emocje polityczne znanej i u nas w Europie polityki tożsamościowej. A dodatkowo także wojny kulturowej, widzianej jako obrona tradycyjnych wartości przed zgnilizną moralną Zachodu. Zapadła w pamięć brutalna operacja Boko Haram – porwania dziewczynek pod hasłem „nie dla zachodniej edukacji”. To trochę gdzie indziej, ale podobne w treści.

Strefa Sahelu to długi na 5,4 tys. km pas wzdłuż 16. równoleżnika na południowych obrzeżach Sahary, od Senegalu nad Atlantykiem po Erytreę nad Morzem Czerwonym. Region ważny nie tylko dla Francji, ale też dla całej Europy; dotychczasowe władze w Niamey, stolicy Nigru, od 2016 r. współpracowały z Unią, by powstrzymać

czy choćby ograniczyć emigrację mieszkańców na nasz kontynent. Wiadomo, że niepokoje i niestabilność tylko tę emigrację nasila. Już nasiliły.

Tu paradoks: junty wojskowe sięgające po władzę powołują się na nieskuteczność walki z dżihadystami, fiasko francuskich działań militarnych. Ale obalenie i tak słabych instytucji demokratycznych i laickich państwa doskonale służy dżihadystom. Na miejsce tych instytucji chcą zasad szariatu w każdej dziedzinie: kodeksu karnego, prawa cywilnego i rodzinnego. Junty więc pełnią rolę użytecznego konia trojańskiego dżihadystów.

Nasze podwórko

A czemu winna Francja? Za każdym razem puczyści wykorzystują antyfrancuskie resentymy i przedstawiają zamach stanu jako wyzwolenie się spod ►

► władzy kolonizatorów. Chodzi przy tym nie tylko o głęboko osadzone pokoleniowe wspomnienia z okresu prawdziwej kolonizacji, ale i współczesną politykę francuską. Za dużo ingerencji w treści, za dużo arogancji w formie – tak stosunek Paryża do dawnych kolonii oceniają analitycy specjalizujący się w sprawach Afryki. Chodzi też o klientelizm, nieprzejrzyste powiązania finansowe dawnych francuskich „panów Afryki” i dzisiejsze afery, wcale nie łatwe do prześledzenia.

Kilka miesięcy temu opisywano interesy francuskiego miliardera Vincenta Bollore. Ten ultrapravicowy magnat mediowy, szef imperium obejmującego Canal+, C8 i CNews, prowadzi ogromne interesy w Afryce. Oskarżony jest o korupcję i fałszerstwa; teraz wyszło na jaw, że w 2009 r. miał np. zlecić wielkiej agencji marketingowej promowanie Alpha Condé na prezydenta Gwinei, by dzięki temu wygrać przetarg na zarząd głównego portu w kraju.

Od lat Paryż traktował Afrykę jako zastrzeżony dla siebie teren działania. W obiegu funkcjonowały takie określenia, jak *le pré carré africain* (afrykańskie podwórko, w domyśle własne) i *Françafrique*. Ten drugi to zlepek słów Francja i Afryka, tytuł filmu propagandowego z lat 60., kiedy dziesiątki krajów afrykańskich wybijały się na niepodległość, ale duża część lokalnych polityków zabiegała o braterstwo z Paryżem. Pierwsi prezydenci Senegalu, najważniejszego kraju Sahelu, poeta, autor senegalskiego hymnu narodowego Léopold Sédar Senghor, i Wybrzeża Kości Słoniowej – Félix Houphouët-Boigny byli wcześniej ministrami w rządzie w Paryżu. Ci zapewne byli bez zarzutu, ale wielu innych nowo wyłonionych przywódców okazywało się skorumpowanymi kacykami.

Kompromitującą postacią silnych związków z metropolią był kapitan francuskiej armii Jean-Bédél Bokassa, który nie tylko został prezydentem Republiki Środkowej Afryki, ale też proklamował się potem jej cesarzem, a okazał się kleptomatem i ludożercą. Znany był jego serwilizm wobec Francji, a ofiarowywane prezydentowi Giscardowi d'Estaing diamenty omal nie utopiły tego francuskiego polityka. Pamiętam, jak obsługiwałem jeden z regularnych szczytów Francja-Afryka w latach 80. i uderzyło mnie, że większość afrykańskich prezydentów odnosiła się do ówczesnego prezydenta François Mitterranda jak do ojca chrzestnego.

To jeszcze Mitterrand zapowiedział, że Francja będzie się troszczyć o – uważa – demokrację i swobody obywatelskie w Afryce, a pomoc finansowa nie trafi

do rządów autokratycznych, lecz przede wszystkim w ręce tych, którzy „wykażą odwagę marszu ku demokracji”. Ale przypadek cesarza Bokassy jest symbolem, z którym Francja boryka się w Afryce do dziś. W pamięci nawet młodych Afrykanów pozostaje Blaise Compaoré, obalony przez prawdziwe powstanie ludowe prezydent Burkina Faso, który trzymał się u władzy 27 lat – z błogosławieństwem Paryża. Niejasna była też rola Francji w zamordowaniu zrewolucjonizowanego marksisty, ikony rewolucji Thomasa Sankary, bohatera narodowego tego kraju przynajmniej dla lewicy.

Nawet jeśli Francja nie maczała w tym palców, to młodzież afrykańska w Sahelu jest przekonana, że dyplomacja francuska nie jest w stanie dostosować się do nowych czasów, że opiera się na starych skorumpowanych miejscowych elitach, na które młodzi już nie mogą patrzeć. Jesienią ub.r. płk Abdoulaye Maïga, nowy premier Mali, wygłosił najostrzejszą słyszana kiedykolwiek filipikę przeciw Francji. Na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ oskarżył „obskurantyzm junty francuskiej (sam doszedł do władzy przez pucz), stęsknionej rewanżu, praktyk neokolonialnych i paternalizmu”. Ale, co gorsza, oskarżył Paryż o dostarczanie broni i danych wywiadowczych terrorystom. Ten sam polityk zabiega o dalszą pomoc Kremla w rządzeniu krajem. W tych teoriach spiskowych Paryż widzi rękę Moskwy, sprawność rosyjskich trolli jest znana i tam, tym bardziej że przy demonstracjach puczystów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się też rosyjskie flagi, a na transparentach – pochwały Putina.

Francuzom żal

Po zwycięstwie Francji w pierwszej wojnie światowej, tak bardzo okupionym krwią, Francuzi zyskali dowód, że Imperium jest źródłem siły i chwały narodowej, ukoronowaniem dzieła Republiki. Posiadanie kolonii uważano wtedy za oczywisty i wielki pozytyw, tak na prawicy, jak i na lewicy, która traktowała sprawę jako misję cywilizacyjną, „niesienia światła nieoświeconym”. Wydaje się, że w Polsce mało kto uświadamia sobie, że na początku XX w. Francja była prawdziwym imperium rozciągającym się prawie na 13 mln km kw. W Afryce była to z grubsza jedna czwarta całego kontynentu. Urządzona w Paryżu w 1931 r., w zbudowanym specjalnie Palais de la Porte Dorée, Wystawa Kolonialna budziła emocje w całej Europie, młody Czesław Miłosz podjął z przyjaciółmi całą wyprawę, by ją zwiedzić.

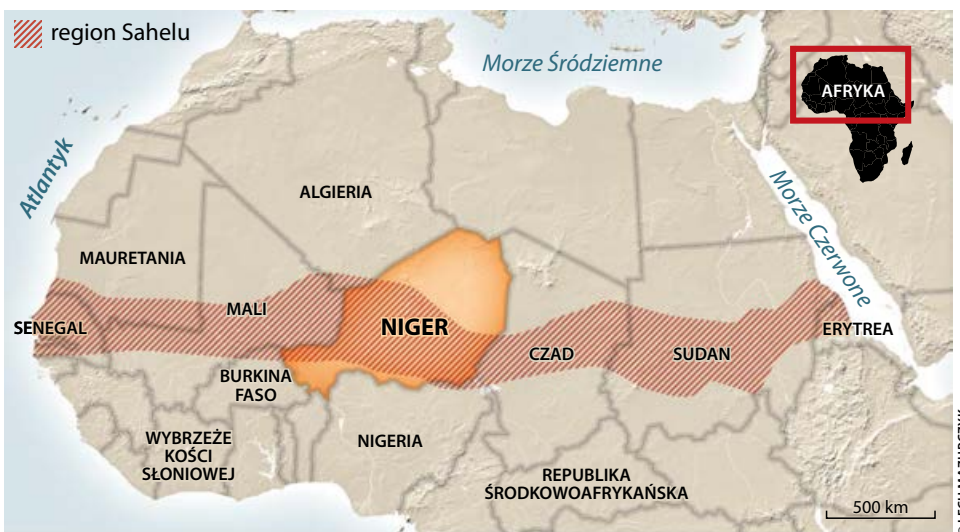
Nawet po drugiej wojnie kolonie nasyciły powojennych Francuzów triumfalistyczną nostalgią i falą sympatii dla czarnych krewnych: w sondażu z 1946 r. aż 65 proc. Francuzów opowiadało się za przyznaniem mieszkańcom kolonii takich samych praw jak obywatelom Francji. To już całkowita przeszłość. Teraz widać podział pokoleniowy. Dzisiejsi młodzi Francuzi żadnej nostalgii za imperium nie czują, a Sahel leży dla nich na innej planecie. Ale wśród starszych nostalgia trwa; łączy się z tęsknotą za wielkością i nieledwie z rozpaczą, że Francja słabnie.

Ale ważniejsza jest inna przemiana, którą symbolizuje zmiana nazwy i roli Pałacu de la Porte Dorée. Dziś to Muzeum Historii Emigracji, które podkreśla wielki wkład imigrantów w życie kraju. A historia i problem kolonizacji połączyły się nierozdzielnie ze stosunkiem do imigrantów. I z grubsza można przedstawić taką przespaść ideologiczną w poglądach: lewica uważa, że kolonizacja, jeśli cała nie była zbrodnią, to jednak łączyła się z niewybaczalnymi zbrodniami, i poczucie winy nakazuje uznać, iż czarni mieszkańcy dawnych kolonii mają prawo do przyzwoitego we Francji traktowania. A nawet, że trzeba rozumieć ich wystąpienia przeciw francuskim władzom.

Takiego wyrzutu sumienia nie odczuwa prawica; jest zdania, że czarni powinni siedzieć u siebie, bo we Francji stwarzają tylko problemy. Hojność państwa powinna być skierowana do biedniejszych Francuzów, a zresztą nie potrzeba już dziś tylu mało wykształconych obcokrajowców z Afryki. Jedni apelują o szlachetność Francji, inni mają imigrantów po dziurki w nosie.

W 1990 r. we Francji sporządzono tajny raport określający stosunki z krajami rozwijającymi się jako „anachroniczne”. Może dlatego każdy po kolei francuski prezydent zaczyna kadencję od programu unowocześnienia i uzdrowienia relacji z Afryką. Emmanuel Macron zrobił więcej: otwarcie potępił kolonizację jako zbrodnię przeciw ludzkości. Odnosiło się to co prawda nie do Sahelu, lecz do Algierii, ale wszędzie zrobiło wrażenie, Afryka też czeka na symbole. Potem Macron ogłosił nowy plan: francuskie bazy wojskowe mają być przekształcone w akademie wojskowe albo bazy partnerskie, Francja będzie dalej zwracać zagrabione koloniom dzieła sztuki. Proklamował też nowe partnerstwo strategiczne.

Wiedząc, że młodzież afrykańska myśli już naprawdę inaczej, Macron – na marginesie szczytu afrykańskiego w Montpellier w 2021 r. – urządził debatę telewizyjną z młodymi, a ci nie szczędzili mu



gorzkich uwag. Twierdzono tam, że źródłem dzisiejszych problemów Sahelu jest zachodnia, w tym francuska, interwencja w Libii, bo nie respektowano suwerenności ludu, a interwencje wojskowe niczego nie rozwiązują. Potępiano nieetyczne postawy francuskich firm. Młoda dziewczyna – przy oklaskach ogromnego audytorium – mówiła, że szczególnie ją drażni termin „pomoc rozwojowa”, bo taka pomoc nie pozwala na samodzielność i nie przynosi pożytku. „Niech pan wie – zwróciła się do Macrona – że Afryka może rozwijać się sama”. Przytaczam te uwagi, gdyż dobrze oddają i niechęć do Francji, i emancypacyjne nastroje, coraz silniej na Sahelu obecne.

Jak w Afganistanie?

Na polityce Paryża wobec Afryki ciąży historyczne niepowodzenie w walce z dżihadystami. W 2013 r. Francja, która miała wtedy ponad 6 tys. żołnierzy w krajach afrykańskich, rozpoczęła operację Sangaris (uczestniczyły w niej nawet dwie polskie załogi samolotu transportowego, *POLITYKA* 7/14). Obawiała się, że kraj centralny dla Sahelu całkowicie się załamie i stanie się sanktuarium dżihadystów, jak wcześniej Somalia czy Afganistan, tyle że bliżej Europy. 9 lat później ostatni żołnierze francuscy zostali ewakuowani z Republiki Środkowej Afryki, z kraju, w którym Paryż interweniował militarnie aż 14 razy! Były to klęska i upokorzenie, może nie aż tak dramatyczne jak amerykańskie w Afganistanie, jednak w istocie podobne. Przedtem jeszcze Francja prowadziła operację Pantera przeciw bazom dżihadystów w Czadzie (1,4 tys. żołnierzy) i operację Serval w Mali (4,5 tys. żołnierzy).

Bakary Sambe, dyrektor Instytutu Badań Pokojowych Timbuktu, opracował

całą analizę dowodzącą, że państwa Sahelu nie mogą umknąć znanym tendencjom w innych rejonach świata: rządy nie radzą sobie z aspiracjami społeczeństw, liberalizm gospodarczy nie spełnia obietnic dobrobytu, a religijny zapał islamistów mniej wykształcona ludność przyjmuje jako manifest wyzwolenia. Narastają – jak pisze – postawy tożsamościowe, wypełniane imaginariem religijnym i nacjonalistycznym. A przy trudnościach gospodarczych rosną w siłę salafici, którzy żądają powrotu do „tradycyjnych wartości”, protestują przeciw laicyzacji i w ogóle potępiają zepsucie obyczajów, płynące oczywiście z Zachodu, a zwłaszcza tolerancję dla homoseksualistów. Wagnerowcy – wsparci ideologią wyższości moralnej Putina – trafiają tu na podatny grunt.

Co tu kryć? Te nastroje antyfrancuskie czy szerzej antyzachodnie Rosja dobrze wykorzystwała, od pięciu lat posuwając swoje pionki na afrykańskiej szachownicy, zawierając rozmaite porozumienia obronne i posyłając instruktorów wojskowych. Weszła do Mali, Libii, Sudanu, Republiki Środkowoafrykańskiej, Mozambiku... Jeszcze na spotkaniu w Soczi Putin zdecydowanie pozował na obrońcę suwerenności krajów afrykańskich. Putin obrońcą cudzej suwerenności! Cóż, dystans geograficzny krajów od Rosji sprzyja ślepotcie ich przywódców. Trudno się dziwić, że tak wiele krajów afrykańskich odwraca oczy od wojny rosyjskiej w Ukrainie.

Po ciągle niewyjaśnionych okolicznościach demonstracji Prigożyna w Rosji uwagę tym bardziej przyciągają wagnerowcy w Afryce. To, jak się tam osadzają, najlepiej ilustruje historia z Republiki Środkowoafrykańskiej, gdzie toczyła się kolejna już wojna domowa. Osłabiony prezydent Faustin-Archange Touadéra

zwrócił się do Rosji o pomoc wojskową. Putin nie wysłał regularnych żołnierzy, lecz podwykonawców, wersję „zielonych ludzików” – prywatnych instruktorów wojskowych, którzy mieli chronić urząd prezydencki przed rebeliantami na obrzeżach stolicy. Touadéra uczynił z nich swoją straż pretoriańską, a ta uplasowała się w centrum decyzyjnym kraju. A w zamian za ochronę instruktorzy dostali – nie wiadomo, czy do zarządu, czy na własność – strategiczne dziedziny gospodarki: diamenty, kopalnie, gorzelnie, urząd celny. Oficjalnie jest ich tam 1135. Zakrawa na ironię, że tubylcy, zżymający się na kolonizację francuską, łatwo rozgrzeszają kolonizację rosyjską. Rosja chyba korzysta jeszcze z opinii ZSRR, który ujmował się za Trzecim Światem przeciw „zachodnim imperialistom i kolonizatorom”.

Trzeba z goryczą skonstatować, że w tej wojnie hybrydowej wagnerowcy radzą sobie lepiej niż wyspecjalizowane zachodnie organizacje pomocowe; dysponują nie tylko bronią, ale i są bezkarni: wiadomo o skrytobójstwie, zastraszaniu. Na dodatek posługują się arsenałem propagandowym: obecnością w radiu i internecie. Notowano przykłady memów z karykaturami Francji i Zachodu w miejscowych komunikatorach, najwyraźniej autorstwa ze Wschodu. Każda słabość Francji jest zżęcznie wykorzystywana. Kiedy prezydent Macron zwrócił uwagę prezydentowi Touadérze, że należałoby wagnerowców odesłać (a w Republice Środkowoafrykańskiej weszli najgłębiej), Afrykanin odpowiedział: Kiedy zdecyduje, że powinni wyjechać, to wyjadą! Oj, chyba ani historii Europy, ani Azji nie liźną.

Ze zdecydowanym apelem w Paryżu wystąpił Gérard Araud, ceniony dyplomata i pisarz, dawny ambasador Francji w Izraelu, USA i ONZ. Pisze otwarcie, że Francja nie umiała się rozstać z ciągłymi kolonialnymi i tego młodzi Afrykańscy już nie tolerują. Własne skorumpowane i nieefektywne rządy kojarzą z Francją, której elity kumały się z lokalnymi dostojnikami. „Nasz kraj stał się kozłem ofiarnym wszystkich frustracji” – pisze Araud. Nie przesadzajmy ze znaczeniem Afryki dla Francji, to zaledwie 4–5 proc. naszej wymiany zagranicznej, a Sahel tylko jedna dziesiąta owej całości. Dyplomata nie chce porzucenia Afryki przez Francję, tylko rezygnacji z baz, interwencji wojskowych i sentymentów – tak jak z tego wobec dawnego własnego imperium zrezygnowali Anglicy.

Ale trudno uwierzyć, by dla Paryża było to możliwe.

MAREK OSTROWSKI

Ekobójstwo

Bestialskie działania Rosjan w Ukrainie sprawiły, że powrócił temat uznania kolejnej zbrodni międzynarodowej – przeciwko środowisku.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Ukraina zajmuje 6 proc. kontynentu, a na jej terytorium znajduje się 35 proc. europejskiej bioróżnorodności. Nasi sąsiedzi mają też czwartą część globalnych czarnoziemów. Właśnie kondycja ubijanej przez ciężki sprzęt wojсковy i zatrutowanej toksynami z pocisków gleby szczególnie martwi ekologów.

Oleje i toksyczne materiały z porzuconych czołgów mogą spłynąć nawet do wód gruntowych. Rosyjskie ataki rakietowe wywołują pożary lasów, bombardowania zakładów przemysłowych

powodują skażenie wody, działania wojenne zagrażają mokradłom. Ginią też zwierzęta – po 24 lutego 2022 r. na czarnomorskie wybrzeża zaczęły wypływać rekordowe liczby ogłuszanych przez sonary delfinów.

Już rok temu monitorujący tę wielowymiarową destrukcję UNEP, czyli oengetowski program środowiskowy, ostrzegł, że wojna może pozostawić po sobie „toksyczne dziedzictwo na wiele pokoleń”.

– *Gdy giną ludzie, niszczone są domy, wywożone dzieci, przyroda schodzi na dalszy plan, choć konsekwencje jej zniszczenia*

są długotrwałe. Tak było praktycznie we wszystkich dotychczasowych konfliktach – mówi Solomia Baran, prawniczka z ukraińskiej organizacji Ekologia Prawo Ludzie. – Ukraina też szła tą drogą, dopóki atak na zaporę w Nowej Kachowce [6 czerwca – przyp. red.] nie wywołał ogromnego rezonansu.

„To brutalne ekobójstwo” – podsumował zniszczenie zapory prezydent Wołodymyr Zełenski. W mediach społecznościowych wtórowała mu znana aktywistka klimatyczna, Szwedka Greta Thunberg, po czym Zełenski zaprosił ją do Kijowa. „Reakcja świata na to ekobójstwo jest niewystarczająca” – komentowała podczas pobytu w Ukrainie Thunberg.

Określenie ekobójstwo narodziło się w 1970 r., w odpowiedzi na spuszczenie, jakie wywołał używany przez Amerykanów w Wietnamie Agent Orange. To defoliant, substancja chemiczna powodująca opadanie liści – miała odsłaniać kryjących się pod nimi partyzantów (zawierał też groźną dla ludzkiego zdrowia dioksynę). Dwa lata później postulat międzynarodowej



Okolice Kachowki, wysadzenie przez Rosjan zapory wodnej na Dnieprze wywołało alarmujący niedobór wody pitnej.

kryminalizacji najpoważniejszych ekozbrodni zgłosił oficjalnie szwedzki premier Olof Palme.

W ostatnich latach kampania przyspieszyła. Głównie z powodu rosnącej świadomości ekologicznej destrukcji i zależności naszego gatunku od ekosystemów. Za tym idzie powolna zmiana kulturowych paradygmatów o człowieku-panu i naturze-słudze, istniejącej wyłącznie po to, by realizować potrzeby i zachcianki ludzi. Do batalii dołączyli m.in. sekretarz generalny ONZ António Guterres i papież Franciszek. Jednak to determinacja Ukraińców, by Moskwa została pociągnięta do odpowiedzialności – również za swoje ekozbrodnie – może w końcu uruchomić rewolucję.

Ostatni raz listę międzynarodowych zbrodni wydłużono tuż po drugiej wojnie światowej. Obok zbrodni wojennej, przeciw pokojowi (agresji), przeciwko ludzkości oraz ludobójstwa, ekobójstwo ma być piątą na liście. Jednak jedyną nieantropocentryczną. – *Do tej pory uważano, że kryminalizacja obejmuje tylko te zniszczenia środowiska, które wpływają na egzystencję ludzi i na przetrwanie ludzkości* – mówi

badaczka prawa międzynarodowego prof. Patrycja Grzebyk z Uniwersytetu Warszawskiego. W ekobójstwie w centrum jest przyroda.

Przede wszystkim trzeba jednak ekobójstwo zdefiniować. Jeśli poprzeczka zawisnie zbyt wysoko, nie udowodni go żaden prokurator. Nie może być też jednak zbyt nisko, bo ma obejmować tylko najpoważniejsze zbrodnie przeciw ekosystemom.

Kampanię na rzecz wpisania nowej zbrodni do Rzymskiego Statutu, czyli traktatu ustanawiającego Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK), prowadzi fundacja Stop Ekobójstwu. W 2021 r. panel zebranych przez nią prawników zaproponował, by za ekobójstwo uznać „bezprawne lub bezmyślne czyny popełnione ze świadomością, że istnieje duże prawdopodobieństwo spowodowania poważnych i rozległych lub długotrwałych szkód w środowisku”.

W tym podejściu prokurator nie musi wykazać, że oskarżony miał zamiar. – *W definicji ludobójstwa jest intencja wyniszczenia ludzi. W naszej definicji ekobójstwa chodzi bardziej o lekkomyślność. Innymi słowy, wiedziałeś, że twoje działanie*

MOŻE doprowadzić do takiej destrukcji, ale i tak to zrobiłeś – podsumowuje Jojo Mehta, współzałożycielka i szefowa Fundacji Stop Ekobójstwu.

Dla aktywistów oczywistym kandydatem na ekologicznego zbrodniarza jest np. Jair Bolsonaro, prezydent Brazylii w latach 2019–22. Ograniczając regulacje oraz osłabiając instytucje kontrolne i prawa rdzennych mieszkańców, doprowadził do przyspieszenia wycinki Amazonii, czyli pogłębił kryzys klimatyczny. Ale na celowniku nowego prawa są nie tylko decydenci polityczni. – *Ekobójstwu jest przede wszystkim zbrodnią korporacyjną. Duża część zniszczeń ekologicznych jest skutkiem ubocznym działalności ekonomicznej w czasach pokoju* – podkreśla Mehta.

Haski trybunał nie może jednak wysłać listu gończego za korporacją. Kraje, które go współtworzyły, uznały bowiem, że podmioty prawne, czyli właśnie państwa i korporacje, zostaną z tego rodzaju odpowiedzialności wyłączone. Odpowiadają przed nim tylko jednostki, czyli choćby dyrektorzy podpisujący się pod projektami, ►



Martwe delfiny, ogłuszone przez sonary, na wybrzeżu Turcji.

► których następstwem są zatrute rzeki czy wycieki ropy w morzach.

Zaangażowani prawnicy liczą, że dla menedżerów z wielkich korporacji już sama międzynarodowa kryminalizacja ekobójstwa będzie miała efekt odstraszaający, czyli prewencyjny. – *Ludzie postrzegają prawo karne jako kij do bicia winnych. Kluczowe jest jednak zapobieganie* – tłumaczy Jojo Mehta. – *Oczywiście ludzie chcą sprawiedliwości i kary za popełnione zbrodnie, ale w ostatecznym rozrachunku walczymy o to, żeby uratować planetę i naszą przyszłość.*

Stronami MTK nie są jednak najwięksi truciele, jak Chiny, Indie, USA i Rosja. Prawnicy przekornie zauważają, że przynajmniej nie mogą zawetować kryminalizacji ekobójstwa. Prawda jest jednak taka, że bardzo trudno będzie postawić przed Trybunałem prezesa przykładowego amerykańskiego koncernu. Ukraina też nie ratyfikowała statutu MTK. Kijów tłumaczył się trudnościami ze zmianą konstytucji, a teraz, w trakcie rosyjskiej agresji, trudno oczekiwać, by zajmował się przeprowadzeniem tych zmian.

Jak zwykle awangarda i w tej dziedzinie chce być Stary Kontynent. W marcu Parlament Europejski wezwał, by sprawę ekozbrodni jak najszybciej uregulować w prawie europejskim (trwają prace), skąd „standard brukselski” będzie się rozlewał po świecie. I ścigał z biznesami, które umykają z uregulowanych jurysdykcji do tych uboższych i mniej demokratycznych. Ekokryminalizację poparło też Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy. Oraz m.in. Kanada, Nowa Zelandia i Bangladesz.

Szczególnie zaangażowane są władze państw, które znikają pod wodą na skutek kryzysu klimatycznego. – *Na czele międzynarodowej kampanii są dwa państwa ofiary: Ukraina – z powodu wojny, i Republika Vanuatu – z powodu klimatu* – podkreśla Mehta. „Zabiegając o uznanie ekobójstwa, Ukraina wyświadcza planecie wielką przysługę” – dodaje Joanna Hosa, analityczka Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych. Ochrona środowiska to ósmy punkt planu pokojowego Wołodomyra Zełenskiego.

Czy jednak zrównywanie statusu ludobójstwa i ekobójstwa nie jest nadużyciem? Mehta przyznaje, że napotyka opór. – *Na przykład w Niemczech bywa to postrzegane jako brak szacunku. Ale musimy zrobić rozróżnienie między intencją i efektem. Jeśli chodzi o zamiar, to oczywiście ludobójstwo jest najstraszniejszą zbrodnią. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę konsekwencje niszczenia środowiska,*

to mogą one dotknąć całą cywilizację. Prawniczka liczy, że nowa zbrodnia zostanie dopisana do Statutu Rzymskiego do 2030 r. – to kluczowy rok dla wielu zielonych programów. Prof. Grzebyk jest sceptyczna: – *Szansa na wpisanie nowej zbrodni jest mała. Nie dostrzegam jeszcze większości, która by przegłosowała tę zmianę. A potem jeszcze długa droga procesu ratyfikacji.*

Nowe prawo nie obejmie zbrodni z przeszłości, czyli ekokrzywd, których sprawcami w tej chwili są Rosjanie. Kijowska Prokuratura Generalna zwróciła się jednak do haskiego trybunału o zbadanie skutków wysadzenia zapory nowokachowskiej. Na razie prokuratorzy MTK mogą się bowiem oprzeć na art. 8 statutu. Ten co prawda kryminalizuje nie samą krzywdę wyrządzoną przyrodzie, ale zbrodnie wojenne, za takie uznaje jednak również ataki przeprowadzone „ze świadomością”, że spowodują „rozległą, długotrwałą i poważną szkodę w środowisku naturalnym”, a są „wyraźnie nadmierne w stosunku do konkretnej, bezpośredniej i całkowitej spodziewanej korzyści wojskowej”.

Byłby to precedens. – *Trzeba wykazać, że zniszczenie środowiska to tak naprawdę atak na ludność cywilną. To wymaga innowacyjnej interpretacji* – docenia Grzebyk.

Międzynarodowych ścieżek prawnych do poszukiwania ekospawiedliwości jest jeszcze kilka, ale do rozwoju prawa międzynarodowego musi być też wola polityczna. – *Podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej Irak niszczył infrastrukturę do wydobywania ropy. Dużo wtedy dyskutowano o szkodach dla środowiska. Jednak w podjętych negocjacjach wysłuchał tego typu infrastruktura jest wskazywana jako jeden z głównych i legalnych celów wojskowych* – przypomina prawniczka.

Nie czekając na innych, niektóre państwa, jak np. Brazylię, zaczęły dyskusje, czy nie wprowadzić nowego prawa na poziomie narodowym.

Jako pierwsza w UE zrobiła to Francja. Co ciekawe, kryminalizację ekoprzestępstw od dawna ma w swoich kodeksach część tzw. państw postsowieckich, wśród nich Ukraina i Rosja. Art. 441 ukraińskiego kodeksu karnego przewiduje karę od 8 do 15 lat więzienia. – *Jeszcze przed 24 lutego pojawiały się postulaty, by go wykreślić, bo nigdy wcześniej nie był stosowany. Musieliśmy walczyć o jego utrzymanie. Po ataku na Nową Kachówkę to prawo jest bezpieczniejsze* – ocenia Solomia Baran z organizacji Ekologia Prawo Ludzie.

Ekolodzy i eksperci dyskutują, jak ten stary przepis znowelizować, by był precyzyjniejszy (łatwiejszy w użyciu) i dostosowany do wymagań współczesności. – *Z braku międzynarodowych wzorców Ukraina będzie pionierem. Z jednej strony to nasze brzemie, a z drugiej misja, by pokazać światu, że środowisko nie musi być cichą ofiarą wojny* – dodaje ekoprawniczka.

Biuro Prokuratora Generalnego Ukrainy wszczęło ponad 10 krajowych dochodzeń w sprawie ekobójstwa. Do sądu trafiło np. oskarżenie przeciwko dwóm kierownikom przedsiębiorstwa w obwodzie chmielnickim – ich zakład od kilku lat zanieczyszczał wodę i w efekcie doprowadził do śmierci lokalnej fauny i flory. Większość ekodochodzeń dotyczy jednak zbrodni rosyjskich, choć trudno będzie zaciągnąć przed sąd ich sprawców. Ale Kijów walczy też na forum międzynarodowym o reparacje od Moskwy.

Dlatego tak ważne jest dokumentowanie zniszczeń i informowanie o nich świata. Prowadzony przez ministerstwo ochrony środowiska i zasobów naturalnych rejestr zniszczeń, skażeń i pożarów – EcoZagroza – jest dostępny w internecie. Figuruje w nim ponad 2,3 tys. potwierdzonych przez władze zniszczeń. Szacowany koszt ich usunięcia to ok. 50 mld euro.

– *Władze nie nadążają z rejestrowaniem przestępstw przeciwko środowisku. Ich specyfika polega na tym, że konsekwencje szybko się zmieniają, dlatego rejestrować należy tuż po ataku. Nasi ekolodzy jadą na miejsce, mają już wypracowane metody dokumentowania szkód. Mamy też doświadczenie w wysyłaniu próbek gleby do międzynarodowych uczelni* – mówi Baran.

Jej organizacja, jedna z najstarszych i najbardziej doświadczonych w Ukrainie, wspiera państwowe instytucje, w tym Prokuraturę Generalną. – *Mówienie, że Rosja powinna odpowiedzieć za szkody wyrządzone naszemu środowisku, jest rzeczywiście postępowe, ale trzeba jeszcze wypracować mechanizmy, by to osiągnąć. Zwłaszcza na szczeblu samorządowym trudno znaleźć ludzi, którzy naprawdę wierzą, że przyrodę należy chronić* – ocenia Baran.

W ten sposób zdaniem Jojo Mehty w Ukrainie spotykają się dwie bodaj najważniejsze obecnie historie, którymi żyje świat: załamanie klimatyczne i ekologiczne oraz wojenna pożoga. – *Krzyżują się tam, gdzie powinno być prawo dotyczące ekobójstwa* – podsumowuje prawniczka.

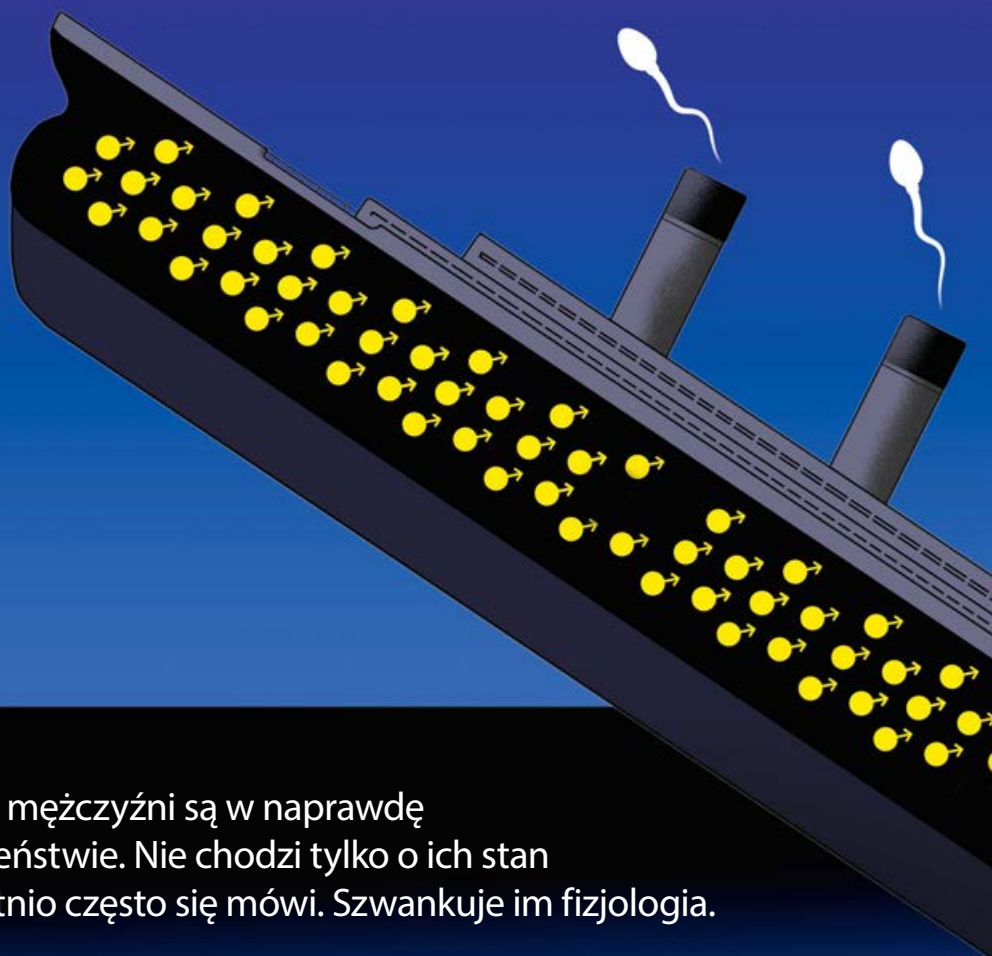
AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Władza zrodzona z urazy



Już
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”



Jeśli liczby nie kłamią, to mężczyźni są w naprawde poważnym niebezpieczeństwie. Nie chodzi tylko o ich stan psychiczny, o czym ostatnio często się mówi. Szwankuje im fizjologia.

Płeć męska do naprawy

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Powody do niepokoju były już trzy dekady temu. Konkretnie w 1992 r., kiedy ukazała się praca duńskich uczonych podsumowująca wyniki badań z lat 1940–90. W tym czasie u Duńczyków średnia liczba plemników na mililitr nasienia spadała ze 113 mln do 66 mln. Najnowsze badania dowodzą, że ta tendencja wcale nie hamuje, a do tego objęła wszystkie społeczeństwa Zachodu. Praca przeglądowa z 2017 r. wykazała na przykład, że średnia liczba plemników w ejakulacie spada o 1,6 proc. na rok. I że okres między 1973 a 2011 r. doprowadził w sumie do prawie 60 proc. zmniejszenia się tego parametru.

W USA u mężczyzn przebadanych w Massachusetts General Hospital w latach 2000–17 z każdym rokiem o 2,6 proc. spadała koncentracja plemników w nasieniu, a całkowita liczba męskich komórek rozrodczych w ejakulacie o 3,1 proc. Przez 17 lat doprowadziło to do zmniejszenia się tego pierwszego wskaźnika o 37 proc., a drugiego o 42 proc. Jednocześnie o 15 proc. spadła

liczba ruchliwych plemników, a o 16 proc. – morfologicznie mieszczących się w normie. Kolejne badanie – tym razem mężczyzn udających się po porady w klinikach leczenia niepłodności w USA i Hiszpanii – wykazało, że między 2002 a 2017 r. odsetek mężczyzn o cechach nasienia znajdujących się w normie spadł o 10 proc.

Towarzyszy temu obniżanie się poziomu męskich hormonów płciowych. W 2020 r. ogłoszono wyniki badań ponad 100 tys. mężczyzn z Izraela. W latach 2006–09 młodzieńcy w wieku 21 lat, kiedy to poziom testosteronu osiąga wartości najwyższe, mieli go średnio 19,68 nanomoli na litr. W latach 2016–17 wskaźnik ten spadł do 17,76 nmol/l. W 2021 r. ukazała się podobna praca z USA. U ponad 4 tys. mężczyzn w wieku od 15 do 39 lat testosteron mierzono tym razem w nanogramach na decylitr. W latach 1999–2000 wynosił on średnio 605,39, a w latach 2015–16 już tylko 451,22. Zdaniem badaczy 20 proc. młodych mężczyzn miało niedobór testosteronu. Kolejne badanie wykazało, że u starszych panów, u których z natury poziom męskich hormonów nie jest wysoki, też widać podobny kierunek zmian. 60-letni Amerykanin miał w 1987 r. średnio 17,5 nmol testosteronu/l, a w 2002 r. – już tylko 15 nmol/l.



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYŃ

– Tak, wszędzie na świecie jakość męskiego nasienia się obniża. Również w Polsce – potwierdza lek. med. Jan Karol Wolski, specjalista urolog oraz androlog, związany m.in. z Przychodnią Leczenia Niepłodności nOvum w Warszawie i z Narodowym Instytutem Onkologii. Zwraca on jednak uwagę na zmiany w normach, które mogą wpływać na odbiór tego zjawiska.

– W 2010 r. w wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia normę liczby plemników w jednym mililitrze nasienia zredukowano z 20 do 15 mln, choć w latach 80. XX w. w normie mieściła się koncentracja nawet do 100 mln w mililitrze – mówi medyk. – Zmniejszono także dopuszczalny procent prawidłowych plemników do zaledwie 4 proc.

Cukry, używki, brak ruchu

Częściowo wynika to z dokładniejszych metod badawczych. Plemniki, które dawniej mieściły się w normie, dziś trafiają do kategorii patologicznych. – Pojawiły się nowoczesne mikroskopy, które pozwalają dostrzec dawniej niewidoczne zaburzenia – wyjaśnia lekarz. – W latach 90. wprowadzono restrykcyjne kryteria oceny budowy plemników, tzw. Krugerowskie, według których jakakolwiek anomalia plemnika już go dyskwalifikuje. Także pod

koniec lat 90. weszła do szerokiego użytku komputerowa analiza nasienia CASA, która bezlitośnie – znacznie lepiej niż ludzkie oko – wychwytyje wszelkie zaburzenia.

Tyle że nawet jeśli się weźmie poprawkę na lepszą i bardziej restrykcyjną diagnostykę, to i tak narastanie zaburzeń w męskim układzie rozrodczym jest faktem. – Mężczyźni są bardziej wrażliwi na czynniki środowiskowe – twierdzi dr Wolski. – Wiąże się to choćby z lokalizacją jąder. Ewolucja umieściła je w mosznie ze względu na to, że produkcja plemników (spermatogeneza) potrzebuje temperatury o 2–3 st. niższej niż temperatura reszty ciała. Jądra są więc bardziej podatne na uszkodzenia spowodowane wzrostem temperatury środowiska. Może więc na nie źle wpływać globalne ocieplenie, choć jak na razie dane nie są tu jednoznaczne.

Umiejscowienie gonady męskiej zwiększa też ryzyko urazów mechanicznych, spowodowanych na przykład sportami walki, jazdą na rowerze albo motocyklu, co przekłada się na zaburzenia produkcji testosteronu oraz plemników. U kobiety gonady znajdują się w środku, dzięki czemu są lepiej chronione.

Męskości mocno szkodzi także plaga nadwagi i otyłości, która opanowała zachodni świat. W lutym 2019 r. Narodowy Fundusz Zdrowia przedstawił kompleksowy raport „Cukier, otyłość ►

► – konsekwencje”. Opisuje on wzrastające spożycie cukru przez mieszkańców Polski i towarzyszące temu dramatyczne konsekwencje. Choć dotyczą one osób obu płci, to jednak negatywne skutki bardziej dotyczą mężczyzn. W raporcie czytamy bowiem: „W 2016 r. w Polsce wśród osób w wieku 20 lat i więcej 53 proc. kobiet i 68 proc. mężczyzn miało nadwagę, a 23 proc. kobiet i 25 proc. mężczyzn było otyłych. W przypadku osób poniżej 20 roku życia nadwagę miało 20 proc. dziewcząt i 31 proc. chłopców, a 5 proc. dziewcząt i 13 proc. chłopców było otyłych”.

– *W tkance tłuszczowej znajduje się enzym aromataza, który skutecznie przeprowadza konwersję testosteronu w estradiol [jedną z hormonów żeńskich – red.]* – wyjaśnia dr Wolski. – *Poziomy testosteronu zależy od tego bardzo prostego połączenia: im bardziej otyły mężczyzna, tym większe ryzyko niższego poziomu testosteronu.* Otyłości sprzyja oczywiście siedzący tryb życia oraz wysokokaloryczna dieta, pełna cukru, tłuszczu i soli. – *W Polsce już 40 proc. dzieci ma nadwagę. To jest dramatyczne* – komentuje lekarz. – *Dzieci mają komputery, laptopy, komórki i zamiast biegać po podwórkach, siedzą w domu. A rodzice, zamiast zachęcać je do aktywności, dają im słodczyce czy chipsy. Promocja niezdrowego trybu życia wylewa się też z ekranów telewizorów.*

W efekcie chłopcy już na samym początku okresu dojrzewania zmagają się z nadmierną masą ciała – testosteron się u nich obniża, a poziom hormonów żeńskich podnosi. W późniejszym okresie dołączają do tego alkohol, papierosy, e-papierosy, narkotyki. – *Wszystkie te używki są gonadotoksyczne* – stwierdza dr Wolski.

Metale, plastyki, pestycydy

W analizach publikowanych w czasopismach naukowych często bierze się więc poprawkę na skutki rosnących przypadków otyłości u mężczyzn. Z nich wiadomo jednocześnie, że nie są one jedynym źródłem problemu.

– *Od lat w użyciu jest pojęcie „endocrine disruptors”* – mówi dr Jan K. Wolski. – *Obejmuje ono wszystkie elementy, które zaburzają gospodarkę hormonalną mężczyzny, np. blokując syntezę testosteronu albo wpływając na działanie receptora androgenowego. W naszym otoczeniu jest ich bardzo dużo.*

W 2022 r. w czasopiśmie „Environmental Sciences Europe” Naina Kumar i Amit Kant Singh podjęli próbę podsumowania wiedzy o wszystkich czynnikach środowiskowych, które negatywnie wpływają na układ płciowy mężczyzny. I stwierdzili, że do redukcji koncentracji i ruchliwości plemników prowadzą gazowe zanieczyszczenia powietrza, dwutlenek siarki i dwutlenek azotu. Ozon z kolei zmniejsza odsetek męskich komórek rozrodczych o prawidłowej morfologii. PM_{2,5}, czyli zawieszony w powietrzu pył o średnicy do 2,5 mikrometra, zwiększa zaś anomalie w główce plemnika i szkodzi ogólnej jakości nasienia (ruchliwości, zagęszczeniu, liczbie komórek).

Wszędzie roi się też od wspomnianych przez dr Wolskiego czynników zaburzających rozwój testosteronu. Część z nich działa jako tzw. ksenoestrogeny, czyli hormony żeńskie przedostające się do organizmu z zewnątrz. Naina Kumar i Amit Kant Singh piszą, że takie działanie mają choćby metale ciężkie, czyli ołów, cynk i miedź, które znajdują się np. w spalinach samochodowych. Aktywność antyandrogenową wykazuje także bisfenol A – związek używany do produkcji tworzyw sztucznych. Może on prowadzić do uszkodzenia DNA w plemnikach i tym samym zaburzać płodność. Produkcję męskich hormonów hamują niektóre powszechnie stosowane w rolnictwie pestycydy. Mężczyźni narażeni na kontakt z tymi środkami ochrony roślin mieli obniżoną jakość nasienia.

Antyandrogenowo działają również ftalany – związki chemiczne nagminnie używane do produkcji kosmetyków, leków,

zabawek, lakierów, farb czy klejów. Stosuje się je jako tzw. plastyfikatory, które poprawiają trwałość tworzyw sztucznych, przez co mogą zanieczyszczać żywność w opakowaniach plastikowych. Te związki powodują „szeroki wachlarz dysfunkcji męskiego narządu rozrodczego znany jako »zespół ftalanowy«” – twierdzą Kumar i Singh. Zaliczają do niego zmniejszanie się odległości między genitaliami a odbytem, niepłodność, niską zawartość plemników, niezstępowanie jąder czy spodziewtowo, czyli nieprawidłowości w budowie układu moczowo-płciowego.

– *Na terenach zanieczyszczonych częściej zdarzają się przypadki spodziewtowa niż tam, gdzie bardziej dba się o ekologię* – dodaje dr Wolski. – *Do tego można dołożyć znaczące spostrzeżenie z biologii. U ryb jesiotrowatych, które zamieszkują rzeki zanieczyszczone, częściej dochodzi do dysfonii narządów płciowych. Zanika zróżnicowanie na samce i samice, pojawia się dużo osobników o płci nieokreślonej, tzw. interseksów.*

Ekologia, dieta, testosteron

W Unii Europejskiej już w 2011 r. wprowadzono zakaz sprzedaży butelek dziecięcych zawierających bisfenol A. – *Ale szkodliwe tworzywa sztuczne są i tak wszędzie: w ubraniach, opakowaniach, zabawkach. Nie ma już prawie mebli z czystego drewna, niemal zawsze zawierają jakieś sztuczne dodatki* – twierdzi dr Wolski.

Dlatego lekarz postuluje, aby mężczyźni mocno i zdecydowanie opowiadali się po stronie walki z zanieczyszczeniami środowiska. – *Musimy zwracać uwagę, aby było jak najmniej plastikowych opakowań* – mówi. – *Trzeba wymuszać na producentach, żeby nie patrzyli tylko na krótkoterminowy zysk, ale spoglądali 50 lat do przodu.*

Oczywiście mężczyźni mogą sobie pomóc indywidualnymi wyborami konsumenckimi. Zamiast np. kupować warzywa w jednorazowych plastikowych torebkach, zdrowiej skorzystać z opakowań wielokrotnego użytku.

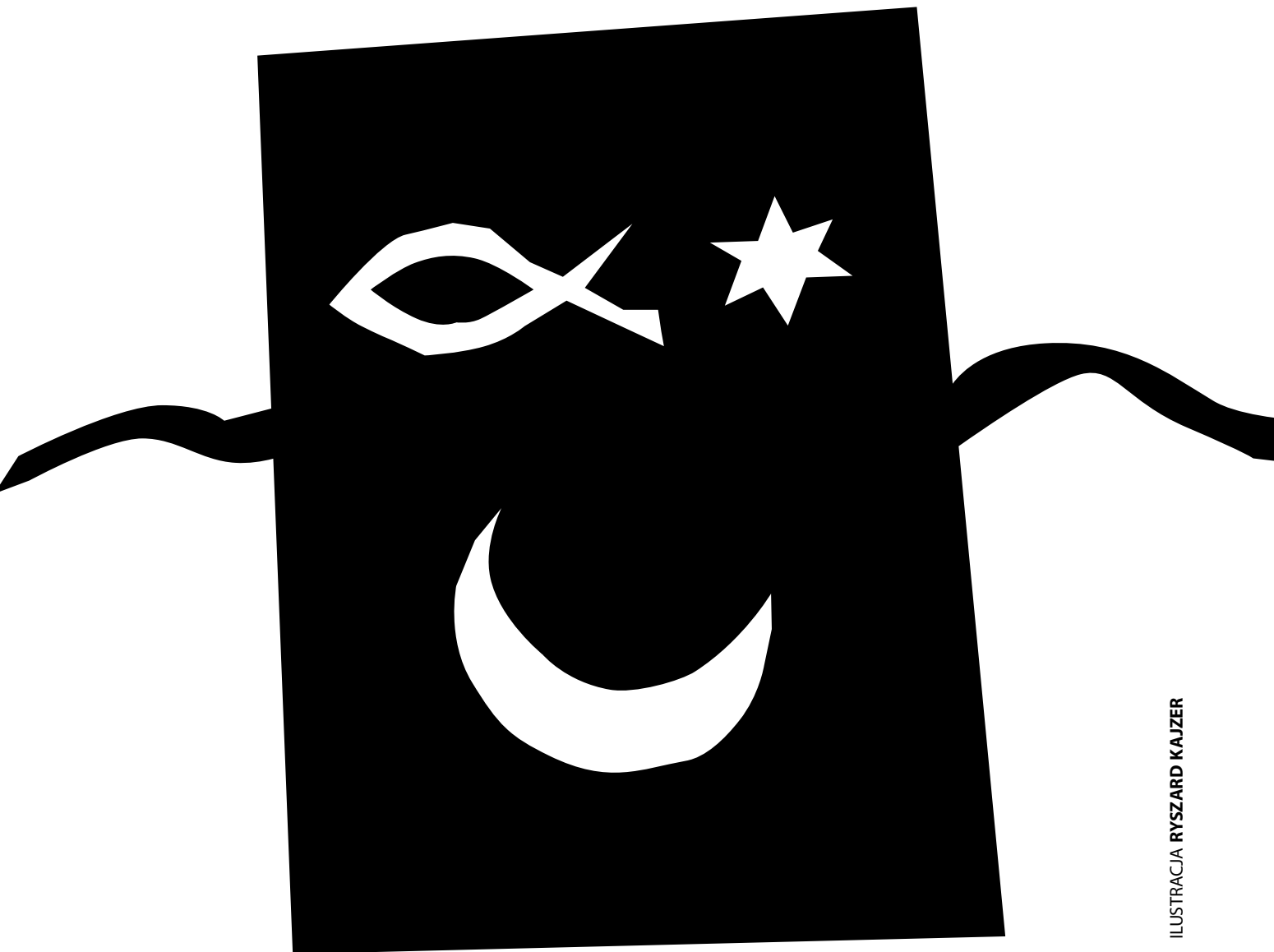
Jeśli chcą podnieść poziom testosteronu u siebie i zmniejszyć ryzyko pogorszenia jakości nasienia, muszą też zmienić styl życia. Powinni zredukować ilość spożywanego alkoholu, odstawić papierosy, e-papierosy i inne szkodliwe używki, a także zmodyfikować dietę na mniej kaloryczną, z niską zawartością cukrów. – *Ważny jest umiarkowany wysiłek fizyczny, czyli w zakresie rekreacyjnym, pół godziny dziennie* – wyjaśnia lekarz. – *Duży wysiłek, ekstremalny, zawsze powoduje spadek testosteronu po zajęciach. Trzeba więc z tym uważać.*

U panów, u których pojawiły się kliniczne objawy zaniżonego testosteronu, można zastosować leczenie farmakologiczne. – *Przychodzą do mnie pacjenci i skarżą się, że „powietrze z nich uchodzi”* – opowiada dr Wolski. – *Są ospali, senni, brakuje im chęci na seks, odczuwają spowolnienie myślenia, trudno im skoncentrować się i podejmować decyzje. Nie potrafią zaplanować nawet wyjazdu na wakacje, nie mówiąc już o aktywności w pracy.*

Lekarz podaje im wtedy testosteron plus zestaw antyoksydantów: witaminę E, C, lecytynę, jony selenu, magnezu i cynku. Te związki poprawiają działanie męskiego hormonu płciowego. – *Jeden z pacjentów, którego poddałem takiej terapii, mówił mi, że dostał kognitywnego szwungu* – wspomina lekarz. – *Z powrotem stał się gotowy do działania, myślący aktywnie, kombinujący, układający perspektywiczne plany działań i oczywiście potem je realizujący.*

Czy więc nieuchronnie mierzamy w stronę – jak to nazwał amerykański lekarz dr Joshua Smith – Spermageddonu? Cóż, wciąż jest szansa na zatrzymanie niekorzystnych tendencji. Ważne, by mężczyźni zaczęli działać, a nie tylko zamartwiali się osłabieniem swojej płci. Tym bardziej że chroniczny stres – w przeciwieństwie do krótkotrwałego – też szkodzi.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO



ILUSTRACJA RYSZARD KAJZER

Bóg nie wyjada ciasteczek

Religia to nie wirus, który opanował nasz mózg, ale genialny mechanizm ewolucyjny – mówi brytyjski antropolog Robin Dunbar, autor książki „Religijni”.

TOMASZ TARGAŃSKI: – Psycholog ewolucyjny patrzy na religię. I co widzi?

ROBIN DUNBAR: – Mechanizm obliczony na to, abyśmy byli dla siebie miłsi i lepiej się zachowywali, a przez to zwiększający szanse na przetrwanie wspólnoty. To definicja ewolucyjna. W praktyce chodzi zaś o to, aby powstrzymać nas przed wyjadaniem ciasteczek ze wspólnego słoika.

A gdzie mistyka, duchowość? Pozbawia nas pan złudzeń wyjątkowości.

W tym wypadku jedno nie wyklucza drugiego. Religijność jest świadectwem naszej wyjątkowej wyobraźni, a *Homo sapiens* to jedyny gatunek, który rozwinął taki mechanizm adaptacyjny.

Kluczowe dla powstania religii były dwa czynniki: osiągnięcie przez naszych przodków odpowiednich zdolności kognitywnych oraz pożytki dla grupy – przede wszystkim wzmacnianie więzi społecznych.

Często mówi się o religii jako o „produkcie ubocznym” mechanizmów psychologicznych. Uważam to za błąd. Religijność pochłania mnóstwo czasu i energii. Wymaga również ogromnego zaangażowania emocjonalnego i poświęceń. Czynność, która jest tak „kosztowna” z ewolucyjnego punktu widzenia, nie może być pozbawiona jakiejś wymiernej funkcji. Ewolucja po prostu nie jest tak rozrzutna. ▶

► Jakie to zdolności poznawcze umożliwiły narodziny religijności?

Najważniejsza z nich to umiejętność wyobrażenia sobie, że istnieje inna rzeczywistość. Inny, odrębny od naszego świata. Co ciekawe, pisząc swoją książkę, uświadomiłem sobie, jak bardzo religijność – szczególnie ta wczesna, związana z siłami natury – wymyka się słowom. Trudno opisać ją za pomocą tekstu. Jak bowiem odróżnić religijność od duchowości?

Właśnie, jak?

Nasi przodkowie bez wątplenia byli uduchowieni, wierzyli, że rzeki, drzewa czy zwierzęta reprezentują nadprzyrodzone siły. O religii możemy mówić jednak dopiero w momencie pojawienia się współdzielonej przez większą grupę osób myśli, że wszystkie te siły zamieszkują transcendentny świat.

Trudno to zresztą precyzyjnie wyrazić. Fizycy atomowi mają podobny problem: siły utrzymujące elektrony w ruchu wokół jądra – nie da się ich dotknąć ani zobaczyć. Z tego powodu fizycy – podobnie jak badacze religii – muszą uciekać się do metafor. Obie dziedziny starają się opisać niewidzialne fenomeny działające w świecie równoległym do naszego.

Kluczowa była zdolność do mentalizacji, czyli do zrozumienia intencji drugiej osoby. Pozwala ona modelować inny, duchowy świat w moim umyśle i przewidywać jego zachowanie – a jednocześnie zarządzać światem fizycznym tu i teraz.

Uważa się, że małe dzieci mają pierwszy poziom tej sprawności, który tak naprawdę równa się świadomości swojej osoby w świecie. Poziom drugi i trzeci umożliwia myślenie, że istnieje jakaś inna rzeczywistość, w której przebywa Bóg. Dochodzi do tego przypuszczenie, że druga osoba może współdzielić to przekonanie, potem, że Bóg dysponuje umysłem i wpływa na moje życie. Dopiero ostatni, piąty poziom umożliwia powstanie religii o charakterze wspólnotowym, ponieważ pozwala uznać, że jako grupa podzielamy swoje wyobrażenia na temat woli Boga.

Poziom wysiłku umysłowego związany z uruchamianiem jednocześnie dwóch wersji rzeczywistości, które mogą stać ze sobą w sprzeczności, jest dla mózgu niezwykle kosztowny obliczeniowo i wiąże się z jego wielkością.

Kiedy i na jakim etapie rozwoju człowiek osiągnął te zdolności?

Na podstawie objętości czaszki różnych gatunków w linii homo można sądzić, że ludzie *Homo heidelbergensis* i *Homo neanderthalensis* osiągnęli czwarty poziom intencjonalności, a co za tym idzie byłoby w stanie posiadać przekonania,

Często mówi się o religii jako o „produkcie ubocznym” mechanizmów psychologicznych. Uważam to za błąd.



które uznalibyśmy za religijne, ale trudno byłoby im zebrać je we wspólną religię. To stało się możliwe wraz z pojawieniem się ludzi anatomicznie współczesnych, czyli ok. 200 tys. lat temu. Ów moment stanowił prawdziwe przejście fazowe.

To, że religia ma na nas dobroczynny wpływ, jest główną tezą pana książki. Ale po drugiej stronie tego sporu są uczeni, jak Daniel C. Dennett, którzy twierdzą, że religia jest rodzajem mentalnego wirusa, który zaraża nasze umysły i reprodukuje się wyłącznie dla własnej korzyści.

Kognitywiści zajmujący się religią używają tego argumentu ze względu na mocno zakorzenione przekonanie, że wiara nie wiąże się z żadnymi wymiernymi korzyściami. Zdaniem naukowców takich jak Dennett religia skłania nas do zachowań, które niekoniecznie leżą w naszym interesie, np. do altruizmu względem obcych. Ów odruch zwykle wywoływał podejrzliwość, ponieważ uważano go za sprzeczny z logiką ewolucji.

Chyba słusznie, bo męczennik, który oddaje życie w imię wiary, ma małe szanse na liczne potomstwo.

W tym jednym przypadku rzeczywistość tak jest. Aby jednak zrozumieć ewolucyjne pożytki z religii, musimy patrzeć szerzej na korzyści na poziomie grupy. Jako ludzie nie jesteśmy samotnikami – tworzymy społeczności, bo to zwiększa nasz ogólnie pojęty dobrostan. Więzy społeczne nie tylko między krewnymi, ale również między bliższymi i dalszymi przyjaciółmi, sprawiają, że czujemy się szczęśliwsi i bezpieczniejsi. Kluczowym pytaniem dotyczącym naszego życia społecznego jest zatem: czego trzeba, aby utrzymać grupę razem jako funkcjonalną komórkę? Właśnie w tym szerszym kontekście najlepiej widać korzyści płynące z religii. Pod tym względem Dennett się myli.

Jego ocena religii nie bierze również pod uwagę, że świat dla wielu ludzi nie jest specjalnie przyjaznym miejscem. Kiedy żyjesz na bogatym Zachodzie, oczywiście

możesz sobie pozwolić na lekceważenie religii jako zjawiska, które przynosi ulgę i pociechę ludziom cierpiącym biedę lub narażonym na katastrofy naturalne. Taka postawa wydaje mi się jednak pozbawiona empatii i w gruncie rzeczy naiwna.

Jak zmierzyć to, czy religia faktycznie ma na nas dobroczynny wpływ?

Jest na ten temat ogromna liczba badań. Zawarte w mojej książce tezy opierają się przede wszystkim na wynikach trzyletniego projektu „Religia i mózg społeczny” („Religion and the Social Brain”), przeprowadzonego dzięki Fundacji Tempeltona. A także na niemal dwóch dekadach badań prowadzonych przez mój zespół nad naturą towarzyskości i mechanizmami wiążącymi społeczność. W takich przypadkach najczęściej mierzy się zadowolenie z życia wśród osób czynnych religijnie i tych, które nie uczestniczą w rytuałach.

Analiza Jennifer McClure, obejmująca 250 zgromadzeń skupiających 50 tys. wiernych, wykazała, że satysfakcja z życia jest w dużej mierze determinowana przez zaangażowanie religijne i emocjonalną bliskość z pozostałymi członkami zgromadzenia. Osoby religijne wierzą zatem, że są szczęśliwsze, bardziej ufają innym, mają mocniejsze więzi społeczne. Podkreśliły, że nie musi to wcale oznaczać, że obiektywnie są szczęśliwsze – istotne jest, że są przekonane, iż tak właśnie jest.

A jak zmierzyć wpływ religii na spójność grupy?

Życie w większych grupach wiąże się z nieuchronnym stresem i napięciami. Im społeczności bardziej się rozrastają, tym większe działają na nie siły odśrodkowe. Konieczne jest znalezienie strategii zmniejszającej poziom tego stresu oraz związanej z nim przemocy. Jedną z nich są wspólne rytuały: tańce i śpiewy. Religie nie bez przyczyny je wykorzystują. Udowodniono bowiem, że aktywują one endorfiny i procesy psychologiczne związane z intensywną przynależnością. Istnieje zatem bezpośredni związek między stopniem religijności a trwałością więzi społecznych i rozmiarami grupy.

Z badań przeprowadzonych przez Richarda Sosisa i Candace Alcorę wynika, że szanse na przetrwanie licznej społeczności są dużo większe, jeśli spaja ją wspólna wiara. Analiza XIX-wiecznych amerykańskich wspólnot utopijnych pokazuje, że wspólnoty świeckie cechowała znacznie krótsza żywotność. Średnio „przeżywały” one niewiele ponad dziesięć lat. Natomiast długość trwania wspólnot religijnych wynosiła prawie siedemdziesiąt.

Jak w takim razie wyjaśnić to, że wspólnoty religijne bardzo często

dzielą się i rozpadają, a konflikty na tle wyznaniowym prowadzą do rozlewu krwi?

Tendencja do powstawania sekt wydaje się prostą konsekwencją samej wielkości wspólnoty. Górną granicą jest tutaj 150 osób. Ta liczba wynika z moich wieloletnich analiz wielkości naturalnych społeczności ludzkich oraz wielkości sieci społecznych. Czy mówimy o grupach łowców-zbieraczy, czy o średnio-wiecznych społecznościach rolniczych, czy o sieci kontaktów na Twitterze, wyniki za każdym razem mieszczą się w przedziale od 100 do 200 osób, przy czym średnia wynosi niemal dokładnie 150 osób. Wielkość ta sprawdza się również, jeśli chodzi o wspólnoty religijne. Wewnątrz takiej grupy nieporozumienia wciąż mogą być rozwiązywane w czasie dyskusji twarzą w twarz. Gdy Kościół się rozrasta, ludzie tracą poczucie, że mają ze sobą osobiste więzi. Przeszają też widywać się wystarczająco często, by zachować spójność kulturową. Jest to więc delikatna gra między naturalną chęcią, by rozszerzać grono wiernych, a erozją poczucia przynależności. Poza tym większość nowych religii koncentruje się wokół charyzmatycznych jednostek. Kiedy przywódca umiera, dochodzi do podziału.

Skuteczną formą przeciwdziałania schizmie jest rozwinięcie struktur organizacyjnych, narzucających pewien stopień dyscypliny teologicznej, ale nie wszystkie Kościoły są w stanie to zrobić. W badaniach przeprowadzonych na potrzeby wspomnianego projektu „Religia i mózg społeczny” pojawia się również inna korelacja: im więcej zobowiązań musi podjąć nowy członek Kościoła (np. rezygnując z przeklinania, tytoniu, alkoholu, mięsa czy seksu), tym większe są szanse, że wspólnota przetrwa dłużej. Wysoki „próg wejścia” pozwala na wstępie odścisnąć ludzi, którzy nie są gotowi na osobiste wyrzeczenia.

Trzy najbardziej znane na Zachodzie religie objawione – judaizm, chrześcijaństwo i islam – pojawiają się nagle i w tej samej części świata. To przypadek czy coś więcej?



Robin Dunbar to brytyjski antropolog, profesor psychologii ewolucyjnej University of Oxford. Autor wielu książek, z których najnowsza „Religijni. Jak ewolucja wierzeń wpływa na historię i kulturę człowieka” (Copernicus Center Press) ukazała się w tym roku po polsku.

Zdecydowanie coś więcej. Są to religie Abrahamowe. Wszystkie mają swe korzenie w starożytnych przekazach Tory o Abrahamie, co w pewnym sensie wyjaśnia, dlaczego powstały tak blisko siebie. Reprezentują dojrzałą formę religii doktrynalnych. Mówiąc dojrzałą, mam na myśli fakt, że w ich przypadku Bóg zdaje się być wprost zainteresowany indywidualnym zachowaniem swojej trzódki. Jest kimś w rodzaju „policjanta w niebiosach”.

Zaistnienie tych religii miało wiele wspólnego z nastaniem na terenach dzisiejszego Bliskiego Wschodu – wraz z końcem ostatniego zlodowacenia – warunków sprzyjających szybkiemu wzrostowi zaludnienia. Być może – to tylko moja spekulacja – pojawienie się dojrzałych religii doktrynalnych pełniło rolę mechanizmu, który umożliwił tamtejszym społeczeństwom przebicie demograficznego szklanego sufitu poprzez pokonanie stresorów związanych z życiem w zorganizowanych i coraz bardziej zurbanizowanych społeczeństwach.

Dziś w zamożnych państwach szeroko pojętego Zachodu religijność spada. Z kolei wśród społeczeństw Globalnego Południa pozostaje ona centralnym elementem rzeczywistości. Jakie czynniki zewnętrzne premują religijność?

Wszystkie te, które przeszkadzają ludziom w bezpiecznym życiu i wychowywaniu dzieci: polityczna niestabilność, klęski żywiołowe, wojny, masowe migracje, skutki ocieplenia klimatu. Ponieważ świat nie zmieni się raczej w raj na ziemi, nie sądzę, aby religia miała zaniknąć.

Alternatywą są próby stworzenia jej odmiany świeckiej, której celem jest rozwiązanie jakiegoś palącego problemu politycznego bądź społecznego. Jedną z nich był marksizm. Drugą nazizm. Oba eksperymenty skończyły się kląpą. Być może – biorąc pod uwagę problemy klimatyczne – w XXI w. zaistnieje kolejna świecka wiara: ekologizm.

I w tym wypadku jestem jednak raczej sceptyczny. Świeckie wierzenia nie są bowiem w stanie stworzyć autentycznego poczucia wspólnoty. A nawet jeśli są, to tak jak w przypadku marksizmu, trwa ono maksymalnie jedno lub dwa pokolenia, po czym ulatuje. Podstawowym atutem wszystkich religii jest zdolność osiągania autentycznych stanów transowych i innych form mistycznego doświadczenia. Wszyscy ci, którzy wieszczą zmiękczenie religii, chyba tego nie doceniają.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

REKLAMA | PODKASTY POPULARNONAUKOWE

JUŻ PONAD 60 ROZMÓW

PROJEKTPULSAR.PL/PODKAST



Czy Europa się zmieni, czy upadnie? Czy istnieją uniwersalne prawa migracji? Rozmowa z prof. **Fabianem Welcem**, dyrektorem Instytutu Archeologii UKSW, badającym wpływ klimatu na dawne cywilizacje.

Akcent w dyskusjach na temat AI powinien zostać przeniesiony na styk człowiek–maszyna. A może nawet bardziej na naturę samego człowieka. Rozmowa z **Katarzyną Szymielewicz**, prawniczką, prezeską Fundacji Panoptykon, oraz prof. **Piotrem Sankowskim**, fizykiem i informatykiem z UW.

pulsar
NADAJE

Uśmiech eskulapa

Jest najrzadszym przedstawicielem rodzimych gadów – ma tylko kilka siedlisk w południowo-wschodniej Polsce. Ostatnio jego liczebność nieco wzrosła, ale bez dalszej pomocy ludzi ma niewielkie szanse na przetrwanie.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Kiedy w latach 70. XX w. Maria Kownacka i Kazimierz Garstka pisali książkę dla młodzieży „Na tropach węża Eskulapa”, nie mieli na myśli wypraw w poszukiwaniu jedyne „polskiego” dusiciela. Powstał raczej bogaty zestaw przygód harcerskiego szczerpu w półdzikich jeszcze Bieszczadach. To w większości fikcja literacka, ale tytuł nie wziął się znikąd. W tym samym czasie przyrodnicy i leśnicy zaczęli bowiem prowadzić pierwsze badania gatunku *Zamenis longissimus*. Były skromne, oparte głównie na obserwacji bądź wyłapywaniu i mierzeniu poszczególnych osobników. Współautor książki, ówczesny dyrektor Szkoły Podstawowej w Lutowiskach, pasjonat przyrody i lokalnej historii, czynnie w nich uczestniczył. Poważniejsze projekty naukowe dotyczące eskulapa zainicjowano dopiero wówczas, kiedy gatunek został uznany za skrajnie zagrożony wyginięciem.

Zmiany częste, ale niechciane

Przed wojną w Bieszczadach wąż Eskulapa był dość powszechny – ludność tolerowała jego obecność w pobliżu gospodarstw, bo skutecznie tępił gryzonie. Później populacja zaczęła się chwiać. W latach 1939–45 nikt oczywiście nie

zajmował się ochroną fauny, podobnie zresztą aż do drugiej połowy lat 50. Podczas pierwszych powojennych turystycznych wędrowek i ponownego – po wysiedleniach autochtonów w czasie akcji „Wisła” – osadnictwa na rubieżach kraju, wreszcie zainteresowano się siedliskami największego polskiego węża.

Na okazy sięgające półtora metra i większe natrafiano zwłaszcza w dolinie Sanu pod pasmem Otrytu. Leśnicy pracujący w tym rejonie widywali całe rodziny węży zamieszkujących na wpół zrujnowane chaty i piwnice. Na widok ludzi zwierzęcy instynkt w pierwszym odruchu kazał im chować się w szczelinach budynków i okolicznych zaroślach. Bywało jednak, że bez większego trudu ten czy inny leśnik chwycił węża i mógł go sobie obejrzeć z bliska.

W 1957 r. jeden z takich węży wprowadził się do baraku pasterzy bydła w Tworylnem. Miesiącami dzielił ciasne pomieszczenie z pierwszymi polskimi kowbojami. Codziennie wypelzał na zewnątrz, by zapolewać, ale zawsze wracał. Najchętniej odpoczywał na belce pod dachem, zdarzało się jednak, że pasterze znajdowali go zwiniętego na pryczy. Kilka lat później w sąsiedniej Zatwarnicy inny dorosły gad zagnieździł się w budynku ekipy budowlanców. „Pewnego dnia przyszedłem z pracy i zobaczyłem na podłodze sporych rozmiarów węża

– wspominał w rozmowie z nami Emil Rusinek, kierownik robót drogowych. – Wiedziałem już trochę o tym gatunku, dlatego nie wzbudził we mnie strachu. Został na dłużej. Spał pod łóżkiem, rankiem wymykał się na łowy, potem odpoczywał w baraku. Traktowaliśmy go jak stałego mieszkańca, czasami podrzucaliśmy mu smakowite kąski. Zniknął nagle i niespodziewanie. Niewykluczone, że został wykradzony i sprzedany jakiemuś hodowcy. Na pamiątkę została mi jego fotografia”.

Już wtedy, w latach 60. XX w., bieszczadzkie doliny nad Sanem i Wołosatym zaczęli bowiem penetrować łowcy gadów. Latami odławiali żmije, zaskrońce, gniewosze plamiste i właśnie węże Eskulapa. Trafiały one do prywatnych odbiorców. O takich ludziach opowiadał nam kiedyś nieżyjący już bieszczadzki leśnik Tadeusz Zajac, wielki orędownik ochrony eskulapa: „Mimo że staraliśmy się nie ujawniać miejsc bytowania węży, to i tak wpadały one w pułapki zastawione przez kłusowników. Za jednego inkasowali po kilka tysięcy złotych. Liczyła się kasa, nie dobro gatunku”.

Nikt nie wie, ile eskulapów wywieziono w latach 60. i 70. z Bieszczadów, ale właśnie wtedy zauważono, że rzadki i pożyteczny wąż regularnie znika z zajmowanych stanowisk. Poszukiwacze nie ustalali w wyśiłkach, by lokalizować kolejne siedliska, a służby przyrodnicze i leśne nie były

w stanie podjąć skuteczną walkę z kłusownictwem. Nie był to też czas, kiedy ochrona zwierząt w Polsce stanowiła priorytet.

Według dr. hab. Bartłomieja Najbara, badacza herpetofauny z Uniwersytetu Zielonogórskiego i autora monografii o wężu Eskulapa, w latach 1979–2003 znaleziono w Bieszczadach 42 martwe osobniki. Można przyjąć, że liczba zabitych okazów była znacznie większa. – *Dla wielu ludzi każdy gad jest wart uśmiercenia, bo wybudza strach i wstręt* – tłumaczy. – *Może dlatego, że jeszcze w dzieciństwie dowiadujemy się z bajek o przebiegłych węzach. I taki obraz mamy w podświadomości przez całe życie.*

Również w następnych dekadach znajdowano zabite węże – rozjechane przez samochody, zatłuczone kamieniami bądź przecięte kosiarkami. Pewna liczba zginęła z przyczyn naturalnych, część osobników, zwłaszcza młodych, została zabita i pożarta przez drapieżniki (np. jeże, lisy, kuny czy rysie), duże ptaki (bociany białe i czarne). Część została nielegalnie odłowiona, a następnie przewieziona w inne regiony. Zdaniem przyrodników gad wykradziony z doliny Sanu i wypuszczony w obcym środowisku, gdzieś w lasach centralnej czy północnej Polski, ma niewielkie szanse na przeżycie. Dlatego pseudoekolodzy są tak samo szkodliwi jak handlarze.

Warunki dobre, ale groźne

Z myślą o ochronie eskulapy w 1983 r. utworzono w Bieszczadach rezerwat leśny Hulskie im. Stefana Myczkowskiego o powierzchni 190 ha, a w 1991 r. rezerwat krajobrazowy Krywe (ponad 500 ha). W 1999 r. z grantu przyznanego przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska Nadleśnictwo Lutowiska rozpoczęło realizację programu ratowania węża w dolinie Sanu. Pieniądzy wystarczyło na dwa lata. Następny wniosek nadleśnictwa odrzucono, na szczęście później znowu udało się z różnych źródeł uzyskać fundusze na ochronę stanowisk dusiciela. Wtedy projekt rozszerzono na budowę kopców z trocin, stert gałęzi, pniaków i kamieni. Te „domki” zostały uznane za najważniejsze mikrosiedliska dla utrzymania populacji eskulapy. Gady się w nich rozmnażają i zimują. Są one także doskonałą kryjówką w czasie dużych wahań temperatur między dniem a nocą. Od wiosny do jesieni temperatura utrzymuje się w nich na poziomie 20 st. C, podczas gdy w majowe czy sierpniowe noce temperatura powietrza może spaść do kilku stopni, za dnia zaś osiągnąć nawet 30 st.

Drugim ważnym siedliskiem dla węża Eskulapa są mało dostępne okolice Zalewu Solińskiego. To między innymi tam badania prowadzi dr Katarzyna Kurek z Instytutu

Ochrony Przyrody PAN w Krakowie, autorka wielu opracowań dotyczących *Zamenis longissimus*. – *Występowanie eskulapa w sąsiedztwie sztucznego jeziora może być szersze, niż sądzimy, ale z uwagi na skalne urwiste brzozi i brak dróg dojazdowych prowadzenie inwentaryzacji jest utrudnione* – tłumaczy. – *Z pewnością pojedyncze osobniki lub grupy tego gatunku zasiedlają też drewniane domki rozsiane nad akwenem.*

Te obiekty służą letnikom, ale też np. wędkarzom. Niektóre od dawna nie są użytkowane, popadają w ruinę, i tam węże znajdują doskonałe warunki do życia. Biorąc jednak pod uwagę, że część zabudowy, nierzadko nielegalnej, jest rozbierana, jednocześnie niechcący mogą być likwidowane również kolonie eskulapa. – *To o tyle niebezpieczne* – podkreśla dr Kurek – *że nasze dusiciele lubią zasiedlać te same miejsca i nie są chętne do migracji.*

Stan lepszy, ale krytyczny

Współcześnie eskulapy znów coraz częściej żyją w symbiozie z mieszkańcami wsi położonych w dolinie Sanu. Nawet gdy któryś osiedli się na strychu domu bądź stodoły, nikt na niego nie poluje i nie próbuje stamtąd wyrzucić. – *W mojej letniej chacie węż zagnieżdżył się w szczelinie pod dachem* – opowiada Maria Brózda. – *Często wygrzewał się na dachu, ale lubił też „zejść” do kuchni czy pokoju. Owijał się wokół nogi stołu i tak sobie siedział. A później znowu przemieszczał się do swojego lokum.*

Miejscowi mają szacunek do dusiciela. Rozumieją, jak jest pożyteczny i łagodny. Ta wiedza jest efektem wieloletniej akcji edukacyjnej prowadzonej w tej części Bieszczadów przez leśników i naukowców. Biorąc w niej udział dorosli mieszkańcy, a także dzieci i młodzież szkolna. W czynną ochronę węża Eskulapa włączone są nadleśnictwa Lutowiska, Ustrzyki Dolne, Stuposiany, Baligród, Komańcza, Lesko i Cisna. Wszędzie tam zaobserwowano jego obecność, choć zwykle były to stanowiska pojedyncze. Jedynie w Nadleśnictwie Ustrzyki Dolne zlokalizowano ich nieco więcej, choć nie tak wiele, jak w dolinie Sanu.

Leśnicy regularnie monitorują podległe sobie obszary i informują IOP PAN

o zaobserwowanych węzach lub pozostawionych przez nie śladach, np. wylinkach. Znajdowano je chociażby w tartakach, gdzie nie brakuje ulubionych przez jajorodne węże stert trocin, które są idealnym miejscem dla rozrodu. W 1985 r. w pobliżu rezerwatu Hulskie natrafiono na najdłuższą jak dotąd wylinkę – mierzyła 215,8 m. Można sobie tylko wyobrazić, jak dorodnie wyglądał żywy węż. Ale podobnie dużych okazów było i jest w Bieszczadach więcej.

Gdyby przed laty nie podjęto projektów badawczych i przemyślanej ochrony najmniej poznanego (obok gniewosza plamistego) z rodzimych gadów, dziś zapewne byłby on na granicy wyginięcia. Żeby ograniczyć jego bezmyślne tępienie, w siedmiu bieszczadzkich nadleśnictwach ustawiono tablice informacyjno-edukacyjne o ochronie, biologii i występowaniu wszystkich gatunków węży w Bieszczadach. Lata pracy nie poszły na marne – liczebność eskulapa na tym obszarze wzrosła w minionych dwóch dekadach do ok. 250 osobników, ale wciąż jest to stan krytyczny. Ponadto – jak zaznacza dr Katarzyna Kurek – rosnącym zagrożeniem dla populacji węża jest nieustanny proceder jego wyłapywania i przenoszenia, jak również wywożenie z tartaków trocin. Jeśli wygnane z takich ciepłych przystani węże nie znajdą odpowiedniego lokum do przetrwania jesieni i zimy, najpewniej zginą.

– *Niezbędne jest systematyczne kontrolowanie populacji Zamenis longissimus* – zaznacza badaczka. – *WIOP PAN jeszcze w 2014 r. powstał dokument „Rekomendacje dla ochrony węża Eskulapa w Bieszczadach Zachodnich”.* Wciąż obowiązuje. Jest w nim m.in. mowa o konieczności pozostawiania fragmentów starej buczyny i olszyny do naturalnej sukcesji czy też zachowania otwartych i półotwartych przestrzeni, bardzo lubianych przez tego gada.

Gdy eskulap ma zamkniętą bądź tylko lekko rozwartą paszczę, wygląda na zadowolonego. Dlatego nazywa się go uśmiechniętym wężem. Jeżeli pozostawimy go bez stałej, choć dyskretnej opieki, powoli zniknie. Nie jak Kot z Cheshire. Ostatecznie. ■

Wąż Eskulapa (*Zamenis longissimus*) – największy i najrzadszy gad żyjący w Polsce. Długość dorosłych osobników może przekraczać 2 m. Żyje w lasach liściastych, wśród skał i na obrzeżach łąk. Poluje głównie na gryzonie, płazy i ptaki. Ofiary dusi splotami ciała. Zасыpia zazwyczaj we wrześniu, budzi się w kwietniu. Gody odbywa w maju, samica składa od 5 do 8 jaj. Młode wylęgają się w sierpniu. Występuje też m.in. w Czechach, Słowacji, Rumunii, na Bałkanach, w zachodniej Azji. Gatunek zagrożony wyginięciem, od ponad 70 lat w Polsce chroniony. Nazwę zawdzięcza greckiemu bogu Asklepiosowi (Eskulapowi). Wizerunek węża owiniętego wokół jego laski to symbol sztuki lekarskiej.



Brama do getta na ul. Kupieckiej. Niemcy zamknęli w nim Żydów miesiąc po wejściu do miasta.

Fart Białystokera

Rozmowa z Benjaminem Midlerem, białostoczaninem, świadkiem powstania w getcie białostockim, więźniem obozów koncentracyjnych, ocalałym z Holokaustu.



Benjamin Midler jest głównym bohaterem książki „Ostatni Białystoker” Marty Sawickiej-Danielak, która ukaże się w sierpniu 2023 r. nakładem wydawnictwa Wielka Litera. Wcześniej, w 1993 r., wydał książkę „The Life of A Child Survivor from Białystok, Poland”, w której opisał swoją wojenną historię. Na fot. 17-letni Benjamin tuż po wyzwoleniu oraz współcześnie.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK: – **Kiedy pan dziś słyszy „Białystok”, co pan widzi?**

BENJAMIN MIDLER: – Moje rodzinne miasto, szczęśliwe dzieciństwo. Pamiętam wszystkie ulice. Po kolei sklepy na Polnej, Lipowej, Kościuszki i Świętego Rocha. Pamiętam kino. W niedzielę chodziliśmy całą rodziną do parku. Lubiłem ciszę lasów za miastem, jeździłem tam na koniu. Przed wojną mieszkaliśmy przy Zastawskiej 4 – dom z rozlewnią mleka i sklepem nabiałowym rodziców. Tata wstawał o czwartej rano, zaprzęgał konia, jechał na wieś po towar. Mama sprzedawała w sklepie i zajmowała się dziećmi. Rodzice byli bardzo zapracowani. Chodziłem do prywatnej szkoły żydowskiej.

To było wtedy, jak by się dziś powiedziało, miasto wielokulturowe.

Przemysłowe miasto, pełne fabryk tekstylnych, obuwniczych, odzieżowych, małych biznesów. Mieliliśmy sąsiadów Żydów, Polaków, Rosjan, Białorusinów, Ukraińców, Niemców. W weekendy graliśmy w piłkę z dziećmi z sąsiedztwa.

Wyjechał pan z Polski jako 17-latek, zna pan współczesny Białystok?

Bardzo ładne miasto. Pierwszy raz po wojnie pojechałem tam w latach 90. z ocalałymi z Shoah odsłonić pomnik powstańców z getta. W 2004 r. zabrałem tam rodzinę – pokazać miasto i obozy koncentracyjne, których byłem więźniem. W 2019 r., w czasie Marszu Żywych, odwiedziłem Białystok z młodymi ludźmi z Izraela. Zabrałem ich na cmentarz żydowski przy Żabiej. Nie cmentarz – tam jest tylko tabliczka, że tu leżą zamordowani przez hitlerowców.

Benjamin (pierwszy od prawej)
z bratem Arie, matką Gutką
i ojcem Elją, Białystok, ok. 1932 r.



Znalazł pan swój dom, ulice, które pamiętał pan z dzieciństwa?

Ani domu, ani ulic, wszystko zburzone. Nie mogę nikogo winić, była wojna niemiecko-rosyjska, ciężkie ostrzały i naloty. Teraz stoją te wielkie osiedla mieszkalne.

Druga wojna światowa zaczęła się dla Białegostoku od wejścia Rosjan, potem weszli Niemcy. Dla społeczności żydowskiej to jak dwa różne światy.

Rosjanie przynajmniej nikogo nie zabijali. Zamknęli prywatne firmy, w szkole nie uczyli polskiego, tylko rosyjskiego, ale nie było tego ciągłego strachu. W tym czasie wielu Żydów z terenów okupowanych przez Niemców przyjeżdżało do Białegostoku po schronienie. Ale Rosjanie nie pozwalali im zostać. Kazali przyjmować rosyjskie paszporty. Ci nie chcieli, bo zostawili za sobą rodziny, domy, firmy. Rosjanie wsadzili ich do pociągów i wywieźli na Syberię. Z tego punktu widzenia ci ludzie mieli szczęście, bo przeżyli.

Niemcy przyszli do miasta 27 czerwca 1941 r., w dzień pana 13. urodzin.

Tego dnia wypadła moja bar micwa, miałem czytać Torę w synagodze. Niemcy weszli i od razu spalili Wielką Synagogę, a w niej około tysiąca ludzi. Nie pozwolili strażakom gasić pożaru. Ulica Zasławska, przy której mieszkaliśmy, była blisko synagogi. Czuliśmy dym i widzieliśmy, jak ludzie uciekają z tamtej strony. Mówili, że synagoga płonie i boją się, że zapalą się domy dokoła. Gdy pojechałem do Białegostoku po wojnie, widziałem już tylko kopułę – pomnik spalonej synagogi, leżała niedaleko stamtąd.

To był, jak się miało okazać, początek zagłady Żydów z Białegostoku. Mówiło

się o tym w domu? Przeczuwaliście, że idzie najgorsze?

Strach nas nie opuszczał. Baliśmy się wychodzić z domu. Ojciec został zamordowany w lipcu 1941 r. w masowej egzekucji. Do jednego z tych cichych lasów pod miastem, które tak lubiłem, Niemcy popędzili 5 tys. ludzi i wszystkich zabili. Miesiąc po wejściu do Białegostoku Niemcy zamknęli Żydów w getcie. Musieliśmy zostawić rodzinny dom i przenieść się na Wąską 1, do tej wydzielonej dzielnicy. Miałem 13 lat i wszyscy mówili mi, że powinienem iść do roboty albo Niemcy wywozą całą naszą rodzinę. Zostałem prasowaczem w fabryce tekstylnej. Mieściła się w budynku, gdzie wcześniej była moja szkoła. I rzeczywiście, gdy były wywózki z getta w lutym 1943 r., mojej rodziny nie tknęli. Przeżyliśmy w getcie dwa lata.

Jak pan zapamiętał dzień powstania w getcie białostockim?

Na 16 sierpnia 1943 r. Niemcy zaplanowali likwidację getta i wywózki. Ale już wcześniej mówiło się, że wielu ludzi się zbuntowało, zbierają broń i szykują powstanie, takie jak w Warszawie. Widziałem mężczyzn strzelających z pistoletów do czołgów. Nie mieli żadnych szans, więc podpalili drewniane domy przy ogrodzeniu getta, by jak najwięcej ludzi mogło uciec. Nasza rodzina ukrywała się w ziemiance, w ogrodzie koło domu. Ten bunkier zdecydował zbudować wujek po lutowych wywózkach i rozstrzelaniach. Ulica Wąska leżała zaledwie kilka ulic od granicy getta. A ponieważ płonęły domy, kryjówka wypełniła się dymem. Wujek powiedział do mnie, że powinniśmy we dwóch wyjść, sprawdzić okolicę. Złapali nas Niemcy,

popędzili na pole w Pietraszach. Tam już czekały podstawione pociągi towarowe. Kryjówki, w której została mama z młodszym bratem i siostrą, nie wydaliśmy.

To były ściśle strzeżone pociągi śmierci, prosto do krematoriów Treblinki.

A na polu cały pozostały jeszcze przy życiu żydowski Białystok, ponad połowa jego przedwojennych mieszkańców. Miałem szczęście, bo pierwszego dnia nie zdołali zapakować i wywieźć wszystkich. Czekaliśmy, aż pociąg wróci po nas. Na trzeci dzień przyszli niemieccy oficerowie. Wybrali 500 mężczyzn, wśród nich mnie i wujka, wsadzili nas do trzech oddzielnych wagonów. Wszystkie inne wagony trafiły prosto do Treblinki, a te trzy zostały odłączone na bocznym torze. Przyjechała lokomotywa i zabrali nas do Majdanka. Wtedy nie wiedzieliśmy, dlaczego tak się stało. Teraz wiem i nazywam siebie cudownie ocalonym. Okazało się, że nas potrzebują do roboty. W Majdanku nosiliśmy kamienie z jednego miejsca w drugie. Praca na wyniszczenie.

Pan to nazywa cudownym ocaleniem? Wciąż ze śmiercią na karku?

Tak, ale wciąż żyłem. A potem zdarzały się kolejne cudowne ocalenia. Po miesiącu lub dwóch znowu przyszli oficerowie i kazali nam mówić, jaką mieliśmy pracę w białostockim getcie. Mój wujek był mechanikiem samochodowym i kazał mi powiedzieć, że ja też. Wszystkiego się nauczę, mówi, dzięki temu będziemy razem. Ale kiedy podeszli do mnie, przestraszyłem się i powiedziałem prawdę: mam 15 lat i jestem prasowaczem. Potrzebowali wtedy krawców i szewców na potrzeby armii, wojna trwała. Było nas 200, których zabrali do Bliżyna – kolejnego obozu. Kiedy tam przyjechaliśmy, okazało się, że nie potrzebują prasowaczy, bo ubrania, które ślą żołnierzom na wschód, już nie muszą być uprasowane. Na rok wylądowałem w kamieniołomach, dostałem tyfusu. I znowu zostałem cudownie ocalony – przeżyłem mimo wycieńczenia i głodowych racji.

W tym czasie na froncie wschodnim odwróciła się sytuacja. Niemcy przegrywali, cofali się. Latem 1944 r. Rosjanie zdobyli Białystok.

Wiedzieliście o tym w obozie?

Wiedzieliśmy, że front się zbliża, bo przenoszą nas do Birkenau, części obozu Auschwitz. Kiedy przyjechaliśmy, nie zrobili selekcji od razu, na rampie, tylko po kilku tygodniach. Postawili takie specjalne tablice z poprzeczkami – kto dotknął głową poprzeczki, szedł do obozu pracy. Kto nie – do komory gazowej, a potem do krematorium. Byłem wysoki, ►

► jeszcze stanąłem na palcach, dotknąłem głową poprzeczki. Za stołami siedzieli ludzie, wydawali numery. Więźniowie z Birkenau mieli literę B na początku numeru, tatuowano go od wewnątrz przedramienia. Tylko w Auschwitz-Birkenau tatuowali numery. W każdym innym, do którego trafiałem, nosiłem numer naszyty na ubraniu. I za każdym razem, kiedy człowiek umierał, umierał numer. Nikt nie wiedział, kto to był.

(Benjamin pokazuje numer obozowy B-2433).

Więc wozili mnie od obozu do obozu. Z Majdanka do Sachsenhausen, potem Ohrdruf. A ja wciąż pamiętałem, że zostawiłem rodzinę w kryjówek w Białymstoku, i moje motto było: musisz przeżyć dla nich. Bo my byliśmy bardzo kochającą się rodziną. Uparłem się, że do nich wrócę. Z każdym obozem byłem bliżej nich. Zamknąłem się w sobie, z nikim nie rozmawiałem, wyparłem z pamięci imię najmłodszej siostrzyczki. Zgłaszałem się do najgorszych prac, byle zająć myśli. Rano biegłem na ochotnika wypróżnić barakowe wiadra z kałem i moczem z nocy. Gdybym nie udawał dorosłego, już bym nie żył. Pamiętałem z białostockiego getta wywózkę 1,2 tys. żydowskich dzieci. Niemcy wieźli je do Terezina, ale potem dowiedzieliśmy się, że tak naprawdę do Auschwitz. Wszystkie zabili. Wtedy właśnie zdecydowałem, że będę dorosły.

Gdzie pana zastał koniec wojny?

W obozie w Babelsbergu. Zgłosiłem się tam na ochotnika, kiedy byłem w Ohrdruf. To był już czas, kiedy dosłownie słyszeliśmy alianckie naloty. Alianci bombardowali Berlin dniami i nocami, a w przerwach my – więźniowie Babelsbergu – mieliśmy sprzątać ich zagruzowane ulice. Potem, już w latach 90., kiedy mieszkałem w Chicago, czytałem w tamtejszej gazecie, że Niemcy zabili wszystkich więźniów obozu w Ohrdruf. Gdybym więc nie zgłosił się na ochotnika pod Berlin, już bym z nikim teraz nie rozmawiał. Cud raz jeszcze. Wyzwolenie to też był cud – rano okazało się, że strażnicy naszego obozu po prostu uciekli.

Pojechał pan prosto do swojego Białegostoku?

Tak, ale to nie było takie łatwe. Wylądowałem w rosyjskiej strefie okupacyjnej Berlina. Strasznie namawiali, żeby jechać do Rosji ich pociągiem, tam być przy rozładunku i wrócić do Białegostoku. Ale ja wiedziałem, że jak się raz dostaniesz do Rosji, to już tak łatwo stamtąd nie wyjedziesz. Musiałem przekupić, kogo trzeba, żeby sobie wyrobić papiery na podróż, w końcu pojechałem. Białystok, moje miasto

rodzinne, leżał w gruzach. Rodziny nie znalazłem. Mój dziadek ze strony mamy miał 11 dzieci. Sześcioro z nich wyjechało przed wojną do Ameryki, pięcioro założyło rodziny w Polsce. Z całej polskiej części mojej rodziny przeżyłem tylko ja jeden.

Wtedy wyjechał pan z Białegostoku.

Nie myślał pan, żeby jednak zostać?

A co miałem robić? Byłem sam, bez rodziny, nie miałem wyjścia. Ktoś mi powiedział, żebyśmy jechali do Łodzi, bo tam są Żydzi, którzy walczyli w szeregach armii brytyjskiej przeciw Niemcom i szukają ocalałych, którzy chcieliby jechać do Palestyny. Jechaliśmy przez Czechosłowację, Węgry do Włoch. Tam mieliśmy na kutrach rybackich popłynąć do Palestyny. Ale Anglicy, którzy rządzą w Palestynie, potrzebowali tylko określonej liczby ludzi. W czerwcu 1946 r. było nas za dużo, nie wpuścili nas. Brytyjskie łodzie zawiozły nas na Cypr, gdzie spędziłem w obozie pół roku.

Był pan pionierem Izraela.

Jak pan pamięta te pierwsze dni w nowym państwie?

Kiedy w końcu dotarłem do Izraela, chciałem się tam nauczyć jakiegoś zawodu, bo nie miałem żadnego. A tam mówią, że mam dopiero 17 lat, i wysłali mnie do szkoły rolniczej – cztery godziny pracy, cztery godziny nauki. W 1948 r. prosto z tej szkoły znów byłem na wojnie, tym razem z Arabami. Izrael powoływał wszystkich mężczyzn od 18. do 55. roku życia. Byłem w armii przez dwa lata. Potem pojechałem budować osadę, ale pracowałem w sklepie, bo nie chciałem być rolnikiem. Wtedy poznałem żonę, była Żydówką z Kairu. Pobraliśmy się 16 stycznia 1951 r. Mieszkaliśmy w tej osadzie, ale moja córka nocami płakała, bo ciągle dochodziło do ostrzałów między Arabami i osadnikami. Przeniosłem rodzinę do Hajfy, pracowałem w mleczarni.

I wtedy dowiedział się pan, że ma krewnych w Ameryce.

Przypomniałem sobie nazwisko jednej z sióstr matki, która w 1938 r. wyszła za mąż w Argentynie. Teraz mieszkała w Chicago. Odnaleźliśmy się, wysłała nam wizy do Stanów. W 1959 r. zdecydowaliśmy z żoną, że powinniśmy tam pojechać, żeby być blisko rodziny. Dopiero od ciotki dostałem stare zdjęcia białostockiej rodziny – ja, brat, siostra. W Ameryce pracowałem 20 lat w mleczarni. Potem nadarzyła się okazja kupić sklep nabiałowy i choć nie jestem biznesmenem ani nie skończyłem szkoły, to niczego się nie boję – co jest do zrobienia, jestem gotowy to zrobić.

Wszyscy, których o pana pytałem, mówili, że jest pan wielkim optymistą. I każdy podkreślał, że nie wie, jak pan to robi po takich przeżyciach.

Zawsze mówię tak: wczoraj minęło, dziś jest dobry dzień, jutro będzie jeszcze lepszy. To mnie trzyma przy życiu. Mam trzy córki, wszystkie żyją w Stanach. Mam sześcioro wnuków, troje prawnuków. Teraz mieszkam w domu seniora. Jestem szczęśliwym człowiekiem. Oto moje życie. Nic nie jest dla mnie zbyt ciężkie. Mam 95 lat. Codziennie chodzę półtorej mili. Uczę się grać w brydza, bo w ten sposób mózg ćwiczy pamięć. Opowiadam o swoich wojennych przeżyciach w szkołach, koledżach, daję wykłady dla amerykańskiej armii. Nie uznaję słów: nie da się. Mówię o Shoah, żeby nie zostało zapomniane. Żeby się już nigdy nie powtórzyło. Nie może się powtórzyć. Pojechałbym wszędzie, żeby o tym mówić.

Muszę jednak o to spytać: nie mówimy teraz po polsku, a przecież pan znał polski. Nie chce pan mówić?

Tak się dzieje, kiedy jest się mężem kobiety, która mówi pięcioma językami, ale nie twoim. Miałem przy żonie mówić po polsku? Znała francuski, arabski, hiszpański i włoski. A ja żadnego z nich. W Izraelu porozumiewaliśmy się po hebrajsku, w Stanach po angielsku. Moja żona zmarła półtora roku temu, nie mówiłem po polsku przez całe 70 lat naszego małżeństwa. Zapomniałem. Ale kiedy mnie pytają, skąd jestem, mówię, że z Białegostoku, bo tam się urodziłem, kocham to miasto.

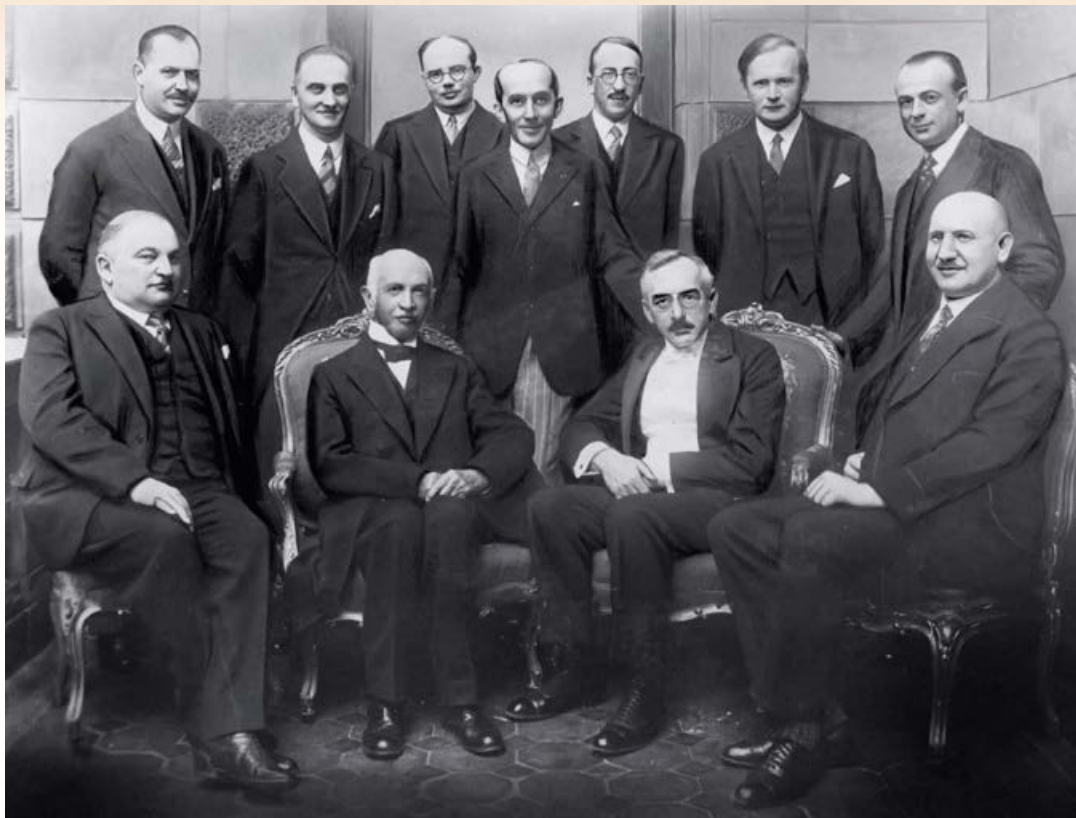
Ellen, jedna z pańskich córek, opowiadała, że przez lata nie mówił pan o swoich wojennych losach. Nawet o numerze na przedramieniu, który był widoczny. Ellen miała na jego punkcie obsesję, rysowała go na ławkach w szkole i notesach. Dlaczego nic pan o tym nie mówił?

Nie mówiłem córkom, bo były małe. Chciałem, żeby miały szczęśliwe dzieciństwo. Żeby mnie nie żałowały, nie smuciły się, nie musiały ciągle o tym myśleć. Uważałem, że powinny żyć normalnym życiem, nie być zainfekowane tym, co przeszedłem. A potem opowiedziałem. W 1990 r. wnukowie przyjechali do mnie z nowym komputerem i mówią: Dziadku, musisz opisać historię swojego życia.

A co pan czuje, słysząc o sobie słowa „ostatni Białystoker”?

Jest mi bardzo smutno. Niewielu już z nas zostało. Nie wiem, ile osób będzie w sierpniu w Białymstoku, w rocznicę powstania w getcie. Ilu z nas jeszcze spotkam? Zbyt wielu ludzi rozpamiętuje. A ja, nawet jeśli o tym mówię, to nigdy nie żyję przeszłością. Mówię, przytaczam z pamięci najdrobniejsze szczegóły, ale na tym koniec – powiem i zamykam w pudełku.

ROZMAWIAŁ MARCIN KOŁODZIEJCZYK



Aleksander Brückner, członek Polskiej Akademii Umiejętności (siedzi, drugi z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, lata 20. XX w.

Samotnik z Berlina

W 2021 r. sprowadzono do Polski uroczyste szczątki Maurycego Mochnackiego, w 2022 r. – trzech prezydentów na uchodźstwie:

Władysława Raczkiewicza, Augusta Zaleskiego i Stanisława Ostrowskiego.

Pod koniec września ma trafić do Krakowa urna z prochami Aleksandra Brücknera, historyka literatury i kultury polskiej.

MAREK ŁAZIŃSKI

Nazwisko Brückner kojarzy się przede wszystkim ze słownikiem etymologicznym z 1927 r., najchętniej do dziś używanym, bo dopiero po 80 latach doczekaliśmy się nowego pełnego słownika. Ze szkoły możemy pamiętać, że to Brückner odkrył najstarszy zabytek polszczyzny prozą: „Kazania świętokrzyskie” (z XIII lub XIV w.). Szerszej publiczności znana jest jeszcze „Encyklopedia staropolska”, „Historia kultury polskiej”, filologom – wydania wielu tekstów staropolskich. Jednak lista

publikacji Brücknera obejmuje prawie 2 tys. tekstów, co czyni go najpłodniejszym polskim uczonym.

Wolał bibliotekę

Urodzony w Tarnopolu w 1856 r., kształcił się we Lwowie, w wieku 25 lat został powołany na stanowisko profesora języków i literatur słowiańskich na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma (dziś Humboldtów) w Berlinie, wcześniej doktoryzował się w Wiedniu (w wieku lat 20!) i habilitował w Lipsku. W Berlinie pozostał do śmierci w 1939 r. Najważniejsze książki stworzył już na emeryturze (od 1924 r.), a Kazania odkrył w bibliotece w Petersburgu w czasie jedynego urlopu akademickiego. Na szczęście zauważył paski zapisanego

pergaminy w oprawie późniejszego łacińskiego kodeksu.

Nie czuł się dobrze na uczelni, wolał bibliotekę. Był ostatnim profesorem berlińskiej slawistyki bez pomocników i asystentów, sam prowadził wykłady na temat różnych języków i literatur słowiańskich. Nie miał wielu słuchaczy (byli to głównie berlińscy Polacy), nie wykształcił doktorów, według świadectw współczesnych na uczelni schodził z drogi niemieckim kolegom. Utrzymywał za to żywe kontakty z uczonymi i z ludźmi pióra w Polsce, najbliższe z Ignacym Chrzanowskim (autorem „Historii literatury niepodległej Polski”) i Stanisławem Kotem (politykiem i filologiem), ale rozumiał się dobrze np. z młodszym o dwa pokolenia Tuwimem. ►

► Był człowiekiem słabego zdrowia, samotnikiem. Umarł na pół zapomniany przez berlińskich kolegów. Za życia był członkiem stowarzyszenia na rzecz spoielania zwłok, co w tamtych czasach automatycznie wykluczało z Kościoła katolickiego. Według relacji Józefa Frejlicha, pracownika ambasady i filologa, który odwiedzał Brücknera w szpitalu, ten pogodził się z Kościołem i zażył sobie pochówku w ziemi. Jednak ostatnią wolę profesora zignorowano i w ceremonii pogrzebowej (z udziałem gości z Polski) pochowano urnę z prochami. Ambasada polska starała się bezpośrednio po śmierci przewieźć szczątki uczonego do Polski, ale w maju 1939 r. były w stosunkach polsko-niemieckich ważniejsze sprawy. Nie uzyskano też zgody żony, która nie znała języka polskiego, nie interesowała się pracą męża. Była już zresztą chora i kontakt z nią był ograniczony, zmarła rok później. Małżeństwo było bezdzietne.

Tempelhofer Parkfriedhof w Berlinie od lat jest w stanie likwidacji, wszystkie groby mają być przeniesione na inne cmentarze do 2027 r. Dobrze, że polska dyplomacja wykorzystała tę sytuację i urny z prochami berlińskiego profesora oraz jego żony przekazane zostaną do Polski. Choć życzenia Emmy Brückner co do miejsca wiecznego spoczynku nie są znane.

Brückneriada

Brückner był jednym z ostatnich prawdziwych filologów, rozumiał tę dziedzinę jako wspólnotę języka, literatury i kultury. Jego zasługi dla historii literatury są bezsporne, z językoznawcami skłócił się już na przełomie wieków. Przyczyny były trzy: pośpiech w badaniach, prowadzący często do omyłek, wyjątkowy zapał polemiczny oraz mesjanistyczne podejście do polszczyzny (to wszystko odnosi się odpowiednio także do badań historyczno-literackich, ale – wobec zasług odkrywcy „Kazań świętokrzyskich” – mniej przeszkadza).

Berlińczyk słał polszczyznę nawet kosztem innych języków, co nie było standardem akademickim. „Nasz język nie jest tylko językiem dwudziestu milionów – są nawet między słowiańskimi języki, którymi mówi nierównie więcej. Ale te języki nie mają tradycji, ci, co nimi mówią, do własnej przeszłości nie mają się po co udawać – tam znajdują chyba, coby ich odrażać mogło. U nas inaczej” („Dzieje języka polskiego”, 1906). Powyższego cytatu nie znajdziemy w powojennym wydaniu *Dziejów* z 1960 r. Z napisanej po niemiecku i tłumaczonej na inne języki „Historii literatury rosyjskiej” (1901) dowiadujemy się m.in., że „ignorancję Rosjan przerasta tylko

ich pycha”, a głagolica, która jest źródłem wszystkich alfabetów wschodniosłowiańskich, to „hokuspokus osobliwej, brzydkiej, trudnej pisowni”.

„Dzieje języka polskiego” zrecenzował krytycznie młody językoznawca Henryk Ułaszyn. W odpowiedzi autor „Dziejów” zarzucił mu świadome fałszowanie faktów. Ułaszyn wytoczył berlińskiemu profesorowi proces o zniesławienie i zmusił go do korzystnej dla siebie ugody. Krytyczną recenzję z „Dziejów” zamieścił też Jan Baudouin de Courtenay, wtedy już sława światowego formatu. Berliński profesor wydał broszurę „Filologia i lingwistyka”, w której bronił „Dziejów”, ale przyznał też, że „nie uprawia lingwistyki, zajęty aż nadto filologią”.

Oceniając zachowanie Brücknera w sporze z Ułaszynem, Baudouin skierował do krakowskiej Akademii Umiejętności wniosek o usunięcie z niej „zawodowego oszczercy”. Pismo rozpoczął i zakończył zdaniem w sanskrycie, tawestacją „Mahabharaty”. Akademia nie usunęła Brücknera, a ta historia, zwana w historii nauki „brückneriada”, jest świadectwem dawnych emocji w dziedzinie, która może wydawać się nudna (profesorowie spierali się m.in. o etymologię wyrazu pchła).

Prymat filologii, historii kultury nad analizą języka widać jeszcze w „Słowniku etymologicznym”, lekturze świetnej do czytania, ale nie zawsze wiarygodnej w interpretacjach. Np. pod hasłem musieć czytamy, że „anarchiczni Słowianie nie mają własnego słowa dla »musu«, pożyczają je...” (prawdą jest, że niemieckie müssen zapożyczyli tylko Słowianie zachodni, ale anarchii to nie dowodzi).

Wielka wojna profesorów

Brückner spierał się i procesował nie tylko w sprawach językowych, umiał jednak przyznać się do błędu. Według anegdoty chciał artykuł naukowy rozpocząć zdaniem „Pewien idiota powiedział kiedyś”, a kiedy redakcja pisma nalegała na zmiany, zdziwił się: „Ale dlaczego. Ten idiota to ja”. Jego polemiki, nawet jeśli mieli rację, bywali chorobliwie pamiętliwi. To przez sprzeciw krakowskich językoznawców (głównie Kazimierza Nitscha) Brückner nie otrzymał doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. (Przyznano mu ten tytuł w Warszawie i w Wilnie). Poza tym berliński profesor upamiętniony jest tablicą na Skałce. W Niemczech na uniwersytetach w Jenie oraz w Halle działa Aleksander-Brückner-Zentrum ze specjalną profesurą historii wschodnioeuropejskiej i z krytycznym podejściem do dziedzictwa berlińczyka.

Nie sposób zrozumieć dziedzictwa Brücknera w kulturze współczesnej bez kontekstu historycznego. Do tego kontekstu należą też ludzie, w tym wspomniany już polemista berlińczyk Baudouin de Courtenay, który reprezentował polską naukę w Rosji, należał do tamtejszej elity akademickiej i do elity lingwistyki europejskiej swoich czasów. W tym samym czasie Brückner był w Berlinie raczej outsiderem. Po pierwszej wojnie Baudouin wrócił w rodzinne strony na Uniwersytet Warszawski, Brückner nie zwolnił profesury w Berlinie, a w liście pisał, że „nie zrobi Niemcom tej satysfakcji”.

Baudouin był wziętym publicystą, działaczem politycznym, kandydatem bloku mniejszości narodowych na prezydenta RP w 1922 r. (wycofał się na rzecz Gabriela Narutowicza). Był wolnomyślicielem, pacyfistą, przeciwnikiem wszelkiego fanatyzmu. Za broszurę w obronie mniejszości narodowych w Rosji (nie tylko Polaków) trafił w 1913 r. na kilka miesięcy do więzienia, za obronę mniejszości w Polsce narodowcy bojkotowali go na uniwersytecie. „Niech będą przekłete wszelkie misje dziejowe (...) są objawami megalomanii, są objawami fanatyzmu i sadyzmu wyznaniowego, narodowościowego, klasowego i partyjnego”. Swoją pacyfizm zawiesił na krótko w 1920 r., kiedy wzywał do obrotu przed „obłędem bolszewickim”.

Brückner nie angażował się w politykę z wyjątkiem czasów pierwszej wojny, „wielkiej wojny profesorów” (tytuł książki Macieja Górno, 2014). Niemieccy profesorowie wyraźniej niż w innych państwach pomagali swojej armii piórem. Już w 1914 r., po protestach francuskiego świata kultury przeciw niemieckiemu bombardowaniu uniwersytetu w Leuven i cywilnej ludności neutralnej Belgii, opublikowali „Manifest 93”, tłumaczący, że Niemcy tylko bronią cywilizacji Zachodu przed barbarzyńcami. Wkrótce manifest poparło w specjalnym oświadczeniu 3 tys. akademików. Walka na apele i odezwę w świecie nauki trwała do końca wojny, niemiecka nauka płaciła za to izolacją do połowy lat 20.

Trudno nie myśleć dziś o liście poparcia rektorów rosyjskich uczelni dla „specjalnej operacji wojskowej” z marca 2022 r. Rosyjska brutalna agresja na Ukrainę i zbrodnie wojenne są w ocenie bardziej jednoznaczne niż globalny konflikt sprzed stu lat, ale wojna kulturowa, walka na symbolach po obu stronach frontu, szukanie przyczyn obecnej wojny w literaturze sprzed wieków, w niereformowalnym rzekomo charakterze narodowym, przypomina tamtą epokę.

Profesor berlińskiej slawistyki nie pod-
pisał się pod militarystycznymi aktami,
jednak w swym wykładzie „Weltkrieg und
die Slawen” z 1915 r. mówił mniej więcej
to samo. Napisał w czasie wojny kilkana-
ście artykułów i broszur, m.in. „Polnische
Frage”, w której kreślił wizję silnej Polski
w sojuszu z Niemcami. Między Niemca-
mi, Polską a Rosją. Na tej mapie nie było
miejsca dla nikogo innego, Brückner pu-
blicysta pisał, że kultury ukraińskiej ani li-
tewskiej na Kresach „nie było, nie ma i nie
będzie. Jest kultura zachodnia, katolicka,



Grób Aleksandra Brücknera i jego żony w Tempelhofer Parkfriedhof w Berlinie. Cmentarz jest w stanie likwidacji, a prochy Brücknerów zostaną przekazane do Polski.

polska i jest kultura wschodnia, prawosławna, rosyjska, między niemi można wybierać” („Pola-
cy kresowi”, 1916). Przez Wilhel-
ma Feldmana Brückner podjął
współpracę z Naczelnym Komitetem
Narodowym. Kiedy Feldman protestował
w Niemczech przeciw traktatowi z
Ukraińską Republiką Ludową (luty 1918 r.)
i w konsekwencji został uznany za
persona non grata, wraz z polskimi
posłami do Reichstagu próbował go
bronić, jednak bezskutecznie.

Oczywiście berliński profesor
znał, szanował i opisywał kulturę
litewską i ukraińską. Z Iwanem
Franko znał się od czasów
studenckich, wzajemnie recenzowali
swoje prace. Franko oceniał krytycznie
„patriotyzm” w filologii. Jednocześnie
Brückner – i nie on jeden – bał się
niepodległej Ukrainy i Litwy. Przez



całe dwudziestolecie między-
wojenne duża część Polaków
nie uznawała nawet słowa
Ukraińiec, nazywała wschodnich
sąsiadów i – z przymusu –
obywateli jednego państwa:
Rusinami (jak niegdyś w Au-
stro-Węgrzech). O nazwach
dyskutowali publicyści, po-
słowie na sejm, ale i języko-
znawcy. Na łamach „Języka
Polskiego” Nitsch bronił nazwy
Rusin, Ułaszyn i Boudouin
de Courtenay oddawali głos
tym, którzy sami chcieli się
nazywać Ukraińcami. Brückner
(dawno skłócony ze wszyst-
kimi uczestnikami nowego
sporu) pisał Ukraińcy, rza-
dziej Rusini, ale przymiotnik
rusiński nazwał w „Słowniku
etymologicznym” barbarzyń-
stwem (ze względów formal-
nych). Spory o nazwy etnicz-
ne, z dyżurnym argumentem

obrońców tradycji („Nie będą nas obcy
uczyć, jak mamy mówić”), nie są specjal-
nością „politycznej poprawności” na-
szych czasów, toczyły się od wieków.

Reprezentant polskości

Spiraliśmy się od dawna nie tylko o na-
zwę etniczne, także o to, jak się do siebie
zwracać. W broszurze „Ty – Wy – Pan. Kart-
ka z dziejów próżności ludzkiej” (1916)
Brückner z właściwym sobie zapalem
grzmiał, że formy pan/pani są „zaśnie-
działym zabytkiem feudalnym, kiedy
to człowiek od szlachcica – pana się zaczy-
nał”. Ponieważ „w rajku całe rodzeństwo
sobie wyłącznie tykało”, a „sama staroży-
ność innego, prócz tego, jedynie logicz-
nego sposobu przemawiania nie znała”
(to akurat prawda), autor wzywa do zmi-
any „cudactwa i dziwactwa językowego,
co próżność wymyśliła, a bezmyślność
ustaliła, t. j. naszego sposobu przemawia-
nia, jedynego niestety – nie z chlubą na-
szą, na świecie”. Nie przekonał nas berliń-
ski profesor, nie przekonali inni przez sto
lat, ale chyba nie unikniemy w przyszłości
debaty o polskiej tytułomani.

Samotnik z Berlina pisał dużo i w po-
śpiechu. Nietrudno znaleźć w jego nauko-
wej i publicystycznej spuściznie zdania,
które dziś budzą protest, zawzięte dłu-
gotnie spory były jego udziałem za życia.
Jednak od nieporozumień filologicznych
i naiwności politycznej ważniejsze są
jego dokonania na polu historii kultury.
Stanisław Pigoń napisał o nim „jak Schlie-
mann Troję, odkrył nam dawną literaturę
polską”.

Brückner nie był nacjonalistą, ale uwa-
żał się za obrońcę i reprezentanta polskości
na wysuniętej placówce. Pół wieku przed
berlińskim profesorem podobną misję
chciał wypełniać Mickiewicz w Collège
de France i szybko skonfliktował się
z uczelnią. Do wizji polskości jako po-
słannictwa chętnie odwołuje się obecny rząd,
organizujący narodowe i katolickie obcho-
dy przeniesienia szczątków (przewidziana
jest msza, której nie było na pogrzebie).
Jednak niezależnie od oprawy najważniej-
sze jest to, że prochy Brücknera i jego żony
spoczną w polskiej ziemi. Zasłużył na to.

Wielki polemista berlińskiego profesora:
Baudouin, który reprezentował zdecy-
dowanie niemieckiewiczowski paradygmat
nauki, zmarł w Warszawie i spoczął (jako
agnostyk) na cmentarzu ewangelickim.
On także – przeciwnik wszelkiego nacjo-
nalizmu i fanatyzmu – szczególnie dziś
zasłużył na pamięć.

MAREK ŁAZIŃSKI
Autor jest językoznawcą,
profesorem Uniwersytetu Warszawskiego.

ADAM KRZEMIŃSKI

Mit Too

Starożytne greckie mity to wciąż żywe fikcje, które wcielają się w naszą codzienność. Ich nowe odczytywania do dziś się nie kończą. Ostatnio furorę robią interpretacje feministyczne.

Klitajmestra zamordowała swego męża Agamemnona nie tylko za to, że zgodził się złożyć w ofierze Artemidzie ich córkę Ifigenię, ale także dlatego, że był po prostu chamem i gwałcicielem.



M

ity greckie są niezniszczalne. Już przed-
szkolaki mają kolejne wydanie świetnej
„Mojej pierwszej mitologii” Katarzyny
Marciniak. Jest też „Mitologia dla doro-
słych” Stanisława Stabryły. Ale nie tylko
my z PRL, lecz także nasi przedwojni
rodzice i dziadkowie chowani byli
na Parandowskim, którego „Mitolo-
gia” ukazała się niemal sto lat temu
– w 1924! Napisał ją 29-latek, który tuż
przed pierwszą wojną ukończył lwow-
skie klasyczne gimnazjum. A po wojnie

– filologię klasyczną i archeologię. Parandowski korzystał z „Naj-
piękniejszych sag klasycznej starożytności” Gustawa Stauba,
wydawanych w Niemczech w latach 1838–40 i uładzonych oby-
czajowo „dla kobiet i dzieci”. Z czasem prowokowało to nie tylko
do ukazywania bardziej dokładnie chutliwości greckich bogów,
półbogów i herosów, ale i zachęcało do bardziej nowatorskiej
interpretacji odwiecznych mitów.

Były u nas także konkurencyjne antyczne heroje. „Mity greckie”
Wandy Markowskiej z 1949 r., potem „Mitologia Greków i Rzy-
mian” Zygmunta Kubiaka. Były też tłumaczenia Gravesa czy
Kingsleya. Niemniej to Parandowski pozostał naszym klasykiem,
także dzięki swemu przekładowi prozą „Odysei” – zrozumiałe-
mu, choć spornemu. To on pobudzał zainteresowanie śródziem-
nomorskim pejzażem „Przygód Meliklesa Greka” i „Diososa”,
z łatwym przeskokiem do Maratonu i Termopil oraz szkolnych
lektur „Grobu Agamemnona” czy wojennego zawołania Ateny
w „Nocy listopadowej”. Opowieści o bogach olimpijskich
i herosach były dla nas, obok opowieści biblijnych, furtką
do europejskiej kultury.

Starożytne mity to – jak w związku ze swą wielką opowie-
ścią „Józef i jego bracia” powiedział Tomasz Mann – wciąż
żywe fikcje, które wcielają się w naszą codzienność.
Od antyku wplatają się w teologię, filozofię, a nawet
dzieje powszechne. Antyczne motywy pojawiały się
w średniowiecznych legendach, ponownie wybu-
chły wraz z renesansem, barokiem, oświeceniem.
Aż prosiły się o wciąż nowe interpretacje. I tak Szek-
spir w „Troilusie i Kresydzie” połączył wojnę tro-
jańską ze średniowiecznym eposem rycerskim,
a klasyczną „Ifigenię” Eurypidesa rymcytór
Christoph Willibald Gluck przerobił na operę,
a wkrótce potem Goethe na pięcioaktowy dra-
mat. I te nowe odczytania greckich mitów
do dziś się nie kończą. Były i są na wszelkie
sposoby nicowane przez romantyków i moder-
niistów – choćby „Odyseja” w 1920 r. w postaci
irlandzkiego Odyseusza Jamesa Joyce’a czy
nie tak dawno wojna trojańska – co prawda bez
olimpijskich bogów, ale za to z hollywoodzkim
Achillesem – Bradem Pittem.

**Mity greckie są po obu stronach Atlantyku
opowiadane nowym językiem**, jak choćby
tetralogia Christophera Fry, angielskiego pisa-
rza, aktora, satyryka i telewizyjnego celebry-
ty. I w Anglii ukazuje się właśnie czwarty tom
„Odyseja”. Po polsku ukazał się jedynie tom
pierwszy – „Mythos. Mity greckie w nowej
interpretacji”, pisane z przymrużeniem oka
i brytyjskim humorem, ale też ze znajomo-
ścią rzeczy i autorskimi „odchyłkami”, jako

że i starożytni nie bardzo dbali o chronologię i staranną fakto-
grafię swych zapisków.

W Ameryce w bardzo osobisty sposób potraktował Homera
wykładowca i eseista „New York Review of Books” Daniel Men-
delsohn. Jego relacja „Odyseja. Ojciec, syn i epos” była w 2017 r.
nominowana do książki roku, a rok później otrzymała francuską
Nagrode Śródziemnomorską.

Mendelsohn połączył swe seminaria z „Odysei” ze studenta-
mi pierwszego roku z odyseją swego ojca – niemieckiego Żyda,
któremu udało się wyostać z III Rzeszy, wybitnego matematyka,
ale i entuzjasty klasycznej greki, z której musiał zrezygnować,
by w Ameryce utrzymać rodzinę. I by pod koniec życia wrócić
do swych fascynacji, przysłuchuje się seminariom syna. Umawia-
li się, że będzie milczeć, by nie drażnić nastolatków. Ale nie wy-
trzymuje i coraz częściej wtrąca się do zajęć ze sceptycznymi
uwagami o bohaterskich czynach Odyseusza, jego relacjach z sy-
nem – Telemachem, i żoną – Penelopą pozostawioną na Itace
na pastwę losu. Seminarium ku uciesze studentów – zmienia
się w psychodramę ojca i syna. Zakończoną ich wspólną po-
dróżą „śladami Odyseusza” po Morzu Śródziemnym. Do Itaki
nie docierają, bo w Grecji wybuchają strajki związane z kryzy-
sem 2009 r., a wkrótce potem ojciec umiera. Świetne powiązanie
refleksji nad mitem z zadumą nad odyseją każdego z nas przez
swoje życie. Warte wydania także po polsku.

Homer wiecznie żywy. Każdy w nim może się odnaleźć albo
pogubić, jak pokazuje Christoph Hein, w czasach NRD cenio-
ny także u nas, potem – jak wielu Niemców – raczej zgubiony
z wizjera. Swą wydaną w 2022 r. zabawę z greckimi mitami
zatytułowaną „Sprzed czasów” zakończył dość paskudnym
faulem Odyseusza na Homerze, którego – w jego wersji
– Achajowie przed wojną trojańską zaangażowali jako
reportera wojennego. Pisanie trwało długo. Odyseusz
dopiero po rozprawieniu się z zalotnikami sprasza
swych towarzyszy broni na prezentację homeriady.

Weteranom śpiewy historyczne poety się po-
dobają. Jednak Odys jest zniesmaczony: Nie bili-
śmy się o to, by położyć łapę na czarnomorskim
handlu z Chinami, lecz dla honoru Achajów!
Ja twój rękopis niszczyć. A ty zostaniesz na Ita-
ce, dopóki nie napiszesz tego, co chcę od ciebie
usłyszeć! Po latach luksusowej niewoli Homer
wyrecytował 24 nowe pieśni – ale okłaski były
niemrawe. Co ty nam wciskasz! Tylko ostatni
rok wojny. A twoi Achajowie zamiast zdoby-
wać Troję wciąż się tylko kłóca. Są bezdusz-
nymi maszynami bojowymi, natomiast Tro-
janie – szlachetni, współczujący i miłosierni.
Na co Odys: Przyjaciele, spokojnie, podziękuj-
my poecie. Może my nie znamy się na sztuce
i w jego relacji widzimy tylko zniewagi. Ale tacy
już są ci artyści. Zawsze chcą tylko prawdy
i zbyt mało myślą o wielkiej wspólnej spra-
wie. Nie bardzo też szanują naszych bogów.
Jednak my nie jesteśmy takimi barbarzyń-
cami jak ci Niemcy, którzy co tydzień palą
na stosie kilku sąsiadów. Jesteśmy ludźmi
oświeconymi, nowoczesnymi. Niech sami
bogowie ukarzą Homera. Nas dobrze poka-
zał jako facetów z byczymi jajami. Zapłać-
my mu i wywalmy go stąd. Homer uszedł ►



Medea, zabójczyni swoich dzieci.



Kadr z filmu „Wonder Woman” z 2017 r. w reżyserii Patty Jenkins.

► cało – kończy Hein – tyle że nadal szuka kopii tej pierwszej wersji. Nie pamięta, gdzie je zakopał...

Ładny bibelot o kłopotach korespondentów wojennych od starożytności po dziś dzień „poprawianych” przez kombatantów choćby tylko moralnie zwycięskich lub władców niepewnego autoramentu.

Ale mity greckie to tworzywo bardziej zasadniczych i fascynujących rewizji, podejmowanych głównie przez kobiety.

Wystarczy wklepać do przeglądarki słowa *greek myth retelling*, by otrzymać stos nowych opowieści na odwyrtkę: o Helenie, Penelopie, Kirke, Klitajmestrze, Elektrze, Medeji, Ariadnie, Atenie, Herze i bogini wie, o kim jeszcze. Niby nic nowego. Już w XIX w. w operetkach Offenbacha Helena nie była zbyt zasadnicza, za to Eurydyka – upierdliwa. Jednak teraz chodzi o ostateczne odczynianie męskiego szowinizmu – tak w Helladzie, jak na Olimpie.

Oto trzy przykłady. Najpierw znakomita, wydana już po polsku, „Kirke” Amerykanki Madelaine Miller. Kirke to ta boginka, córka Heliosa i Tetydy, która towarzyszy Odyszeusza zamieniła w świnie, a jego przez rok więziła erotyką i obietnicą nieśmiertelności. Niemniej woli jako śmiertelną wrócić do Penelopy, nieco przerażony wiecznym szczytowaniem. To wiedzieliśmy i bez Miller.

Ale nigdzie nie mieliśmy tak precyzyjnego wglądu w życie psychiczne Nieśmiertelnych. Wiedzieliśmy, że ryją pod sobą, ale żeby aż tak? Kirke była wśród bogiń szarą myszką. Bez specjalnej urody i nadprzyrodzonej władzy, bo trochę tego jej czarowania dla Olimpijczyków nie miało wielkiego znaczenia. Wygnana z pałacu na kamienistą wyspę zmieniła ją w ogród. Dodane jej

do towarzystwa nimfy ją nudzą. Ten i ów facet z Olimpu wpada od czasu do czasu dla boskiego seksu. Odyszeusz ją pociąga, bo jest inny. Ma z nim syna, ale pomaga mu przemknąć się między Scyllą i Charybdą i wrócić do swego świata. Ale w końcu i ona sama rezygnuje z nieśmiertelności. Jako śmiertelna łączy się z Telemachem i zaprzyjaźnia się z Penelopą, która zresztą ma serdecznie dosyć wałęsającego się przez dwadzieścia lat po świecie Odyszeusza. Obie panie chętnie wycofują się na wyspę. Także ich synowie, Telemach i Telegonos – jak by nie było z tego samego ojca – polubili się. Tylko dla Odysa nie ma w tym wszystkim miejsca. Toteż Telemach – zgodnie z przepowiednią – bezwiednie dziabnął ojca zatrutym dziurym.

To i owo w tej opowieści jest znane. Świeża jest narracja wiążąca ze sobą dziesiątki różnych mitów w jedną przejrzystą opowieść, w której wszystko się ze wszystkim łączy – awantury na Olimpie z wojną trojańską, wyprawa po złote runo z Odyscją, a Dedal z Odyszeuszem. Wszystko się dzieje w rodzinie i niemal jednocześnie. Jak to powiedział Fry? Starożytni nie bardzo chwytali chronologię. Za to kunsztowna opowieść Madelaine Miller jest zrozumiała i wciągająca od barwnego początku do szarego końca. Jak większość rodzinnych awantur.

Mniej znana i może bardziej ryzykowna jest (wydana po polsku) „Penelopiada” Margaret Atwood, kilkakrotnej kandydatki do Nagrody Nobla. Rzecz dzieje się w Hadesie, greckim piekle, do którego trafia ta najwierniejsza z wiernych żon. Penelopa z miejsca wpada w zasadniczy spór ze swą kuzynką Heleną. Te dwie panie to u Homera jakby dwie strony tego samego medalu. Jednak Atwood odbiera Homerowi władzę sądenia. Helena to „trucizna na nogach”, jak mówi Penelopa; a ona sama?

Coś tu w przekazie Homera się nie zgadza, mówiła w wywiadach Atwood. Dlatego u niej Penelopę po śmierci dręczy fakt – wspomniany w Odyssei mimochodem – że w czasie krwawej jatki zalotników po powrocie Odyszeusza potajemnie na poddaszu powieszono także dwanaście służebnic Penelopy. Czy tylko dlatego, że puszczały się z zalotnikami, czy także wiedziały coś o królowej, czego Odyszeusz nie powinien się dowiedzieć, choćby to, że Penelopa miała dość samotnego borykania się z podupadłym królestwem i nachalnymi zalotnikami... Że wie swoje, ma za nic Zeusa i cały ten świat napuszonej męskości na ziemi i na Olimpie...

„Penelopiada” nie miała w Stanach tak entuzjastycznych recenzji jak „Kirke”. Niemniej obie powieści są miarą dla dziesiątków innych historii o boginiach, boginkach czy tylko tkniętych antycznym fatum bohaterkach greckich mitów, które okazują się wciąż kopalnią pomysłów, wątków, perypetii i moralnych zagwozdek.

Inaczej niż Atwood, choć także feministycznie, ustawia Penelopę Claire North w swej nietłumaczonej jeszcze na polski „Itace” (2023).

To pierwsza z części zapowiedzianej tetralogii. Mija 17 lat od wybuchu wojny trojańskiej. Penelopa z trudem ogarnia podupadające królestwo – w czasie wojny Itaka musiała dostarczać zaopatrzenie i kolejnych wojowników. Oblegają nie tyle ją, co wyspę, licząc na ukryte skarby, nie tylko zalotnicy, ale i piraci. Co prawda z Troi przysłano jakieś branki, ale jedna z nich znuchała się z czołowym zalotnikiem. Nie bardzo jest na kim polegać. W dodatku na wyspę uciekła mężobójczyni Klitajmestra. Zamordowała swego męża Agamemnona, nie tylko za to, że zgodził się złożyć w ofierze Artemidzie ich córkę Ifigenię, ale także dlatego, że jest po prostu chamem i gwałcicielem. Penelopa stara się ukryć kuzynkę przed Elektrą i Orestesem – jednak daremnie. Dopadają matkę – uznają jej racje, ale utrzymanie władzy królewskiej domaga się ofiary. To Elektra za przegub popycha rękę i sztylet brata.



Nakręcony w 2013 r. „Percy Jackson i bogowie olimpijscy” w reżyserii Chisa Columbusa według powieści Ricka Riordana.

„Itaka” to opowieść Hery o tym, czego nie opowiedział Homer. O wojnie kobiet – Penelopy i jej sojuszniczek o Itakę – odwrotność męskiej „Iliady”. Tu nie chodziło o wierność Odyseuszowi. To legenda mężczyzn. A o przetrwanie wyspy, o ochronę przed rozgrabieniem jej przez zalotników, piratów, imperialne ambicje Myken.

North pokazuje trzy spokrewnione spartańskie królowe: Helenę, Klitajmestrę i Penelopę, które „uratowały Grecję nawet wtedy, gdy jej nie było”. Zwykle Klitajmestra to ta okrutna, Helena – trzpiołka, a Penelopa – nieskazitelna. W „Itace” Penelopa jest przede wszystkim zmęczona, wycieńczona. Boi się o niewydarzonego Telemacha. I doprawdy nie ma czasu zastanawiać się nad swą relacją z Odyseuszem. Wie, że to nie ona – stara i przywiedła – jest łupem oblegających ją mężczyzn, lecz ta jej mizerna wyspa. Podtrzymuje fikcję swego małżeństwa.

Ale „Itaka” to także cicha rebelia olimpijskich bogiń przeciwko olimpijskim bogom – Zeusowi, Posejdonowi, Aresowi. Gromowładny to nie boski Casanova czujący kobiety, to jedynie boski Don Juan. Pociąga go podbój i nic więcej. Hera – przybywająca na Itakę, by wspomagać Penelopę – gardzi gromowładnym mężem. I z irytacją spiera się z Ateną, że niby taka mądra i ukochana

córnka Zeusa, ale nie ma pojęcia o kobiecych sprawach... Ciekawe, jak Claire North przenicuje Odyseję w kolejnych tomach. Jej pojedynki z Atwood i Miller wciągają.

Są też inne powieści, jednak niższego lotu, jak „Lore” (2021) Alexandry Bracken, gdzie co jakiś czas dziewięciu bogów olimpijskich traci nieśmiertelność i w dzisiejszym Nowym Jorku staje się zwierzyną łowną dla tych, którzy ich zabijając, sami zyskują nieśmiertelność.

I tak Melore z rodu Perseusza – tytułowa Lore – po ostatnim polowaniu, w którym zginęła cała jej rodzina, przycupnęła w mieście, licząc na to, że narwańcy na nieśmiertelność jej nie dostrzegą. Gdy jednak trafia na przyjaciela z dzieciństwa, podejrzewając, że już jest żywym trupem, łączy się z raną Ateną, by stanąć do walki z tymi, którzy wymordowali jej rodzinę... Blogerzy kwękali, że więcej tu ze sfilmowanego w 2013 r. „Percy Jacksona i bogów olimpijskich” Ricka Riordana niż mitologii, ale od tego są mity, by je nicować na wszystkie strony.

Krótko mówiąc, wygląda na to, że dziś to kobiety zawłaszczają grecką mitologię. I to z literacko świetnym wynikiem. Mitologia według Karen Armstrong, byłej katolickiej zakonnicy, a potem jednej z ciekawszych analityczek myślenia mitycznego, to „filozofia wieczysta”, nie kryje w sobie jakiejś spójnej myśli teologicznej, lecz ludzkie doświadczenie płynące z przekonania, że bogowie, ludzie, zwierzęta i przyroda są wzajemnie powiązane. I w ten sposób wciąż na nowo wpisywana w zmienne czasy pomaga poradzić sobie z problemami człowieka i losu... .

I tak Paradowski ma mocnych konkurentów, ale pozostaje naszą legendą. Dwukrotny nominat do Nagrody Nobla. Olimpijski medalista z 1936 r., bo przed wojną obok biegów, skoków i wszelkiego rodzaju zapasów była jeszcze na wzór antyczny także dyscyplina literacka. Ochrzczony został w cerkwi, ale nazwisko miał po matce, bo ojciec – duchowny unicki – nie mógł zalegalizować związku z katoliczką. W 1913 r. ukończył lwowskie gimnazjum z łaciną, greką, niemieckim, francuskim, angielskim i ukraińskim, stenografią, kaligrafią i przedmiotami ścisłymi. Dziś ma w Polsce bodajże tylko jedną – ze względu na klasę sportową – szkołę swego imienia, w Gdańsku. To niewiele przy tuzinach szkół poświęconych generałom, pułkownikom, kapitanom, a nawet sierżantom naszych militarnie niekoniecznie wygranych wojen.

ADAM KRZEMIŃSKI



„Trojanki” Eurypidesa – spektakl Teatru Wybrzeże z 2018 r., reżyseria Jan Klata, współpraca dramaturgiczna Olga Śmiechowicz, laureatka Nagrody Naukowej POLITYKI.

na ekranie

Nie masz psychy? 4/6

Mów do mnie! (Talk To Me), reż. Danny Philippou, Michael Philippou, Australia, 95 min



Wśród wielu znanych postaci, które po festiwalu w Sundance zapragnęły obejrzeć debiutancki pełnometrażowy film braci Philippou, najważniejszy wydaje się Stephen King. Niskobudżetowy – co szczególnie nie uwiera – australijski horror „Mów do mnie!” ogrywa bowiem elementy grozy wchodzącej w nasze zwyczajne, współczesne życie. Jak w książkach Kinga. Mamy tu opowieść ze świata nastolatków, których trudno oderwać od komórek, trudno też powstrzymać ich przed rejestrowaniem kamerą tego, co uznają za niezwykłe czy szokujące. A na dodatek lubią wyzwania. Czymś na kształt dziwnego wyzwania (do którego pasuje młodzieżowe zawołanie: „Nie masz psychy?”) staje się w „Mów do mnie!” spotkanie z duchami, a właściwie zaproszenie ich do własnego ciała – w sposób tak dosłowny, jak gdyby pojawiająca się tu tajemnicza, zabalsamowana ręka służąca do komunikacji ze zmarłymi była jakimś codziennym gadżetem, interfejsem podpinanym pod USB. Samo ekranowe opętanie wygląda dość konwencjonalnie, trudno też dziś zaskoczyć widza horroru brutalnością czy krwią. Ale już fakt, że dzieciaki na seans spirytystyczny umawiają się jak na palenie trawki, a rytuał staje się elementem towarzyskiej imprezy – robi niejaki wrażenie. Do tego, podobnie jak King, autorzy filmu skupiają się na emocjach okresu dojrzewania, szukając w trudnych przeżyciach zapalnika dla psychozy strachu.

W bonusie dostajemy w tym nieźle zrealizowanym filmie – trochę jak w serialowej „Euforii” – grono swobodnie i naturalnie zachowującej się przed kamerą aktorskiej młodzieży plus świetną drugoplanową rolę matki (Miranda Otto). Sami bliźniacy Danny i Michael Phillipou to popularni youtuberzy, od lat tworzą kanał RackaRacka, pełen wariackich pomysłów – od kręconych w warunkach domowych starć superbohaterów po inscenizowaną próbę sprzedania na aukcji wody z kąpeli gwiazdy filmów dla dorosłych. Biorąc pod uwagę styl ich filmów z internetu – ostrych, niecenzuralnych, przekraczających granice dobrego smaku – skazane na sukces „Mów do mnie!” to dopiero nieśmiałe powitanie z kinem.

BARTEK CHACIŃSKI

na ekranie

Fajnie być Żółwiem 4/6

Wojownicze Żółwie Ninja: Zmutowany chaos, reż. Jeff Rowe, USA, 100 min

Żółwie Ninja miały w swojej już blisko czterdziestoletniej karierze rozmaite wcielenia: od surowych i dość brutalnych komiksów parodiujących historie superbohaterów, po utrzymaną w pstrokatej estetyce lat 80. kreskówkę, dzięki której prawie każdy ośmiolatek chciał być przez chwilę Donatellem lub Leonardem. „Zmutowany chaos”, który ma być początkiem nowej kinowej serii o Żółwiach, był próbą znalezienia złotego środka. I to skutecznie! Film Jeffa Rowe’a (nominowanego do Oscara za „Mitchelowie kontra maszyny”) łączy pewną chropowatość i anarchiczny humor

komiksowego oryginału z mistrzowskimi projektami graficznymi i dynamiczną fabułą dostosowaną przede wszystkim do potrzeb rówieśników bohaterów. Żółwie są tu wreszcie znów nastolatkami buntującymi się przeciwko nadopiekuńczemu ojcu i tęskniącymi za kontaktem z innymi istotami: choćby ludźmi, których przecież uważają za śmiertelne zagrożenie. Superbohatera akcja, czyli walka z mutantem

o pseudonimie Supermucha, często schodzi w tej opowieści na drugi plan. Ważniejsze są emocje, relacje między bohaterami oraz podejmowane przez nich decyzje. „Zmutowany chaos” to dobre animowane widowisko akcji, lecz jeszcze lepszy film o problemach dorastania. A że bohaterowie są żółwiami żyjącymi w nowojorskich kanałach? Do tego już zdążyliśmy się przyzwyczać.

JAKUB DEMIAŃCZUK





w telewizji

Nudna planeta 2/6

Nieobca planeta (Strange Planet), twórcy serii: Dan Harmon, Nathan W. Pyle, 10 odc., Apple TV+

Niebieskie istoty o wielkich głowach i łagodnych charakterach zadebiutowały w instagramowym komiksie Nathana Pyle'a w 2019 r., w szybkim tempie zdobywając olbrzymią popularność. Być może pomogła pandemiczna izolacja (w pierwszym roku covidu liczba obserwujących instagramowy profil „Strange Planet” gwałtownie wzrosła): potrzebowaliśmy prostych i pełnych nadziei przekazów, które pozwalały wierzyć, że świat można naprawić drobnymi krokami. Serialowa adaptacja komiksu zachowuje wszystkie jego cechy: ciepły humor, spokojne tempo, wieczne zadziwienie rzeczywistością czy dziwaczny techniczny język, jakim posługują się bohaterowie w stylu „kakaomasa” zamiast czekolady lub „nastopniki” zamiast skarpet (polskie tłumaczenie nie ma niestety wdzięku oryginału, kompletnie gubi też jego genderową neutralność). Tyle że w dwudziestominutowej dawce „Nieobca planeta” staje się nudna, a co gorsza nieznośna: trochę jakby sypiący banałami coach z internetu próbował napisać odcinek „Świnki Peppy”, tyle że przeznaczony dla dorosłych, bo dla dzieci część emocjonalnych problemów niebieskich istot będzie jednak zbyt skomplikowana. Animacja ma sporo staroświeckiego wdzięku i słodyczy, choć jeśli ktoś naprawę potrzebuje uroczych, wielkogłowych istot, nieustannie próbujących zrozumieć sens istnienia, to lepiej sięgnąć po komiks o Fistaszkach.

JAKUB DEMIAŃCZUK

w telewizji

Tam, gdzie kwitną trauma 4/6

Wszystkie kwiaty Alice Hart (The Lost Flowers of Alice Hart), twórczyni serii: Sarah Lambert, 7 odc., Amazon Prime Video

Nowy serial obyczajowy Amazona, zrealizowany na podstawie powieści Holly Ringland, to gęsta od tajemnic historia o przekazywanych przez pokolenia traumach wywołanych przez męską przemoc. Spośród podobnych opowieści „Wszystkie kwiaty Alice Hart” wyróżnia porwijąca przyroda Australii i **Sigourney Weaver** w roli matriarchini rodu. A dla nas – także muzyka autorstwa Hani Rani. To wszystko na plus. Ale są też minusy, z których najdotkliwszy jest klimat melodramatu, z tłumionymi emocjami i mnożonymi tajemnicami, podniesiony do potęgi pretensjonalną symboliką kwiatów i drzew. Główną bohaterkę Alice Hart poznajemy jako dziewięcioletkę (świetnie gra ją **Alyla Browne**, w 20-letnią wciela się Alicja Debnam-Carey), dorastającą na odludziu z kochającą matką i przemocowym ojcem. Tragedia sprawia, że trafia pod opiekę babki, matki ojca (Weaver), prowadzącej na innym odludziu farmę



kwiatową, zarazem azyl dla maltretowanych kobiet. I strzegącej rodzinnych sekretów. Jak zaś wiadomo, niewypowiedziane i nierozbrojone traury lubią wracać, a nieświadomone schematy zachowań się powtarzać. Pierwsza, pokazana już połowa serialu wskazuje, że raczej nie oryginalność wątków będzie jego głównym walorem. Są nim bohaterki (i okazjonalnie bohaterowie), których losy mimo natrętnej symboliki i niezczulającego nagromadzenia krzywd jednak chce się śledzić. No i te piękne kadry!

ANETA KYZIOŁ



w telewizji

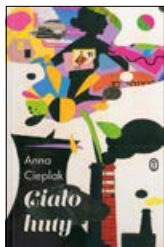
Tajna broń kobieca 4/6

Misja Stone (Heart of Stone), reż. Tom Harper, USA, 122 min, Netflix

Feminizm w kinie sensacyjno-szpiegowskim to nie jest coś bardzo odkrywczego, niemniej „Misja Stone” – posługująca się kobiecym kodem, by opowiedzieć o walce rywalizujących ze sobą wywiadów o panowanie nad światem – wypada zjawiskowo. Premiera w cieniu „Mission: Impossible – Dead

Reckoning” i „Barbie” wcale nie odbiera widowisku Toma Harpera skrzydeł. Twórcy postawili na dynamiczną fabułę w stylu przygód Ethana Hunta z domieszką brutalności Bourne'a i humoru 007. Rzecz dzieje się w malowniczych plenerach m.in. senegalskiej pustyni, skutej lodem Islandii, zabytkowej Lizbony z mnóstwem atrakcyjnych scen walki w powietrzu. Są też, oczywiście, dowcipne nawiązania do różowej symboliki. Oglądanie narodzin siostrzeńskiej solidarności ucieleśnianej przez **Gal Gadot**, niezapomnianą Wonder Woman, to sama przyjemność. Tu izraelska gwiazda występuje w roli niezdyscyplinowanej, odsuniętej od zadań agentki Sojuszu, tajnej organizacji posiadającej w swoim arsenale superinteligentny algorytm Heart, zapewniający kontrolę nad zorganizowaną przestępczością, który ktoś próbuje zhakować. Gadot sprawnie posługuje się pistoletem i wymierza kopniaki, ale nie rezygnuje z intelektu, intuicji i emocji. Chociaż rzadko widać na jej twarzy zmęczenie czy siniaki, siła i kruchość to jej tajna broń. Film sprawia pozytywne wrażenie, niesie spory ładunek wzruszenia, dając nadzieję na równie udaną kontynuację.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Historia się zaciera 4/6

Anna Cieplak, **Ciało huty**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 344

Kiedyś wielkie budowy Nowej Huty czy Huty Katowice były obowiązkowymi wątkami socrealistycznych opowieści – dziś ten temat wraca, ale z innej perspektywy niż ta, którą mieli budownicy, np. w historiach o awansie społecznym. U Anny Cieplak to jest opowieść snuta przez dwie kobiety, Ewę i Ulę, które przyjeżdżają na budowę, żeby zacząć nowe życie. I ich historia jest inna od tej oficjalnej, to opowieść przedstawiona od kuchni, pokazująca ciężar codzienności, układów, a przede wszystkim przemocy – gwałtu. Kolejne pokolenie – przede wszystkim Maja, córka Uli – próbuje tę przeszłość zrozumieć, obnażyć tajemnice, które ukrywają obie kobiety. Są tu sceny znakomite – w czasie strajku i pacyfikacji stoczni w 1981 r. dwie kobiety idą interweniować u przełożonego, tam siedzi ZOMO, i dokładnie w tym



momencie zaczyna się poród. Cieplak pokazuje, że z perspektywy czasu historia się zaciera: dawni wrogowie i prześladowani są wymieniani razem na benefisie dla wyrzuczonych z pracy. Autorka świetnie sobie radzi w opisach relacji, codzienności, w pamięci zostają udane sceny, ale nie obraz całości. Trochę brakuje szerszej perspektywy, wizji samej huty i finału, który ułożyłby znaczenie całości. Najbardziej poruszające są losy kobiety: „Przeszłość najlepiej pamiętają osoby, które straciły przyszłość”. Ewa, tak zaradna, w pewnym momencie wypada z łask, traci swoją siłę. W tle jest huta, niespełniona nadzieja, moloch, który kładzie się cieniem na ich życiu. Jednak można się spod niego wydostać. Życie po hucie jest możliwe i nieokielznane, jak życie roślin, które są tu osobnymi bohaterami.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Cienie w każdym z nas 4/6

Jacek Kalinowski, **Miejsca cieniste**, Znak, Kraków 2023, s. 428

Rzadko się zdarza, że autor kilku opowiadań i bloga ojcowskiego podpisuje umowę od razu na trzy książki i to z nie byle jakim wydawcą. Jednak w tym przypadku wydawca miał nosa: to naprawdę dobry debiut, świetnie skonstruowany thriller psychologiczny, ze starannie budowanym napięciem. Rzecz dzieje się w willowej

dzielnicy w dolnośląskich Polkowicach, wokół dwóch małżeństw, niegdyś przyjaciół i wspólników w biznesie, potem skłóconych, ale szukających zgody. Jeden z bohaterów zapowiada rodzinie, że zamieszka u nich przyjaciel z dawnych lat, który właśnie wychodzi z więzienia. Tak się staje mimo sprzeciwu domowników. Drugiemu małżeństwu ginie 11-letnia córeczka, co jest dla nich tym trudniejsze, że kobieta jest w zaawansowanej drugiej ciąży. Jest jeszcze ciekawa postać nastolatki bulimiczki (bulimia też jest tu potrzebna), zaprzyjaźnionej z synem pierwszego z małżeństw. Czym są tytułowe miejsca cieniste? To mroczne miejsca, które ma w sobie każdy. W miarę rozwoju akcji stają się one przyczyną konfliktu pokoleń i konfliktów wewnątrzpokoleniowych. W pozornie sielankowy obrazek wkracza przemoc i gwałt, działanie poza prawem, zębna rola mediów społecznościowych i zemsta, która ma milczących wspólników. Ale co stało się naprawdę z małą Igą? Szokujące rozwiązanie przychodzi dopiero na ostatnich stronach epilogu.

DOROTA SZWARCMAN



Leki na lęki 5/6

Yaa Gyasi, **Poza królestwo**, przeł. Hanna Pustuła-Lewicka, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 344

Czego tutaj nie ma! Jest wątek depresji, wypieranej i nieuznawanej. Wątek migracji z Ghany do Ameryki i różnych odcieni rasizmu. Wreszcie kryzys opioidowy. Snująca tę opowieść Gifty teoretycznie pozostaje w najlepszym położeniu: na tyle młoda, żeby opanować język, i na tyle utalentowana, żeby robić doktorat z biologii molekularnej. Mysie mózgi, eksperymenty i randki na jedną noc nie przynoszą jednak ukojenia ani rozwiązania problemów, rodzinny багаż wlecze się za nią. Gifty musi zająć się matką: „było nas czworo, potem troje, teraz my dwie”. Mężczyźni znikają, Nana, młodszy brat bohaterki, zmarł z przedawkowania. Matka nie chce współpracować, przesypia dni i noce. Yaa Gyasi (rocznik 1989) penetruje duże tematy, ale zachowuje proporcje i fantastyczne tempo. Efekt to intymna opowieść z pierwszoplanową rolą Gifty, która miota się między przeszłością i przyszłością, zielonoświątkowcami (tę religię zaszczepia rodzinie matka) a nauką pozbawioną, jak się jej wydaje, pierwiastków metafizyki. Między troską o matkę a żalem o to, że zawsze była kochana mniej. Wyparcie bywa dziedziczne: choć Gifty bada mechanizmy nagrody, by wyzwolić gatunek *Homo sapiens* ze skłonności do nałogów, to nie widzi związku między swoją pracą a śmiercią brata. „Wystarczy popatrzeć na dziecko, które pędzi rowerkiem prosto na mur albo skacze z najwyższej gałęzi sykomory, żeby się przekonać, jak lekkomyślnie traktujemy nasze ciała, jak lekkomyślnie poczynamy sobie z naszym życiem bez żadnego innego powodu poza chęcią sprawdzenia, co się stanie, jakie to uczucie otrzeć się o śmierć”. To, owszem, powieść o granicach brawury, rodzinnych uwikłaniach. Ale i poszukiwaniu własnego miejsca w świecie, pośród ludzi, którzy mają się za królów stworzenia. Może niesłusznie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Co kręci młodych 4/6

Najlepsze Dyplomy Akademii Sztuk Pięknych,
ASP w Gdańsku, do 3 września

Ta cykliczna wystawa organizowana jest od 14 lat. I niezmiennie, jako że najzdolniejszych absolwentów typują gremia profesorsko-dziekańsko-rektorskie, pozostaje przede wszystkim wielką manifestacją dobrego artystycznego warsztatu. W sumie to i tak sporo, ale czy to wystarczy?

Dziwnie bowiem ogląda się wystawę teoretycznie najlepszych prac młodych artystów, którzy praktycznie pozostają całkowicie obojętni (przynajmniej w swojej sztuce) na takie kwestie, jak wojna w Ukrainie, światowy kryzys klimatyczny, pytania o sztuczną inteligencję, migrantów, nierówności społeczne, prawo aborcyjne i wiele innych. Zamiast tego mamy dużo wspomnień z dzieciństwa, opowieści

o babciach czy rozterek emocjonalnych. Jedną z nielicznych prac, które widza nie pozostawiają obojętnym (a nawet wbijają w fotel), był film „Skraj” Edmunda Krempieńskiego (ASP Kraków) poświęcony sytuacji osoby transpłciowej – słusznie nagrodzony przez jury krytyków sztuki. Warto też zatrzymać się i podumać przy pracach Aleksandry Nenka (ASP Kraków), Marii Plucińskiej (ASP Szczecin) czy Anny Rendeckiej (ASP Warszawa). Niewiele, jak na ponad 30 uczestników. Gdzie następcy Sasnala czy Rycharskiego?

PIOTR SARZYŃSKI



**Anna Rendecka, „Zanikanie”,
nagroda rektorów ASP**



Więć abstrakcyjna 5/6

SAINER. KOL∞R, Muzeum Narodowe w Gdańsku – Oddział Sztuki Nowoczesnej w Pałacu Opatów, do 22 października

Kilkanaście lat temu miejsce dla street artu widziano wyłącznie na ulicach. Dziś wystawa Sainera, czyli **Przemysława Blejzka** – jednego z najciekawszych reprezentantów street artu w Polsce (którego grafikę znamy też z okładki tegorocznej płyty polskiego EABS i pakistańskiego Jaubi) – dziwić nie powinna. Wykonane z rozmachem malarskie prace, które znalazły się na wystawie, były też na ścianach bloków w Polsce i za granicą. Figuratywne, wielkoformatowe malarstwo łączy w sobie quasi-cyfrowe formy, elementy komiksu, graffiti i naturalizmu, a wystawa zaskakuje barwą, kompozycją i rytmem malarstwa, ale i uruchamia wyobraźnię. Banalne, wydawałoby się, krajobrazy i sytuacje z życia codziennego wsi oglądamy tu nie w szarzyźnie, ale w jaskrawych i wyrazistych kolorach. W zeszłym roku gdańskie muzeum odniosło sukces wystawą Wojciecha Fangora – cieszy fakt, że znów stawia ono na oryginalne podejście do koloru i jego rytmu, mimo że na jedno i drugie patrzemy z zupełnie innej perspektywy.

JAKUB KNERA

na płycie

Irlandzki soul 5/6

Hozier, **Unreal Unearth**, Island

Największym hitem Hoziera pozostaje od 10 lat „Take Me To Church”, jego debiutancki singiel. Z takim sukcesem w popie trudno sobie poradzić, a „Unreal Unearth” to już trzeci album, na którym masowy słuchacz będzie pewnie szukał podobnego przeboju. Tymczasem 33-letni Andrew John Hozier-Byrne, wokalista, gitarzysta i autor piosenek, radzi sobie ze zdobytą szybko popularnością coraz lepiej. Udostępnione wcześniej singlowe utwory zachęcały, ale nie oddawały – jak się okazuje – stylistycznej różnorodności pełnego programu ani pełni wokalnych umiejętności Irlandczyka. Na albumie robi wrażenie „I, Carrian (Icarian)”, klasyczna ballada w folkowym stylu, a z drugiej strony – soulowe „All Things End” rozwijające się wspaniale, w kierunku kompozycji Steviego Wondera. Nieźle wypada też duet z Brandi Carlile w „Damage Gets Done” – wydaje się przez chwilę, że przenieśliśmy się do lat 80., które też fascynowały się R&B i soulem. W muzyce królują tu więc inspiracje amerykańskie, ale lirycznie Hozier, zaczytany w poezjach Owidiusza czy Seamusa Heaneya, jest już zdecydowanie wychowanym na bogatej miejscowej tradycji Irlandczykiem. A „Unreal Unearth” to jak na razie najlepsze, co nagrał.



BARTEK CHACIŃSKI

Depeche na bis 3/6

Depeche Mode, **Sounds of the Universe | The 12" Singles**, Sony

Utwór „Wrong” wyróżniał się w koncertowym programie Depeche Mode, który można było ostatnio podziwiać w Polsce. Wersja koncertowa reprezentowała na występach – jako jedyny utwór – album „Sounds of the Universe”, uważany za jeden ze słabszych w karierze zespołu. Wydany w tym samym czasie zestaw płytowy sumuje z kolei – jak to zespół ma w zwyczaju – utwory z 12-calowych singli towarzyszących tamtej płycie. To tradycja dla Depeche Mode fundamentalna – Martin Gore i jego koledzy mają dla kultury remiksu wielkie zasługi. Co innego jednak praktyka. Trzy i pół godziny archiwalnych oryginałów i ich remiksów (wśród ich autorów są m.in. Trentemøller i Jónsi, ale też Magda – prywatnie Magdalena Chojnacka, didżejka polskiego pochodzenia) to zestaw zbyt męczący do słuchania ciurkiem. Wprawdzie większość nagrań potwierdza wartość brzmieniową oryginałów, ale są kurioza (jak „Peace” w wersji Hervé), które niczego nowego nie wnoszą. Z drugiej strony – czy coś to zmienia w odbiorze potężnej dyskografii DM? Autorami jednego z remiksów „Fragile Tension” są Peter, Bjorn & John, szwedzka grupa, której kariera w czasach realizacji tej wersji rozkwitła, a dziś mocno hamuje. Tymczasem kult Depeche Mode trwa.



BCH



Tania Alboni jako Amy Winehouse.

W roli idoli

Występy artystów naśladowujących wyglądem i repertuarem wielkie gwiazdy muzyki stają się w Polsce coraz popularniejsze. Mają już swój festiwal, a głównym sprzymierzeńcem zjawiska została telewizja.

KRZYSZTOF NOWAK

P

olską publiczność i artystów różnych pokoleń tego lata podzielił „Nóż”. Cover utworu hardrockowej grupy Illusion o tym tytule, wykonywany podczas warszawskiego przystanku Męskiego Grania przez Mroza, Vita Bambina i Iga, nie spodobał się Tomaszowi „Lipie” Lipnickiemu, wokaliście i gitarzyście legendarnego zespołu. „Czuję zażenowanie” – napisał krótko pod nagraniem występu opublikowanym na Facebooku

przez dziennikarza Jacka Nizinkiewicza. Później wypowiedział się w dłuższej formie wideo. Zaznaczył, że nie ma problemu z nagrywaniem nowych wersji piosenek, ale przypomniał, że ta opowiada o morderstwie i samobójstwie. A tu utwór o dużym ciężarze zmienił się w lekki stadionowy przebój.

Fakt, że obecni giganci biorą na warsztat tych dawnych, nie powinien zdziwić żadnego obserwatora polskiego rynku muzycznego. Jego znacząca część to bowiem wrażenia zastępcze. W Opolu nastolatki Roksana Węgiel i Viki Gabor śpiewały Marka Grechutę i Bajm. Popularnością cieszy się wciąż program „Twoja twarz brzmi znajomo” Polsatu,

w którym utwory wielkich gwiazd wykonują celebryci w odpowiedniej charakterystyce. Według danych Nielsen Audience Measurement 18. sezon nadawanego w piątkowym prime-time formatu przyciągał przed telewizory średnio 1,42 mln widzów.

Zawsząd dobiegają nas melodie, które już nieraz słyszeliśmy, lecz coraz częściej zaczynamy także oglądać muzyczne repliki. Przykłady Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych sygnalizują, że rośnie popularność twórców i zespołów grających tylko covery, składających hołd poszczególnym legendom z przeszłości. Nie tylko muzyką, ale i wyglądem.

Blżej niż gwiazdy

– *To tańsze niż stadionowy show i łatwiej zaparkować auto* – mówi związany z „New Yorkerem” Don Steinberg, gdy pytam o przyczyny popularności takich zespołów-hołdów w USA. Tam szybko znalazły się osoby chcące uszczknąć coś dla siebie ze sławy Elvisa Presleya. Odgrywały rolę jego sobowtórów z chęci zysku i z przeświadczeniem, że pójście na występ Króla jest już od lat niemożliwe, choć nie zabrakłoby chętnych.

Podobny schemat funkcjonował też przy ciosaniu kolejnych kamieni węgielnych zjawiska. Zdaniem Simona Kurutza, autora książki „Like a Rolling Stone: The Strange Life of a Tribute Band”, były nimi broadwayowska Beatlemania z lat 70. i odtwarzanie The Rolling Stones w latach 80. Droga do popularności zamienników zaczęła się osławianiem odbiorców na weselach i małych koncertach. Twórcy odkładali na bok autorskie ambicje, a fani kapitulowali budżetowo – bilety na oryginalne gwiazdy były coraz droższe. Lepszy tańszy substytut w mieście niż sława setki kilometrów i dolarów dalej.

– *To połączenie nostalgii i gwarantowanej przyjemności. Wiesz, jakie pojawiają się piosenki, bo najpewniej wybiorą te najbardziej lubiane* – diagnozuje Simon Reynolds, autor książki „Retromania: Jak popkultura żywi się własną przeszłością”. A Kurutz dodaje: – *Te zespoły są przystępne w stopniu, w jakim nie są znani muzycy.*

U nas początki tribute bandów, czyli zespołów-hołdów, były inne. Za żelazną kurtynę po prostu rzadko zaglądali zachodni artyści, a i kanoniczne płyty spoza demoludów rzadko przez nią przenikały. Stałą praktyką młodych zespołów bez własnego repertuaru było jednak ćwiczenie na utworach gwiazd – nie tylko tych z kraju. Za pierwszą popularną grupę-hołd można uznać założone w 1985 r. Żuki, grające piosenki Beatlesów. To wciąż aktywny band, który odwiedził 16 krajów, miał 200 występów rocznie i może się pochwalić występem przed Electric Light Orchestrą. Tą prawdziwą. Biorąc jednak pod uwagę stan naszego rynku tribute bandów, Żuki są gwiazdą na dość lichym firmamencie.

Autostrada na Hel

Jak podaje Bartek Troński, wiceprezes eBiletu, w pierwszej połowie 2023 r. oferta w tej kategorii obejmowała 125 wydarzeń w halach największych miast, małych klubach i centrach kultury, czyli mniej niż 1 proc. całości rynku. Poziom świadomości odbiorców jest dosyć niski, chyba że chodzi o hołdy dla Metalliki czy postaci w rodzaju Hansa Zimmera. Leszek Zajac, z firmy Going., doliczył się góra 30 takich koncertów i ok. 2 tys. sprzedanych biletów w ciągu roku. O znaczącym fragmencie rynku mówi zaś Marcin Świerczek, z Eventimu, wskazując na popularność takiej rozrywki wśród osób po 35. roku życia.

Nikt nie wie, jak wielu artystów para się tą dziedziną w naszym kraju. Większość pozostaje na etapie grania za darmo w prowincjonalnych pubach, jako osobliwości zapewniające

bezpieczną muzycznie i różnicowaną zespołowo rozrywkę. Ci z większymi umiejętnościami mogą liczyć na kluby, festiwale, złoty motocyklowe, dni miast, pikniki charytatywne czy eventy firmowe. Na warsztat biorą częściej zagraniczne zespoły niż polskie, choć pojawili się już odtwórcy Lady Pank, Maanam czy Budki Suflera, a Niepokonani, czyli hołd dla Perfectu, mają dużą renomę. Dominują formacje gitarowe, ale sobowtór Maryli Rodowicz też się znajdzie. Dla profesjonalistów fundamentalne są dwie kwestie: uwielbienie dla twórczości oryginałów oraz solidny warsztat.

Ciekawą sprawą są kwestie wizerunkowe. Ciągłe więcej u nas grania czyjeś muzyki bez odtwarzania stylizacji pierwowzorów. To bardziej cover, czyli po prostu wykonywanie utworów innych artystów, niż hołd (ang. *tribute*), który zakłada wcielanie się w gwiazdy, imitowanie ich wizerunku. Według wspomnianego Zajaca *kotlet band* może zarobić za jeden koncert do 4 tys. zł, a duży hołdujący band – od 10 tys. w górę. Te kwoty potwierdzają anonimowo członkowie zespołów. Organizatorzy muszą za to płacić tantiemy ZAiKS-owi na podstawie setlist.

Robert „Sierściu” Mastalerz, lider 4 Szmerów grających repertuar AC/DC, zauważa, że coverowanie było niezamierzoną próbą zaistnienia na rynku koncertowym. Zespół gdańscy średnio 50 występów rocznie, a niedawno świętował w Spodku swoje 25-lecie. Mimo to tylko frontman utrzymuje się z muzyki. Grupa wydała w 2019 r. krążek „Roll”, lecz nawet pierwsze miejsce singla na liście Antyradia i pojawienie się w Trójce nie spowodowały skoku zainteresowania ich autorskimi kompozycjami.

Wydarzeniem w karierze dla takich wykonawców jest spotkanie z oryginałem. Udało się to Mastalerzowi w 2010 r. w Berlinie. Wymienił uprzejmości z Angusem Youngiem i podarował mu płytę z akustycznymi coverami AC/DC. Jeszcze lepszą historię ma AlcoholicA: – *W 2014 r. w Warszawie Wojtek [Sasimowski, wokalista – red.] był na spotkaniu z Metalliką, a potem spędził z perkusistą Michałem cały koncert na scenie.* ►





Young Elton, czyli Tom Weston jako Elton John.

► *Zapowiedział jeden kawałek przed 60 tys. ludzi* – opowiada kolektywnie grupa. Polski tribute band również przekazał swoją płytę i zamienił z muzykami Metalliki parę słów. Podobno byli zaciekawieni.

Cienie wyszły z cienia

Czy zespół-hold może być kultowy? The Australian Pink Floyd Show udowadnia, że tak. Projekt stał się tak rozchwytywany, że zmęczeni artyści musieli szukać... zastępców. A ci co czasie poszli na swoje, zakładając Brit Floyd. Co ciekawe, w obu przedsięwzięciach śpiewała Polka, która w 2012 r. wystąpiła z tym pierwszym w kraju (koncert w Poznaniu kosztował od 130 do 250 zł). Przed castingiem sądziła, że śpiewanie „Great Gig In The Sky” to tylko próba, a repertuar będzie oryginalny. Została na 18 lat.

– *Pozostaje stygmat* – przyznaje Ola Bieńkowska. Wiele się nauczyła i nigdy nie zapomni koncertów w Royal Albert Hall czy na Glastonbury, ale praca nie otworzyła jej innych drzwi. Gdyby to wiedziała, bardziej walczyłaby o siebie. Teraz nadrabia zaległości – w czerwcu wydała „Nici”, drugi solowy album. Dziś gościnne występy z Brit Floyd są tylko dodatkiem w życiu Bieńkowskiej, mieszkającej w Polsce mamy dwójki przedszkolaków.

Rewolucji na polskim rynku próbuje dokonać kto inny. Nie jest wielkim orędownikiem krajowych zespołów, choć ceni głównie 4 Szmerów, bo są najbliższym oryginału. Chce wiernego grania i bombastycznych stylizacji. A myślenie przywiózł stamtąd, gdzie wszystko się zaczęło, czyli z Ameryki i Wielkiej Brytanii. 48-letni Łukasz Drożdziel, hobbystyczny muzyk, spędził na obczyźnie 32 lata. Osiem lat temu poszedł na koncert Coldplace, tribute bandu grupy Coldplay. Spodobało mu się, zaprzyjaźnił się nawet z jednym z muzyków. Dzięki niemu nawiązał dalsze kontakty z brytyjskimi twórcami. – *Im większa konkurencja, tym lepsze powstają zespoły. U nas rynek jest jeszcze za mało rozwinięty, by tak było* – stwierdza bez żalu. Po karierze w branży medycznej uznał, że czas robić to, co lubi najbardziej. Czyli urządzić imprezę – taką, podczas której

najwięksi puryści nie mieliby się do czego przyczepić, kiedy usłyszą jakoś wykonania. Zeszłoroczna premierowa edycja warszawskiego Undercover Festivalu przyniosła 10 zagranicznych koncertów. Imprezę promował Kuba Wojewódzki, wcielający się na Instagramie w jednego ze Stonesów, a na festiwalu bawiło się ostatecznie 6 tys. osób.

Drożdziel na tym nie poprzestał: zorganizował w stolicy koncert Young Eltona, jego artyści zagraли osiem razy na juwenaliach w Rzeszowie, a hołd Guns 2 Roses pojawił się na dniach Białej Podlaskiej, gromadząc 2–3 tys. słuchaczy. Już teraz zainteresowanie kolejną edycją Undercover Festivalu jest dwa razy większe niż poprzednio. Ale w tym, że 2023 r. będzie przełomowy, utwierdziło go zainteresowanie Polsatu. – *To ta stacja przybliżała Polakom przebierane śpiewanie. Skontaktowaliśmy się z nią, bo chcieliśmy, żeby nasi artyści zagraли jako eksperci w programie „Twoja twarz brzmi znajomo”. Oni zaś zaproponowali... transmitowanie festiwalu. Stałem jak wryty – zachwyca się pomysłodawca, prorokując modę na hołdujących artystów i wspominając, że ma mentora z organizującej Męskie Granie agencji Live. W 2022 r. dwudniowy karnet kosztował 189 zł. Teraz wydarzenie, które odbędzie się 25 i 26 sierpnia w stolicy, kosztuje 30 zł więcej. I pojawią się polskie zespoły.*

– *Bach czy Beethoven wciąż są grani. Nikt się o to nie obraża i nie czyni wykonawcom zarzutów. Tylko u nas jakiś filozof wymyślił, że muzyk coverowy to gorszy sort* – punktuje Sierściu z 4 Szmerów, zbliżając tę rozrywkę do rockowych koncertów chopinowskich. Jakub Kaczmarek z powstałego jesienią zeszłego roku The Legacy, zespołu-holdu Iron Maiden, idzie dalej. Ujawnia, że nie chodziło tylko o miłość. Według członków odbiorcy coraz rzadziej sięgają po coś, czego nie znają. Do tego line-upy festiwalu są zabetonowane, a artyści polskiego rocka i metalu – detronizowani przez covery i hołdy.

Drożdziel dorzuca, że młodym artystom trudniej będzie zostać legendami, bo podaż „miele mózgi”. Ma rację. Nadpodaż nowych twarzy na rynku będzie tylko większa, napędzana coraz niższym progiem wejścia dla twórców i związaną z nim ułudą zrobienia kariery dzięki viralowi na TikToku, a także rozpychającą się sztuczną inteligencją. Największe postaci, te starsze i młodsze, nadal będą grać dla dużej publiczności, a ta będzie w ich koncertach uczestniczyć, póki starczy pieniędzy i chęci. Portfele nie są jednak bez dna. Jeśli kogoś mają podgrzyźć zespoły-holdy, to artystyczną klasę średnią i debutantów.

Trzecia droga

Do tego długi cień na rynek rzuca nowoczesny wariant standaryzacji muzyki, który premiuje już nie tyle kreowanie nowych postaci, ile powtarzalność, i zachęca do zostania jak najlepszymi odtwórcami z góry wyznaczonych ról. Dawnych gwiazd słuchacze nie potrafią pożegnać, bo coś z nimi przeżyli – to kwestia emocji, a nie trzeźwego oglądu. Rynek zbudowany na koncertach i ogólnodostępnym streamingu daje większe szanse tym, którzy już są znani. Dla gigantów ten system oznacza ekskluzywną lożę na lata.

To jednak muzyczne „Czarne lustro”. Praktyczna strona jest taka, że zespoły-holdy zbierały się właśnie z potentatem telewizyjnym, a lepszej tuby promocyjnej nie mogły sobie wymarzyć. Pytanie, co dalej, bo inne zamienniki kontaktu z gwiazdami czają się tuż za rogiem dzięki rozwojowi technologii. – *Będzie można ściągnąć koncert i obejrzeć go w VR-ze. Chodzenie na prawdziwe koncerty stanie się droгим hobby, takim retro* – twierdzi szef Undercover Festivalu, wskazując hołdy jako sensowną trzecią drogę.

KRZYSZTOF NOWAK

DZIEWCZYZYNY Z KALENDARZA

THE MUSICAL

POLSKA PRAPREMIERA 9 września 2023



TEATR MUZYCZNY
im. Danuty Baduszkowej w GDYNI



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego



TEATR MUZYCZNY
IM. DANUTY BADUSZKOWEJ
INSTYTUCJA KULTURY
WSPÓLORGANIZOWANA
PRZEZ MIASTO GDYŃ



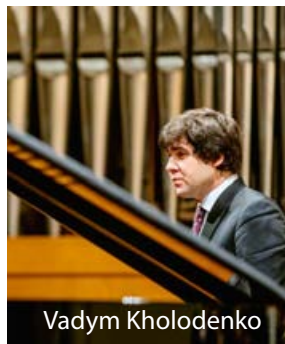
MECENAS
GŁÓWNY



MECENAS



Alena Baeva



Vadym Kholodenko



Alexei Lubimov

Napaść Putina na Ukrainę była dla nich szokiem. Są Rosjanami, ale obywatelami świata, wielu mieszka za granicą. Uprawiają dziedzinę, która łączy ludzi: muzykę. Tym gorzej się czują.



Yulianna Avdeeva

Protestują i grają

DOROTA SZWARCMAN

To moje pierwsze koncerty od chwili rozpoczęcia tej niewyobrażalnej wojny. Szczerze mówiąc, nie jestem teraz w stanie myśleć o niczym innym. Mam rosyjski paszport, a mój mąż ma ukraiński. (...) Stoję po stronie narodu ukraińskiego, a także każdego, niezależnie od narodowości, kto cierpi z powodu obecnej sytuacji i konsekwencji agresji obecnego reżimu w Rosji. Każda nuta zagrana dzisiaj tutaj, w Águilas w Hiszpanii, będzie modlitwą o pokój". Te słowa na początku marca 2022 r. napisała w mediach społecznościowych wybitna skrzypaczka Alena Baeva. Urodzona w Kirgizji, wychowana w Moskwie; jako 15-latką wygrała warszawski Konkurs im. Tadeusza Wrońskiego na skrzypce solo, w rok później – Konkurs im. Wieniawskiego. Już w kwietniu 2022 r. z mężem, równie wybitnym pianistą Vadymem Kholodenką (zwycięzcą amerykańskiego Konkursu im. Vana Cliburna), zagrali koncerty charytatywne na rzecz Ukrainy, m.in. w Luksemburgu, gdzie mieszkają. Vadym musiał ewakuować z Kijowa matkę. Alena, choć wcześniej spędzała w Rosji niemało czasu (ale w 2014 r. z powodu aneksji Krymu odwołała udział w ceremonii zamknięcia

igrzysk olimpijskich w Soczi), zrezygnowała z rosyjskiego paszportu i jest teraz obywatelką luksemburską.

Przyjaciele Moskale

Baeva i Kholodenko są zaprzyjaźnieni z Polską i często tu przyjeżdżają. Na festiwalu Chopin i Jego Europa byli w zeszłym roku, będą i w tym. Podobnie Yulianna Avdeeva, triumfatorka Konkursu Chopinowskiego z 2010 r. Jej występ na zamknięciu Chopina i Jego Europy będzie już trzecim w Polsce w tym roku, po recitalach na urodziny Chopina w Filharmonii Narodowej i na festiwalu w Dusznikach.

Oświadczenie po rosyjskiej inwazji Avdeeva opublikowała na Facebooku: „Będąc w szoku, podobnie jak miliony ludzi w tych dniach na całym świecie, muszę powiedzieć parę słów z głębi serca: z najgłębszym smutkiem i wewnętrznym bólem obserwuję agresję na Ukrainę, która przynosi tyle tragedii tak wielu ludziom. Nic na ziemi nie usprawiedliwia takich działań; modłę się o jak najszybsze zakończenie tej strasznej wojny, o siłę dla wszystkich, których dotknęła. Moje serce jest z moimi przyjaciółmi i ludźmi w Ukrainie”. I dodała: „Mocno wierzę w znaczenie języka muzycznego dla ludzi na całym świecie. Słuchanie siebie i słuchanie się nawzajem to dyscyplina absolutnie niezbędna przy muzykowaniu. Ta umiejętność połączona ze świadomością emocji

i zasad etycznych może być postrzegana jako główny wkład muzyka w pokojowe współistnienie”.

Pianistka stara się robić wszystko dla potwierdzenia tych słów. Dawała koncerty charytatywne, a na jej nowej płycie – zatytułowanej wymownie „Resilience” (Odporność) – znalazły się utwory zarówno Władysława Szpilmana i Mieczysława Wajnberga, jak Siergieja Prokofiewa i Dymitra Szostakowicza. Na bis często gra utwór znanego ukraińskiego kompozytora Wałentyna Sylwestrowa, którego miała okazję poznać i grać przed nim. W Rosji nie koncertuje; mieszka w Monachium.

We Frankfurcie znalazł przystań Dmitry Ablogin, najciekawsza osobowość I Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Fortepianach Historycznych. I on od początku wojny mocno wyraża swój sprzeciw i bierze udział w koncertach charytatywnych. Do Polski też chętnie przyjeżdża (w zeszłym roku był dwa razy). W drugiej, tegorocznej edycji konkursu weźmie udział dwoje Rosjan. Na stronie konkursowej znalazła się informacja, że złożyli u organizatorów oświadczenie o potępieniu rosyjskiej agresji. Też mieszkają w Niemczech.

Obywatele świata

Przebywającym od lat za granicą artystom łatwiej jest się wypowiadać. Mieszkający w Pradze wielki pianista Evgeny

Kissin (od dekady z obywatelstwem izraelskim) już w pierwszy dzień wojny wygłosił na YouTube płomienny protest. Tego samego dnia Kirill Petrenko, szef Filharmoników Berlińskich, który z Rosji wyemigrował z rodziną, mając 18 lat (nawiasem mówiąc, jego ojciec pochodził z Ukrainy), napisał: „Podstępny atak Putina na Ukrainę, gwałcący prawo międzynarodowe, to nóż w plecy całego pokojowego świata. To także atak na sztukę, która, jak wiemy, jednoczy ponad granicami”. Inny kapelmistrz o tym samym nazwisku (ale niespokrewniony) Vasily Petrenko, który równolegle z londyńską Royal Philharmonic Orchestra prowadził Państwową Akademię Orkiestrę Symfoniczną Federacji Rosyjskiej, natychmiast zawiesił działalność w Rosji aż do przywrócenia pokoju.

Vladimir Jurowski, szef berlińskiej orkiestry radiowej, na pierwszym od momentu inwazji koncercie zastąpił utwór Piotra Czajkowskiego dziełem Mychajła Werbyckiego, twórcy hymnu narodowego Ukrainy, komentując, że jest nie tylko oburzony, ale też ogromnie smutny, bo historia jego rodziny wiąże się z oboma krajami (jego brat Dmitri wciąż stoi na czele opery w Nowosybirsku, a na temat wojny się nie wypowiada). A szef muzyczny Filharmonii Czeskiej Semyon Bychkov, poza Rosją od 1977 r., napisał na swojej stronie: „Nie wiem, czy za mojego życia Rosja odkryje, jak żyć w zgodzie ze sobą i światem. Stare przysłowie mówi: mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Tak, ale są w życiu chwile, w których cisza w obliczu zła staje się jego współnictwem i ostatecznie się z nim zrównuje”.

Znany polskiej publiczności pianista Alexander Melnikov miał akurat 24 lutego występ w Niemczech, w Bochum. Choć apolityczny, poczuł przymus wygłoszenia przed koncertem paru słów: „To prawda, że nie mieszkam tam od wielu lat i nigdy nie głosowałem na Putina ani jego partię. Jeśli cokolwiek mam z nimi wspólnego, to to, że jestem na nich wściekły za to, że sprawiają, iż jako Rosjanin mam poczucie winy – to uczucie towarzyszy mi, odkąd pamiętam. Ale mimo to czuję się odpowiedzialny za tę wojnę. Ani ja, ani moi rodacy nie zrobiliśmy wystarczająco wiele, by ją powstrzymać”.

Nie wszyscy jednak chcą mówić. Ulu-bieniec naszej publiczności, pianista Grigory Sokolov z zasady nie wypowiada się na tematy pozamuzyczne. Za to już w marcu 2022 r. swoje honorarium za recital w Wiedniu przeznaczył na rzecz Ukrainy. Rok temu otrzymał obywatelstwo hiszpańskie.

Inni obawiają się o pozostałe w Rosji rodziny. Lubiany i w Polsce Daniil Trifonov, który mieszka w Stanach Zjednoczonych i robi wielką karierę, napisał tylko na Instagramie: „Każda wojna jest tragedią. Jako muzyk chciałbym przynosić pocieszenie i pokój w tych trudnych czasach”. Pamiętany z tego samego konkursu chopinowskiego z 2010 r., ale i z ostatniego (oraz z nagrania w pandemii wszystkich utworów Chopina) Nikolay Khozyainov też nie potępił Rosji wprost, ale koncertuje na całym świecie i do ojczyzny nie wraca, a w listopadzie w siedzibie ONZ wykonał własny utwór „Petals of Peace” (Płatki pokoju). W komentarzu napisał: „Pokój jest jak miraż, jak piękna wizja; czasami możemy go zobaczyć, a nawet dotknąć. (...) To sen, który chcemy śnić zawsze”.

Takie ogólne wypowiedzi nie wszystkim się podobają. Przykładowo fakt, że słynna sopranistka Anna Netrebko potępiła wojnę, ale po naciskach i wypierając się w żywe oczy swojego wcześniejszego poparcia dla Putina, przeszedł, iż nadal nie ma ona wstępu do Metropolitan Opera, choć na wiele innych scen już tak. Teraz pozywa nowojorski teatr za straty moralne.

Dysydenci

Są i tacy, którzy nadal pragną mówić do rosyjskiej publiczności, wierząc, że nie wszyscy sprzedali się złu. W Rosji protest to dowód odwagi. Ale niektórym krzywdą się nie stała, jak np. młodemu dyrygentowi Ivanowi Velikanowowi, którego mocny gest na początku wojny obiegł prasę światową: przed spektaklem, którym miał zadyrygować w operze w Niżnym Nowogrodzie, wygłosił krótkie przemówienie antywojenne i poprowadził fragment „Ody do radości” Beethovena. Była owacja, choć – jak mówił potem dyrygent – „podobno niektóre starsze panie były rozwścieczone, ponieważ oglądają rosyjską telewizję i wierzą, że to nie jest wojna, ale operacja specjalna”. Natychmiast został zawieszony. Ale dziś nadal związany jest z tym teatrem, dyryguje też gościnnie w Krasnojarsku, a nawet w moskiewskim teatrze Bolszoj.

Inaczej pianistka Polina Osetinskaya. Koncertuje na świecie, ale domem jej i trójki dzieci wciąż jest Moskwa. Od początku wojny głośno wyraża przerażenie i obrzydzenie w stosunku do władz oraz solidarność z Ukrainą. Mówi też: „Nie jestem w stanie niczego zmienić. Ale granie muzyki to jedyne, co mogę zrobić, aby uśmierzyć ból swój i innych. (...) Mogę oddzielić Rosję – mój kraj, moją ojczyznę, pięknych ludzi, którzy tam mieszkają – od rządu i ludzi, którzy podejmują

decyzje”. Daje więc w Rosji prywatne występy; duże sale są przed nią zamknięte. Jeden z takich koncertów, na którym z kilkoma innymi muzykami miała grać utwory Szostakowicza i Wajnberga, został przerwany przez policję, która z psami tropiącymi szukała bomby. Publiczność wyszła z artystami na deszczową ulicę i czekała, aż lokal zostanie przeszukany.

Podobna historia przydarzyła się Alexeiowi Lubimowowi. Ale jemu nie pierwszozna. Ten niezwykły, wszechstronny pianista, który 28 sierpnia w Warszawie zagra Brahmsa na instrumencie z epoki, a we wrześniu będzie jurorem Konkursu na Instrumentach Historycznych, ma dziś 78 lat i przeżył niejedno. Awangardowy duch, zapoznawał rosyjską publiczność z muzyką współczesną z Zachodu (Cage, Boulez, Stockhausen, Ligeti) i z terenów ZSRR (Sylwestrow, Gubajdulina, Schnittke, Pärt), z wieloma kompozytorami był w przyjaźni, a zarazem był pionierem wykonań historycznych muzyki dawnej. W czasach sowieckich miał woletołni zakaz występów za granicą. Po pierestrojce działał intensywnie i w Rosji, i na świecie, także jako pedagog – był twórcą wydziału muzyki dawnej i współczesnej w Konserwatorium Moskiewskim, a zarazem profesorem salzburskiego Mozarteum.

Wrzucone na YouTube fragmenty koncertu, który odbył się 14 kwietnia 2022 r. w moskiewskim Domu Kultury Rasswiet, wzbudziły sensację. Lubimov ze śpiewaczką Yaną Ivanilową wykonywali tam pieśni Sylwestrowa, a on sam – utwory Schuberta. Organizator koncertu był namawiany do jego odwołania, ale się nie ugiął. Wtedy przyszła policja ze stałym tekstem o zagrożeniu bombą. Lubimov ze spokojem dokończył impromptu Schuberta i dopiero wówczas przerwał koncert. Publiczność wsparła go owacją, a potem wyszła z nim z sali i czekała na koniec tej szopki. Najzabawniejsze, że utwory ukraińskiego kompozytora zabrzmiały wcześniej, nie udało się więc temu zapobiec.

Pianista mówi: „Mimo że głęboko nie nawidzę obecnych rosyjskich władz, nigdy nie będę przeciw Rosji, tylko przeciw ludziom, którzy doprowadzili ją do tego stanu. Póki mój zawód i moje życie nie będą zagrożone, będę zawsze wracał”. I rzeczywiście wciąż powraca. Gdy po owej interwencji policji ktoś z publiczności westchnął: „Szkoda, dziś chyba po raz ostatni słuchaliśmy Sylwestrowa”, Lubimov odparł: „Nie, nie ma mowy. Będę nadal grał Sylwestrowa”. I zagrał go znów we wrześniu w jednej z moskiewskich galerii sztuki. Tym razem interwencji nie było. ■



MARCIN „FLINT” WĘCŁAWEK

Tropy rapu

Gdzie się zaczął polski hip-hop? Nie wiadomo. Kiedy? Trudno stwierdzić. Przy okazji półwiecza hip-hopu na świecie śledzimy początki popularnego dziś gatunku.

Historia hip-hopu w Polsce to temat trudny z kilku powodów. W prapoczątkach był bowiem czymś więcej niż muzyką – czteroelementową kulturą obejmującą rap, didżejowanie, breakdance i graffiti (POLITYKA 33). To, co mogło się trwale zrosnąć i wzajemnie napędzać w Nowym Jorku lat 70., nad Wisłą nie miało racji bytu, zwłaszcza jako amalgamat. Nie mieliśmy tej mozaiki etnicznej, tej sytuacji społecznej, tej historii muzyki. Przez pryzmat PRL zupełnie inaczej patrzyło się na kluczowe dla kultury terminy, takie jak nielegalna impreza uliczna, gang, getto, funk, disco. A kiedy podnieśliśmy już żelazną kurtynę i zdążyliśmy złapać oddech, oczom młodych ukazał się już inny hip-hop, z innymi składnikami. I to do niego młodzi chcieli równać.

Wcześniej zmobilizowało się środowisko tancerzy. Już w 1985 r. odbyły się w Piotrkowie Trybunalskim mistrzostwa Polski

w breakdance (wygrał je wtedy Piotr Staniek). Flash Boys, B.B. Rap, Scrap Beat, Bronx Rock Robot – to przewijające się nazwy zapomnianych już mocno ekip. Pozostają pytania o to, kto widział w tym hip-hop, kto sport, a kto jedynie szansę na zwrócenie na siebie uwagi. Podczas gdy jedni rozmasowywali krwiaki, próbując kopiować to, co widzieli na stopklatkach w kultowym filmie „Beat Street”, inni stronili od etosu i popisywali się na dyskotekach. O informacje było na tyle trudno, że być może nie do końca sami rozumieli, w co się wówczas angażują, o co w tym całym hip-hopie chodzi. Co do jednego panuje zgoda: taniec dotarł do Polski najpierw. W Szczecinie, Zagnańsku, Gnieźnie czy Kielcach, tym „jednym wielkim przedmieściu zdominowanym przez kulturę proletariacką”, nie brakło hiphopowego ducha. Z kolei początki hiphopowego graffiti datowane są mniej więcej na 1993 r. W czasach PRL królował raczej szablon

– sztuka o politycznym charakterze i punkowym rodowodzie. „Szczytowa fala szablonego graffiti opadała już we wczesnych latach 90., kiedy to coraz większą popularność zaczęło zdobywać przeszczezione na nasz rodzimy grunt graffiti o rodowodzie hip-hopowym – kolorowe, wielkie malunki, tworzone za pomocą farby w sprayu, znane z metropolii USA i Europy Zachodniej” – pisze Grzegorz Kmita „Patyczak” w albumie „Graffiti w PRL”.

Jeśli chodzi o sam rap, trwa dziś licytacja na daty. „Tak wciągnęła mnie zabawa w didżeja, że w grudniu 1982 r. skompilowałem pierwszy mikstejp dla kumpli z osiedla. Dołączyłem do niego swój pierwszy nagrany rap i podpisałem to ksywką 3” – wspomina Liroy w książce „AutobiogRAPia vol.1”. To aż się prosiło o podanie w wątpliwość. Tak właśnie zrobił Kazik Staszewski w wywiadzie dla „Antologii Polskiego Rapu”: „To mi się wydaje niemożliwe, to jest bajka” – osądził krótko.



Liroy, 1995 r. Przez niektórych jest uważany za pierwszego polskiego rapera.
 Na sąsiedniej stronie: pokaz breakdance'u na ulicy w Mielnie.
Taniec był pierwszym elementem hiphopowej kultury, który dotarł do Polski.

Dla odmiany Grzegorz Skawiński przyznał w wywiadzie dla Tysol.pl: „Pierwszy kawałek rapowy wykonał zespół Kombi na płycie »Nowy rozdział«. To jest utwór »Nie poddawaj się«. To był 1983 r. Byliśmy wtedy w Berlinie na koncercie Grandmaster Flasha i jego muzyka nas zafascynowała”. „Skawie” uwierzyć prościej, bo gdy Liroy i Wzgórze Ya-Pa-3 podbijali Polskę „Scyzorykiem”, to właśnie on grał w tym utworze na gitarze. Tyle że „The Message” Flasha jest o przetrwaniu, a „Nie poddawaj się” – zaledwie o nudzie: „W koło kręc się, nic nie bawi mnie/ I najchętniej bym coś zjadł/ Godzinami też w sufit gapię się/ Czym się zając – nie wiem sam”.

Od Ciechowskiego do Korzyńskiego

Im większy sukces, tym więcej ma ojców. Wychodzi na to, że w latach 80. hiphopowe było nie tylko „Nie ma ciszy

w bloku” (1988 r.) wiecznie eksperymentującego Pawła „Kelnera” Rozwadowskiego i jego grupy Deuter. „Lady Pank dokonuje mariażu z muzyką rap!” – obwieszcza biograf grupy Michał Grzesiek, opisując utwór „Oglądamy film” (1988 r.). Skandujący Jan Borysewicz miał w swojej solowej, wspartej tekstem Grzegorza Ciechowskiego i „syntetycznie brzmiącymi bębnami” kompozycji „uciekać przed zespołem”, szukać własnej, odrębnej przestrzeni. W zeszłym roku nakładem GAD Records wydano w końcu „Rewolucję Zieloną” Green Revolution, album z przełomu lat 1987/88. To jazz fusion Wojciecha Konikiewicza i spółki. W opisie płyty pada (wśród wielu innych) słowo „hiphop” i sformułowanie „rapować Białoszewskiego”, użyte w kontekście utworu „Sharanagayama”. Co ciekawe, znowu pojawia się nazwisko Ciechowskiego – tym razem niczego nie napisał, pożyczył za to syntezator Yamaha DX7.

„Piękne panie, by nie robić wielkiej hecy,/ do break-danca radzę wam się kłaść na plecy,/ a playboye oraz wszyscy ekscentrycy/ mają szansę dać popalić zagranicy./ Trochę chęci i już amatorska grupa/ ładnie tańczy i nie zwicnie kręgosłupa” – deklamował z kolei Piotr Fronczewski jako Franek Kimono. Utwór „Break dance” nie należy do najpopularniejszych utworów Franka, ukazał się w 1984 r. wyłącznie na winylowym singlu. Sama postać Kimono była jednak bardzo popularna i wydaje się z dzisiejszej perspektywy całkiem dobrze przemyślana – hiphopowa jest tu dyskotekowa proveniencja, bezczelna, pewna siebie poza, dążenie do gier słów i szybkich puent, a nawet „Bruce Lee karate mistrz”. W kontekście późniejszych nagrań sprawdza się brzmienie Andrzeja Korzyńskiego, człowieka klasycznie wykształconego, wszechstronnie osłuchanego, obdarzonego niezbędnym dystansem, a także odpowiednim do takich produkcji sprzętem. Bas z Rolanda TB-303 jest nie do podrobienia.

„Teksty zawsze pisałem przed muzyką. To wszystko nie udałooby się jednak bez Fronczewskiego. Na początku zaśpiewał Franka jak przedwojenne tanga, które miał w repertuarze, i to była katastrofa. Poprosiłem: »Piotrek, to ty to może raczej powiedz. Zachowując frazę i rytm: *Gaz do de-chy. I wy-puszczam czad, z a-paratury, co ma ty-siąc wat*«. Zrobił to natychmiast. Wtedy jeszcze nie było u nas rapu, dlatego Fronczewski jest nazywany pierwszym polskim raperem” – mówił nieżyjący niestety Korzyński w rozmowie z Jackiem Szczerbą. „Jestem barmanem na tym dancingu/ Pierwszy raper, nie było jeszcze stringów” – wydekluamuje ponad 20 lat później Fronczewski w utworze „W aucie” Sokoła i Pono, jednym z największych hitów 2007 r. I tym sposobem żart zacznie być brany przez słuchaczy poważnie jako fakt historyczny. ▶

REKLAMA

LETNIA PROMOCJA
 Kupując elementy legendarnej „Marii”
 (w wersji białej, kwiatowej lub w nowych
 pastelowych odcieniach) o wartości 2500 pln
 otrzymasz bonus 1000 pln!
 www.rosenthal.pl

► Zabawny jest tu kontekst personalny. Nagrania Franka realizowali Mateusz Ząbrodzki ze Stefanem Wesołowskim, założyciele zespołu Papa Dance. Tego samego, dla którego teksty pisał Jan Sokół, ojciec rapującego Sokoła. Podobnie z kontekstem biznesowym: oryginalny album Franka Kimono rozszedł się w 400 tys. egzemplarzy, ale Fronczewski nie zarobił za dużo, bo nie otrzymywał tantiem, a jedynie „gażę od producenta”, powetował sobie te straty dopiero teraz.

Najlepszy raper wschodu

Ci, którzy po hip-hop sięgali najbardziej świadomie, najchętniej się później od niego odżegnywali. Wojciech Waglewski, pytany przez Rafała Księżyka o płytę „Małe Wu Wu” (1988 r.) i „pierwsze w historii polskiej fonografii zarejestrowane rapowanie i skrecze”, odpowiadał dziennikarzowi zbywającym: „Płyta musiała być dynamiczna. Miałem w domu dwóch dorastających chłopców”. Z kolei Kazik Staszewski przekonująco opowiadał o tym, jak jeszcze w 1982 r., za sprawą Jurka Pełki, gością giełdy płytowej w warszawskich Hybrydach, miał w rękach płyty zespołu Whodini, Grandmaster Flasha i Sugarhill Gang. Wspomina, że groove w muzyce był dla niego ważniejszy od harmonii i melodii, a z fragmentów cudzych utworów korzystał jeszcze przed spopularyzowaniem technik samplingowych. Wreszcie przyznaje, że przyniósł „Jeszcze Polska” (ze słynną frazą „coście sk... syny uczynili z tą krainą”) na próbę Kultu i delikatnie rzecz ujmując, nie spotkał się z aprobatą. Ale zarazem nie zamierza wypinać piersi po orderzy – będzie się zarzekał, że to przecież sporo śpiewania, że pisze normalne piosenki, że nawet Wojciech Mann odmówił mu rapowości, a on sam czuł, że jedynie przetał szlak innym.

Nie ma jednak rozmowy o początkach polskiego hip-hopu bez wydanego w 1991 r. „Spalam się”. Wiele na tej płycie było „pożyczonego” – Staszewski nie kryje, że w utworze tytułowym pobrzmiewa Tone Loc, w „Dziewczynach” Fresh Prince, w „Nowym konflikcie światowym” Afrika Bambaataa (z Johnem Lydonem), cała antysystemowość pachnie zaś zasłyszonym przez wokalistę jeszcze w Anglii Public Enemy. Taki już urok naszych wczesnych (i niestety nie tylko) wydawnictw rapowych – trudno mówić o Liroyu bez House of Pain i Das Efx czy o Kalibrze 44 bez Cypress Hill i Wu-Tang Clanu. Oryginalność brała się często z nieumiejętności dostatecznie wiernego przeniesienia na nasz grunt, braku zrozumienia dla hip-hopu ze strony realizatorów i tak dalej.



Od góry: Wzgórze Ya-Pa-3, Franek Kimono, Kaliber 44.

U Kazika to, co własne, było jednak rzeczywiście aż dziwnie własne, nawet jeśli wydawało się przez to mniej hip-hopowe. Twórca czuł rytm odruchowo, umiał pisać wprost o tym, co po transformacji ustrojowej boli, ale też skorzystać z alegorii bądź przypowieści („Oblężenie!”), które zwiastowały, że w kraju takim jak Polska, gdzie edukacja jest powszechna, a piosenki przez lata pisane były przez specjalistów, rymować będzie się z większym wyrafinowaniem niż na Zachodzie. Była w tym ostra publicystyka i ostry humor – Krzysztof Kotowski, recenzując płytę w „Tylko Rocku”, stwierdził nawet, że „gdyby zaśpiewano podobnie jasno i czytelnie jeszcze kilka lat temu, autor bez wątpienia zgniłby w lochach lub został poświęciartywany przez władze”. Co tu dodać? Może to, że Wojciech Waglewski grał na tej płycie na gitarze. A o nalepioną na okładce „Spalam się” naklejkę „Najlepszy raper wschodu”, pomysł wydawcy Marka Kościwickiego, Kazik irtuje się do dziś.

W 1991 r. najlepiej w Polsce rapował prawdopodobnie Liroy. Cóż, utrzymuje,

że robił to już jako jedenastolatek, potem koncertował po europejskich klubach i pubach, miał zatem obycie, doświadczenie, a co więcej, znajomości i warunki do pracy. Kielczanin, wówczas pod ksywką PM Cool Lee, nagrywał materiał „East on da Mic” w Trójmieście, przy wsparciu muzyków z Dekretu, Ankh i The Lovers. Nie brakowało perypetii właściwych przasnemu kapitalizmowi. Całość ukazała się w 1992 r. Eklektyzm, do pary z anglojęzycznymi przeważnie tekstami, rozmyły to wydawnictwo, a szkoda, bo np. „Ciemna strona” to przykład mocnego utworu na znany Liroyowi temat przemocy w rodzinie.

Hiphopowe zabytki

Rapowanie po polsku nie było jednak wcale na początku oczywistym wyborem – uciekało od niego łódzkie Thinkadelic, wrocławskie F.F.O.D., języki mieszało warszawskie SouthCentral czy częstochowskie Sa-Prize. Temat na wiele lat zamknęło Wzgórze Ya-Pa-3 i Kaliber 44 w rewelacyjnym, 7-minutowym „Języku polskim”. Ale wymowny był fakt, że zanim Kaliber został Kalibrem, rymował pod nazwami Young Rappers i Triangle of the Truth.

Wśród zabytków polskiego hip-hopu szczególną rolę odgrywa duet Trials-X i ich album „Fekalia” z 1992 r. Na Śląsku działał Tuwandaal i pierwowzór K44, w Krakowie Brooklyn z niesławnym Karambą, na Podlasiu Białe Czarnuhy, w Poznaniu pierwsze kroki z Rapsallion X stawiał donGURALESKO (rok później ruszy Slums Attack, duet Pei i Icemana), być może Waldemar Kasta pojedynkował się już we Wrocławiu na rymy, ale to właśnie dwóch chłopaków ze stołecznej Ochoty miało swoje demo w osiedlowym sklepie. „Byliśmy w takim cugu własnej zajawki. W tamtym czasie to w ogóle było coś nowego. Zmieniała się rzeczywistość polityczna, mur berliński walnął, to był ten czas. (...) Robiliśmy coś i nawet nie wiedzieliśmy, czy to przetrwa. Wielu ludzi nam mówiło, że hip-hop to sprawa sezonowa, bo tak było z paroma gatunkami. My pokonczyliśmy wtedy szkoły podstawowe i trzeba było coś ze sobą zrobić” – wyjaśniał raper J. Tiger z Trials-X.

W 1995 r. Liroy sprzedał ponad pół miliona egzemplarzy „Alboomu”, a miesięcznik muzyczny „Brum” napisał o wydanym debiucie Wzgórze Ya-Pa-3, że to „punk rock lat 90.” i „abecadło dzieci polskiej ulicy końca wieku”. Rok później Kaliber 44 sprzedał ponad 100 tys. „Księgi Tajemniczej”. Polski hip-hop zaczął triumfalny pochód, który – jeżeli uwzględnić komercyjną ewolucję wypracowaną gatunek i czyniącą go nowym popem – trwa do dziś.

MARCIN „FLINT” WĘCŁAWEK

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata

PIJANA ROSJA
Strach ludzi władzy



WSZYSTKO SŁONIOWE
Sri Lanka ma problem

• SZYŁAM GACIE WAGNEROWCOM • HISTORIA ECSTASY

istnieje
od 1965

FORUM

NASTĘPNE
25
SIERPNI
PIĄTEK
WYDANIE

N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 17 (11-24.08.2023) Cena 12,99 zł (w tym 9% VAT)

Oppenheimer

POWRÓT BOHATERA

WRZE W NIGRZE
Czyja Afryka?

KOSMICZNE OCEANY
„Solaris” w realu

TARRANTO W BARZE
Ucieczka z Hollywood

GETTA Z GÓRNEJ PÓŁKI
Osiedla tematyczne

BUSEM DO SADDAMA
Turystyka ekstremalna

KOLEJ NA KOLEJ
Wstyd przed lataniem

BHUTAN NETTO I BRUTTO
Komu zazdrościsz
Windsorowie

TECZOWA ESTONIA
Tu jest Skandynawia!

TRZEZWE MU BIADA
Co wypił gubernator

KLIMAT I POLITYKA
Kleopatra było zimno

JAK TRABA POWIETRZNA
Poszły słonie
po Cejlonie

Najnowsze **FORUM** już w sprzedaży!



Nie patrz w ciemność

Znajoma opowiedziała o swoim nastoletnim synu: chłopak czyta i mówi już tylko po angielsku; przyjaciół ma na całym świecie oprócz Polski; wspólnie z nimi planuje wynająć mieszkanie w Londynie i się tam przeprowadzić, natomiast polskiej ojczyzny i jej kultury nienawidzi, tak jak swoich rodziców, bo oni też są polscy. Jak do tego doszło? – zastanawiała się znajoma. Na pewno nie wyniósł tego z domu. A jeśli nie z domu, to skąd? Myślę, że znam odpowiedź – jej syn wyniósł to z Polski. Z atmosfery, którą się tu naoddychał, wytwarzanej przez martyrologiczny paradygmat naszej kultury, niestety wciąż niedobity, choć wytrwale nadgryzany przez myśl krytyczną.

Zło zaczyna się oczywiście od szkoły, nie tylko za sprawą Czarnka. Założenie, że nastolatek musi przeczytać „Odprawę posłów greckich”, mimo że jest to dla niego lekcja martwego języka; że musi wyryc sobie w mózgu „życie i twórczość” wieszczów, choć mesjanizm odczuwa jako krindź albo jednostkę chorobową, jest przecież starsze niż minister z Lublina. Za oczywiste uchodzi u nas twierdzenie, że jeśli młodych umysłów nie przymusi się do bliższej znajomości z historią narodowego piśmiennictwa, naród nasz nie będzie umiał się porozumieć ze sobą. Nie dostrzega się, że mimo przymuszania do kanonu rozmawiać jest nam coraz trudniej, a skrzydlate słowa ze skarbnicy polskiej tradycji tylko pogarszają sprawę.

Ponieważ lato jest sezonem utonięć, dziennikarze codziennie przestrzegają teraz przed brawurą podczas kąpieli w rozmaitych akwenach, chętnie posługując się przy tym Mickiewiczowskim zawołaniem: „Mierz siły na zamiary”. Nie trzeba być panną Marple, żeby wydedukować, że mają na myśli coś przeciwnego, niż mówią: chcieli przestrzec przed brawurą, a zachęcają do niej, bo cytat z „Pieśni filaretów” znaczy właśnie tyle. Kto pragnie nawoływać do rozsądku, powinien zalecać to, czym Mickiewicz gardził: „Mierz zamiar podług sił”. Czyli: nie porywaj się na rzeczy przekraczające twoje możliwości. W tłumaczeniu na konkret: nie wchodź do Bałtyku przy sztormowej pogodzie i po pięciu browarach. Przykład ten świetnie pokazuje, jak tradycja nie pomaga w komunikacji.

A przecież Polska ma w ofercie rzeczy gorsze niż alienowanie kanonem. Weźmy klip Tadeusza Śliwa do piosenki Wojciecha Sokoła „Miłość zawsze jest”. Inspiracją był dla niego ślub Alicji Treutler ps. Jarmuż i Bolesława Biegi ps. Pałak, zawarty w Warszawie 13 sierpnia 1944 r. – zdarzenie utrwalone przez fotografa Eugeniusza Lokajskiego ps. Brok i przez Referat Filmowy Biura Informacji i Propagandy KG AK. Klip zamówiło Muzeum Powstania Warszawskiego z okazji 79. rocznicy „zrywu”, zatem moja

znajoma, chcąc nie chcąc, też się do niego dołożyła. Dziełko, adresowane do młodzieży w wieku jej syna, nosi wszelkie znamiona horroru z endemicznej odmiany

„Polish gore”. Na stronie Muzeum czytam, że film jest częścią „kampanii promocyjnej”, ale nikt nie wyjaśnia, co jest promowane. Rzeź Woli? Czemu nie. W naszym kraju to możliwe. Tu się wierzy, że z krwi „przelanej” z udziałem żołnierzy, zwłaszcza tej niewinnej, wyrasta dobro. Muzealny przekaz jest kuriozalny: do konkluzji, że film ukazuje „wspólną emocję młodych ludzi z czasów II wojny

światowej ze współczesnymi Polakami”, dociera się krętą drogą, na której nie zabrakło ani „Hymnu o miłości” św. Pawła, ani Erosa i Tanatosa.

„Miłość zawsze jest – na pewno/ Miłość wszędzie jest – spojrz w ciemność/ Miłość zawsze jest – chodź ze mną/ Nie zostawię cię...” – śpiewa Sokół. Wzięty osobno, tekst piosenki rzeczywiście może zadziwić uniwersalizmem: jest tu męski podmiot liryczny i nieokreślone płciowo „ty” będące z nim w relacji; jest katastrofa,

ale niekoniecznie wojna – może to być również klimat, konsumpcjonizm, upadek wartości albo migracje, przesłanie zaś kojarzy się z nieśmiertelnym wersem z „Jestem kobietą” Maanamu: „Gdy zaczną strzelać za oknami, będziemy w szafie żyć”.

I na to wchodzi Śliwa, cały na białą.

W czasie gdy Sokół śpiewa, statyści ucharakteryzowani na postaci ze zdjęć Lokajskiego, zatrzymani w pół gestu, inscenizują stopklatkę z powstania w kolorze. Skamieniali ludzie w skamieniałym świecie podwórka studni, nad którym latają bombowce, o twarzach zastygłych w grymasie przerażenia, rozrywanych krzykiem, indukują uczucie strachu, który wpada nam do brzucha jak granat do piwnicy. Pod koniec drugiej minuty pojawia się gwóźdź programu: zamordowana, pewnie zgwałcona kobieta w letniej sukience, z rozrzuconymi nogami, z kroczem na wysokości naszych oczu, ponownie wydana na pastwę ofiara. Obrazek ten zbiega się ze słowami: „nawet kat bywa dziecinny, a dziecko też bywa katem”.

Śliwa wykorzystał tekst Sokoła, żeby dilować śmiercią w opakowaniu miłości. Jeżeli jego upiorny film naruszył moje granice, to co powiedzieć o granicach osoby nastoletniej? Poblądłe archiwalne zdjęcia ze ślubu Treutler i Biegi, stonowane przez czern i biel, wyglądają przy tym jak list z krainy łagodności. Historia niesie ulgę, ponieważ należy do przeszłości.

O ciemności dobrze jest pamiętać, ale nie trzeba się w nią wpatrywać. Chyba że chcemy, żeby ona popatrzyła na nas, a nasze dzieci poucikały z Polski.

RENATA LIS

† W naszym kraju wierzy się, że z krwi „przelanej” z udziałem żołnierzy, zwłaszcza tej niewinnej, wyrasta dobro.





Wiedza nie myśli

Przyjemnie, prawda? – zagadnąłem do sąsiadki patrzącej na naszą pustą ulicę, wyparkowaną zwykle po zderzak.

– Niby tak, ale jak tu nas nie ma, to przybywamy gdzie indziej. Jedyne pocieszenie, że tamtym nieszczęśnikom opłaca się nadmiar ludzi i samochodów w ich miastach i wsiach – odparła bez przekonania.

– No przecież – naciskałem – ponad 20 mln Polaków wyjedzie w te wakacje. I to mimo szalonych upałów. Wie pani, ile wydadzą pieniędzy?!

– Pewnie z parę miliardów. A wszyscy zapłacimy dużo więcej. Podpaliliśmy świat, a teraz jedziemy popatrzeć, jak płonie. Głupcy! Przepraszam – zmitygowała się, widząc pewnie moją opaleniznę – to przez tę Grecję. I poszła.

Przeczytałem – jeden po drugim – dwa artykuły o trwających właśnie wakacjach. Bohater pierwszego wybrał się z żoną i dwiema córkami na Rodos. Przylecieli 19 lipca i mimo że czuli w powietrzu zapach dymu, pierwsze dwa dni upłynęły im przyjemnie. W sobotę chmura dymu zasnuła słońce, a wieczorem zobaczyli na wzgórzach płomiennie zachodzące słońce. Kiedy jednak hotelowy hol i tereny wokół basenu zaczęły wypełniać się setkami osób bez bagaży, często w strojach kąpielowych, zrozumieli, że to nie był zachód słońca, ale pożar. W atmosferze narastającej paniki usłyszeli, że muszą natychmiast uciekać, porzucając bagaże. Zabrali więc córki i najważniejsze rzeczy. Wraz z kilkunastoma osobami wsiadli do podstawionego samochodu, który przewiózł ich dalej od ognia i wysadził w polu w całkowitych ciemnościach. Widok płomieni na wzgórzach towarzyszył im przez cały czas. Córka pytała, czy zginą. Dzięki pomocy miejscowego Greka dotarli pieszo do kolejnego ośrodka. Tam dołączyli do tysięcy ludzi uciekających przed ogniem. Po trzech dniach koczowania wyczarterowany przez biuro turystyczne samolot zabrał ich do domu. Towarzyszy im lęk i silne postanowienie nieopuszczania własnego kraju przez długi czas.

Tymczasem, w innym miejscu, niespełna tydzień po opisanych wydarzeniach dziennikarka rozmawiała z turystami czekającymi na samolot na Rodos. Tak, oczywiście, że wiedzą o pożarach. Ale Grecja płonie co roku, a poza tym sprawdzili kierunek wiatrów na wyspie i okazało się, że nie wieją w stronę ich ośrodka. Czekali na te wakacje pół roku i nie zrezygnują z powodu jednego pożaru. Media przesadzają, nikomu nic się nie stało. Dym w powietrzu im nie przeszkadza, bo są ze Śląska. Tego dnia z jednego tylko polskiego lotniska na Rodos wyleciało około dwustu osób.

Nie ma na świecie nauczyciela, który choć raz w życiu nie zwątpiłby w sens swojej profesji. Nie idzie mi o pojedynczą porażkę z ofiarą genów czy nawet o generalne wypalenie zawodowe. Mam na myśli zwątpienie fundamentalne, które dotyka samej istoty nauczania. Kryzys ten zagraża nauczycielowi wówczas, gdy na dłużej dopuści do siebie myśl, że przyrost wiedzy ucznia nie sprawia, że staje się on rozumniejszy. A już całkiem niedobrze,

kiedy myśl tę rozszerzymy na całą ludzkość. No bo jakże tak? Mamy – wciąż nieliczni na tej Ziemi szczęśliwcy – powszechną edukację, demokratyczną politykę, pralkę,

zmywarke, internet i smartfon, a mimo to robimy głupoty? To po co tak się mordować z uczniami, z których większość szkoły nie cierpi, a pożytek dla ludzkości z ich wykształcenia jest niewielki? Do tego trzeba znosić ich rodziców, kolejnych ministrów i wszystkich, którzy zazdroszczą nauczycielom długich wakacji, ale nie zarobków. Chyba wystarczy na doła. Na szczęście nie załapujemy go sami.

Kiedy rodziła się nowożytna nauka, czyli mniej więcej 500 lat temu, przebojem czytającej Europy stała się niewielkich rozmiarów książka pt. „Pochwała głupoty”. Napisała ją gwiazda humanizmu, Ronaldo renesansowej filozofii – Erazm z Rotterdamu. Wydana w Paryżu w 1511 r. niemal od razu podbiła rynek. Kilkadziesiąt wydań ukazało się za życia autora. Entuzjazmowi czytelników towarzyszyła wściekłość kolegów. Potępili ją zgodnie profesorowie Sorbony, a w 1559 r. trafiła na indeks watykański, gdzie przebywała do XIX w. W XVI w. przeczytali ją wszyscy, a i dziś – w przeciwieństwie do reszty dorobku Erazma – czyta się ją świetnie. Napisana w formie zjadliwej, ironicznej, paradoksalnej pochwały, którą wygłasza tytułowa Głupota, głosząca swoje rozmaite walory, na czele z argumentem, że tylko głupek może być szczęśliwy. „Jestże co szczęśliwszego nad ten rodzaj ludzki, którym to zazwyczaj gawronów, dudków, cymbałów, głupców, gapiów, błaznów, durniów, najszlachetniejsze, moim zdaniem, nadają nazwiska? Być może zda się to wam na pozór głupstwem i niedorzecznością, ale przecie jest to prawda jaśniejsza od słońca. A naprzód całkiem są wolni od bojaźni śmierci, niematego już zapewne w życiu nieszczęścia”. I jakby na potwierdzenie słów Erazma filmowa Barbie pyta w pewnej chwili inne Barbie i Kenów: „Myślicie czasem o śmierci?”. Nagła interwencja egzystencji paraliżuje na chwilę zabawę bezmyślnych lalek.

Wielkość i paradoksalność „Pochwały głupoty” wykracza jednak daleko poza satyrę na ignorancję. Głupota przygarnia do siebie także rzesze wykształconych filologów, filozofów, prawników i teologów, którym wiedza sparaliżowała rozum tak, że zamiast myśleć, powtarzają tylko to, co przeczytali. To ci – jak pisał wielki czytelnik Erazma Michel z Montaigne – „których wiedza mieści się w ich wspaniałych bibliotekach. Znam jednego, którego gdy biorę na spytki, co wie, woła zaraz o książkę, aby mi to pokazać, i nie odważyłby się powiedzieć, że go świerzbi w zadku, jeśli by nie poszukał wraz w leksykonie co Świerzbienie i co Zadek” (przeł. T. Boy-Żeleński).

Nie nadymajmy się za bardzo – mówi Erazm tym wykształconym i myślącym. Dobrze, jeśli umiemy użyć rozumu do rozróżnienia dobra od zła. Wiedzieć i rozumieć wszystko nie jest na ludzką miarę, przeto wszyscy jesteśmy po części głupcami. Z tą różnicą, że mądry o tym wie.

RYSZARD KOZIOŁEK

Hartman

Kto wynalazł człowieka?



Aż do czasów odrodzenia człowiek wcale nie „brzmiał dumnie”, a jego reputacja była niezbyt dobra. Nie żeby elity miały złe zdanie o sobie, bo to zjawisko całkiem nowe. Raczej odwrotnie – właśnie dlatego, że arystokracja rodowa i inni bogacze uważali się za rasowo doskonalszych od reszty, ogólna ocena gatunku, reprezentowanego najliczniej przez chłopów, była krytyczna. Nie tylko polska szlachta uważała się za potomków szlachetnego ludu (Sarmatów), czym miała odróżniać się od pospólstwa – podobne legendy miały elity wielu społeczeństw. A do tego plemiona i nacje całego świata uważały się za istoty wzorcowo ludzkie, w odróżnieniu od sąsiadów, których miały za coś w rodzaju istot człokształtnych. Rasizm zawsze był normą i dopiero wynalazek równości rzucił światło na tę paskudną cechę społeczeństw i pozwolił ją nazwać (słowem „rasizm” właśnie).

Dawne, czyli przednowoczesne, stosunki społeczne nie pozwalały dojść do głosu temu pojęciu człowieka, które dziś jest dla nas tak oczywiste. Nie znano idei „człowieka” jako inteligentnej i wolnej osoby, mającej swoje odrębne od wspólnoty życie wewnętrzne i biografię, osoby wyjątkowej i niepowtarzalnej, nietykalnej i posiadającej prawo do kierowania sobą oraz do szacunku ze strony innych ludzi i państwa. Wszystko to wymyśliła rewolucja liberalna, która trwa na świecie już od czasów reformacji. Do wieku XVI wolnej i posiadającej indywidualną godność osoby, mającej niezwykłe prawa, niezależnie od wyznania, płci, pochodzenia i stanu społecznego, niemalże w ogóle nie znano. Tożsamość każdego człowieka wyznaczał właśnie jego stan i płeć, wobec czego nikt nie był „człowiekiem po prostu”. Tym bardziej dotyczyło to religii – można było być „wiernym” albo „niewiernym”.

Owszem, istniało słowo „człowiek”, lecz było to wyjątkowo wąskie pojęcie gatunkowe, słabo nacechowane moralnie. W tym abstrakcyjnym znaczeniu „człowiek” to znaczyło „zwierzę mówiące”, i to raczej płci męskiej. Dziś jeszcze w języku polskim zwrot „jakiś człowiek” odnosi się głównie do mężczyzny, a mówienie o kimś „ten człowiek” często sugeruje niższy status społeczny tej osoby. Zwrot „dobry człowieku”, niegdyś bardzo popularny, obecnie jest nie do pomyślenia, i to właśnie dlatego, że jest protekcyjny, odwołując się do przednowoczesnego rozumienia człowieczeństwa.

Rzecz jasna nawet pełni uprzedzeń starożytni myśliciele brali pod uwagę ewentualność „transferów”. Platon dochodził do stanowisk, a rzymscy stoicy zalecali przyznawanie praw obywatelskich ucywilizowanym i lojalnym barbarzyńcom. Chrześcijanie szerzyli ideę równości wiernych – wobec Boga wszyscy bowiem są niczym, a jednocześnie są wybrani i zasadniczo

predestynowani do raj. Jednakże dopiero walka mieszczań o uzyskanie praw politycznych i narodziny nowoczesnego państwa, zrównującego wszystkich mężczyzn jako „obywateli”, stworzyły warunki do pogłębienia i uniwersalizacji pojęcia człowieka.

Paradoksalnie filozofia człowieka jest starsza od samego „człowieka”. „Człowiek” to dla antycznych filozofów nie był osobnik z krwi i kości, lecz ideał, który w takim osobniku mógł się w jakimś stopniu ziścić. To mężczyźni z wyższych sfer mieli szukać we wszystkim umiaru, skupiać się na własnym charakterze zamiast na rzeczach tak niepewnych, jak sława i bogactwo. To panowie otoczeni niewolnikami mogli pretendować do wyrafinowanej sztuki życia i rozkoszy wspólnego filozofowania przy winie. To oni byli „ludźmi”, a nie ich kobiety ani ich słudzy.

Na dobrą sprawę człowieka wymyślili protestanci. Reformacja była pierwszym masowym ruchem, w którym do głosu dochodziła jednostka, a indywidualność i osobiste doświadczenie zaczęły nie tylko mieć znaczenie, lecz także domagały się ochrony. Chodziło o doświadczenie religijne i osobiste przeżywanie wiary. Tak to się zaczęło. A potem już poszło – wkrótce pojawił się człowiek-mieszczanin, człowiek-obywatel, człowiek-gospodarz, człowiek-kupiec i wiele innych odmian bycia wolną osobą. Równoległe z tym procesem „uczłowieczenia”, czyli emancypacji jednostki, nowoczesność wymyślała kolejne samorządne wspólnoty: gminę religijną, miasto, naród... A gdzieś na końcu tego procesu jesteśmy my, ostatni świadkowie nowoczesności, czyli czasów wielkiego wyzwania. Na naszych oczach domykają się ostatnie rozdziały tej epopei: walka o prawa kobiet i LGBT. Gdy już tę walkę wygramy, skończy się epoka człowieka – trzeba będzie zrobić miejsce dla zwierząt.

Bo humanizm to pycha! Żeby to zobrazować cytami. „Wszystko jest w człowieku, wszystko jest dla człowieka!”, pisał pełen entuzjazmu Maksim Gorki. Lecz już Nietzsche miał wątpliwości: „Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem a nadczłowiekiem”. A sto lat później Barbara Skarga mogła już powiedzieć wprost: „Człowiek to nie jest piękne zwierzę”.

A najciekawsza może w tej historii humanizmu jest jej prehistoria. Bo wszystko zaczęło się już w starożytnym Rzymie. Autorytarne i ekspansywne imperium dało światu wynalazek, bez którego nie byłoby naszego liberalnego „człowieka”, a mianowicie prawo cywilne. Proces cywilny, toczący się między obywatelami przed państwowym sądem, był tą areną, na której kształtowało się poczucie integralnej odrębności jednostki, zarówno w stosunku do innych jednostek, jak i wobec państwa. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu!

JAN HARTMAN

Nieczne memy

Wartykule Joanny Podgórskiej „Boskie memy”, który ukazał się w 32. numerze tygodnika POLITYKA, popełniony został błąd w nazwisku autorki książki „Nieczne memy”. Brzmiało ono Magdalena Kamińska. Panią Profesor bardzo przepraszamy za pomyłkę.

REDAKCJA



Twórca Red Bulla

Chciałbym zwrócić uwagę, iż w ostatniej POLITYCE (nr 33) w artykule „Władza się pobudza” wkraść się błąd w zapisie nazwiska twórcy Red Bulla. Nazywał się on Dietrich Mateschitz, a nie Dietrich Meteschnitz. Co ciekawe, uchodził on za najbogatszego Austriaka. Zmarł w 2022 r.

ALAN SZWAJKOWSKI, WIEDEN

GALERIA POLITYKI / MAX SKORWIDER



REKLAMA

Letnie łamanie głowy!
Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzyowe – każdy znajdzie coś dla siebie!
Do kupienia w kioskach oraz na sklep.polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegły ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;

Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZ

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Marek Henzler,
Rafał Kalukin, Adam Krzemiński,
Paweł Reszka, Ewa Siedlecka,
Adam Szostkiewicz, Wiesław Władysław,
Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.), Zbigniew Borek,
Joanna Cieśla, Juliusz Cwieliuch,
Edyta Gietka, Marcin Kołodziejczyk,
Violetta Krasnowska, Wojciech Markiewicz,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tarnowski (kier.),
Joanna Sołska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domostawski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winicki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL

Karol Jalochoowski (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORYCZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targarski

STALI FELIETONIŚCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Lesniewska (kier.), tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)

POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Zelazińska (z-ca, media
społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.)
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.),
Halina Gabor (gl. księgową)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92
Promocja Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT

Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

www.sklep.polityka.pl
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione. Przedruki: Maciej Domagała, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagała@polityka.pl

DRUK Quad88

PBC

lepa

PRINTED IN POLAND

www.izbaprasyl.pl



Lepiej, czyli gorzej

TREND



Przytłoczenie i zmęczenie dążeniem do bycia w życiowej formie to odpowiedź na rozrastające się jak chwasty w ogródku trendy *wellness*.

W pewnym wieku dbanie o dobre samopoczucie – fizyczne, psychiczne, emocjonalne – przypomina wysiłki Syzyfa. Ledwo zjadło się proteinowe śniadanie, wypilo zielony koktajl, medytowało, szukając kontaktu ze swoim wewnętrznym ja, napisało coś w dzienniku, zrobiło kilka asan lub poszło na siłownię, a już trzeba ten „dobrze rozpoczęty dzień” kończyć rytuałem wdzięczności, sprawdzaniem, co aplikacje w telefonie mówią nam o zrobionych krokach czy godzinach spędzonych na siedząco, i przede wszystkim – wyciszaniem się przed snem. Przez noc kamień spada i od rana trzeba go znów toczyć pod górę.

Z jednej strony mamy dziś nieporównywalny dostęp do wiedzy, możliwość wyboru (ajurweda czy tradycyjna medycyna chińska, joga czy pilates?), a także środki na zakup odpowiednich akcesoriów – firma McKinsey & Company wyceniła rynek dobrostanowy na 1,5 bln dol. Z drugiej strony pojawia się coraz większe zmęczenie koniecznością dbania o lepsze życie. Według brytyjskich badań cytowanych przez „The Guardian”, właśnie



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

brak energii sprawia, że ludzie odwracają się od wprowadzania nowych zdrowych nawyków. To już coś więcej niż zniechęcenie pojawiające się w poniedziałek, trzy tygodnie po Nowym Roku, gdy orientujemy się, że lista postanowień tylko leży i się kurzy. Tu chodzi o głębokie wyczerpanie natłokiem obowiązków pracowych, domowych (przecież tę jogę to trzeba ćwiczyć we w miarę posprzątaną przestrzeń), wszelkich. I brak chęci na nowe. „The Guardian” podaje, że ludzie nie wprowadzają

pozytywnych zmian do swojego życia ze względu na zmęczenie (35 proc. respondentów; można było wskazać więcej niż jedną odpowiedź), brak motywacji (38 proc.), koszty jedzenia (30 proc.) oraz brak pewności siebie i wiedzy, od czego zacząć (odpowiednio 16 i 12 proc.).

Te ostatnie odpowiedzi nie dziwią, bo w natłoku zaleceń specjalistów, influencerów, często o różnych kwalifikacjach lub po prostu ich braku, mikrotrendów na TikToku czy Instagramie trudno się połapać, od czego zacząć. Jedni wszak zalecają codzienne picie soku z selera naciowego, inni przestrzegają przed monodieta, raz najlepsze są ćwiczenia aerobowe, raz siłowe; raz lepiej wyciszać system nerwowy oddechem, raz przytulaniem. Łykajcie adaptogeny, wyjdźcie ze „stanu walki o przetrwanie”, wizualizujcie przyszłość. Soja – tak, soja – nie. Brakuje w tym gąszczu sensownego przewodnika, który dysponuje i wiedzą, i badaniami. I znikną z oczu cel tych wszystkich lepszych i gorszych zabiegów, czyli poprawianie jakości życia. Australijska gazeta „The Sunday Morning Herald” zwraca uwagę na inną, ciemną stronę pogoni za *wellness* – wzrost narcyzmu: „Dobre samopoczucie zastąpiło nam wartości moralne. Zamiast dbać o dobrostan świata, dbamy już tylko o siebie”.

! pomyśleć, że trendowi *wellness* towarzyszyły szczytne idee. Koncepcję i samo słowo, powstałe z połączenia określeń *wellbeing* (dobrostan psychiczny) i *fitness* (dobra kondycja fizyczna), stworzył w latach 50. XX w. Halbert L. Dunn. Oznaczało ono nie tyle stan ogólnego zdrowia, co bardzo dobre samopoczucie, dzięki któremu – jak chciał Dunn – „człowiek wspina się ku wyżynom swojego potencjału”. Dość przypomnieć, że w tamtej dekadzie, przynajmniej na „zgniłym Zachodzie”, sens i wartość życia wyznaczał kapitalizm, pięć się wciąż wyżej i gromadzenie dóbr dotyczyło więc też sfery samopoczucia. Niektórzy zbili fortuny na przyrządach do ćwiczeń, sprzedawali suplementów lub poradników zdrowego odżywiania. W latach 80. aktorka Jane Fonda zmieniła drastycznie swój wizerunek z zaangażowanej politycznie aktywistki w boginię aerobiku. Co w tym czasie działo się w naszej popkulturze? Oszczędne i być może najlepsze rady, jak żyć, dawał Pan Kleks ustami Piotra Fronczewskiego: „Biegać, skakać, latać, pływać, w tańcu, w ruchu wypoczywać”.

Kule szpiegule

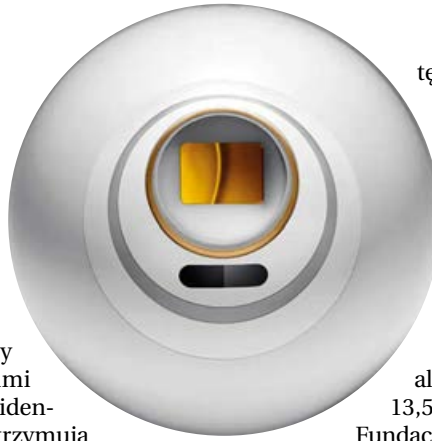
TECHNO

Wkilkudziesięciu miejscach świata rozmieszczono błyszczące metalowe kule wielkości tych do kręgli. Ukryte w nich skanery tęczówek i sieci neuronowe przetwarzają obrazy oczu ludzi ustawiających się przed nimi w kolejkach i każdemu nadają unikalny identyfikator. W zamian posiadacze oczu otrzymują równowartość ok. 50 dol. i nadzieję na większe zyski.

Brzmi jak wstęp do kiepskiej dystopii o przejęciu władzy nad światem przez sztuczną inteligencję? Pudło. Wszystko to dzieje się naprawdę w ramach firmowanego m.in. przez szefa OpenAI (twórcy ChatGPT) Sama Altmana projektu **Worldcoin**, który ruszył w lipcu w 20 krajach.

Przekaz jest taki: upowszechnianie się AI zwiększa potrzebę stworzenia uniwersalnego systemu pozwalającego na potwierdzenie człowieczeństwa w internecie. Jednocześnie daje szansę przyspieszenia światowego wzrostu gospodarczego, grożąc za to silną koncentracją kapitału w rękach firm kontrolujących modele AI. Rozwiązaniem mógłby być minimalny dochód gwarantowany, przyznawany za... bycie człowiekiem. By jednak wypłacać go bezpiecznie, trzeba być pewnym, że odbiorca faktycznie należy do rodzaju ludzkiego, a nie jest botem wytrenowanym do udawania człowieka.

I tu wchodzi Worldcoin, system składający się z dwóch elementów: cyfrowego dowodu człowieczeństwa i kryptowaluty. Ten pierwszy (World ID) powstaje dzięki wspomnianym już kulom, przypisującym kod każdej zeskanowanej



tęczówce (które są niepowtarzalne). Kryptowaluta i obietnica zysków mają zachęcać do wchodzenia i aktywnego uczestnictwa w systemie. Oprócz „prezentu powitalnego” w postaci 25 tokenów każdy posiadacz World ID może tygodniowo otrzymać jeden dodatkowy, jeśli odbierze go w aplikacji.

Rzecz jasna inwestorzy nie wyłożyliby milionów dolarów z pobudek altruistycznych – zarezerwowano dla nich 13,5 proc. wszystkich tworzonych tokenów.

Fundacja Worldcoin – operator systemu – twierdzi, że zapewni on prywatność, skany tęczówek po przetworzeniu na kod są od razu kasowane, a dane nigdy nie zostaną nikomu sprzedane. Ale w zeszłym roku amerykański magazyn „MIT Technology Review” ustalił, że informacje o 450 tys. użytkowników testowych wykorzystano do trenowania modeli rozpoznających tęczówki, a oni sami często nie wiedzieli nie tylko o tym fakcie, ale w ogóle o projekcie. Wielu uczestników rekrutowano w biednych krajach (jak Sudan czy Indonezja), obiecując im mniej niż dolara za skan. Nic więc dziwnego, że pojawia się sporo obaw o prywatność – organizacja, której udowodniono już nietransparentność i nadużywanie zaufania, chce, by jej uwierzyć, że dane biometryczne użytkowników są bezpieczne. Poza zapewnieniami daje niewiele – mimo obietnic wciąż nie upubliczniła kodu, który wykorzystuje w swoich kulach. Worldcoinem zainteresowały się już odpowiedzialne za ochronę danych urzędy w Niemczech, Francji czy Wielkiej Brytanii. W Kenii, gdzie do kul ustawiały się długie kolejki, władze nakazały projekt zawiesić. W Polsce żadnej kuli jeszcze nie ma.

RYSZARD ŁUCZYN

Co nas triggeruje

SŁOWO

Chodzi tu o negatywne emocje, które napędzają internet jak eksperymenty Oppenheimera wyścig zbrojeń. Angielskie słowo „trigger” przynosi zresztą zbrojne skojarzenia: cyngiel broni, wyzwalacz, a w ładunkach termonuklearnych – jeden z ładunków, którego detonacja uruchamia drugi. W sferze społecznościowej oznacza negatywny bodziec wręcz zmuszający do komentowania, bo takie (na co wskazują badania) działają na nas najmocniej. Stąd czasownik „triggerować”. W książce „Pokolenie zmiany” Justyna Suchecka rozmawia z młodą użytkowniczką social mediów, która opowiada, że zrobiła sobie w nich porządek i „przestała obserwować konta, które ją triggerują”. Mało kto coś takiego potrafi,

MÓWIĄ RYMY

Nigdy nie będę rasistą, już bym wolał zostać wigga Bardziej od triggerowania wolę „Squeeze the Trigger”

Peja, Pamięć absolutna, 2021 r.

wigga (wigger) = biały naśladowujący zachowaniem i wyglądem Afroamerykanów
„Squeeze the Trigger” – utwór Ice-T



na czym korzystają triggerujący – rosną bowiem statystyki tych, którzy potrafią grać na negatywnych emocjach.

Najnowszy trigger? Zdjęcie Sławomira Mentzena, trzymając swoją córkę za nogi, głową do dołu. Nie brakowało odgłosów oburzenia. „Dr ekonomii. Ojciec. Lider polityczny. Z ambicjami na ministra finansów” – ironizuje jeden z komentatorów. „Ale trzeba przyznać, że świetnie was triggeruje” – broni ktoś Mentzena. „Mnie zenuje i śmieszy. Jeśli ciebie triggeruje, to nie zazdroścę” – odpowiada ktoś inny. A gdzieś obok tej dyskusji komentarz: „Sama rzadko noszę pełen makijaż, ale chyba mało rzeczy triggeruje mnie tak bardzo jak ludzie mówiący innym, że noszą zbyt dużo makijażu”. Wszystko to w serwisie X, dawniej Twitterze, którego zmiana nazwy też striggerowała ludzi, zmuszając do skrajnie krytycznych reakcji. Co roku triggeruje z kolei prawicową część serwisu Partia Razem, przypominając 1 sierpnia postulat z „Testamentu Polski Walczącej” z 1945 r. (m.in. „Uspołecznienie własności wielkokapitalistycznej i zorganizowanie sprawiedliwego podziału dochodu społecznego”).

I zbierając co roku podobne głosy oburzenia od środowisk kultuwujących pamięć Polski Walczącej. Widziałem też mem ze zdjęciem Edwarda Gierka i hasłem „triggieriek”. Niby i Gierek wciąż triggeruje, ale w takim ujęciu jednak rozluźnia.

BARTEK CHACIŃSKI

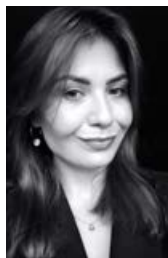


D I Z A J N

Więcej znaczy więcej

W kontrze do minimalizmu we wnętrzach coraz śmielej rozpycha się nieład. Nie chodzi jednak o zagracaanie mieszkań, a o stworzenie przestrzeni bliższej domownikom, pełnej osobistych przedmiotów. Oto *cluttercore*.

Fikuśna lampa z tańczącą Hawajką, kolorowe wazoniki, własnoręcznie pomalowana ściana z notatkami i pocztówkami, obrazy, wielorakie faktury i wzory, girlandy, kwiaty – tak prezentuje się zyskujący popularność *cluttercore*. Nazwa tego wnętrzarskiego trendu – czy raczej stylu życia – pochodzi od angielskich słów *clutter* i *core*, oznaczających kolejno „nieład”, „załoczenie” i „rdzeń”, „centralną część czegoś”. „Nie chodzi o to, co jest modne czy w dobrym guście, ale o to, co uważasz za warte zaprezentowania, o rzeczy osobiste, które gromadzi się latami, a pokazują, kim się jest i gdzie się było” – tłumaczy ideę redaktor



Joanna Traciewicz

– od ponad dekady działa w mediach, śledzi trendy społeczne i popkulturowe, interesuje ją interdyscyplinarne podejście do zjawisk. Na co dzień redaktor naczelna RocketSpace.pl.

naczelna holenderskiego wydania „Elle Decoration” Evelien Reich.

Na pierwszy rzut oka *cluttercore* to bałagan, ale zamierzony. Składają się na niego rzeczy o sentymentalnej wartości, często zupełnie niepraktyczne. Właśnie osobisty charakter tej nowej „niemody”, przepych i pełnia życia odróżniają ją od *clustercore* (gdy prezentuje się fanty związane z hobby) i maksymalizmu, który – jak pisze Martha Stewart, w USA autorytet ds. zarządzania domem – jest stylem dekoracyjnym raczej dla kolekcjonerów i polega na starannej prezentacji błyskotek czy sztuki. Też chodzi o bogactwo form, ale przedmioty muszą do siebie pasować, nawet jeśli tworzą eklektyczny styl. W *cluttercore* rzeczy niekoniecznie pasują, tu liczą się emocje – od podłogi po sufit. Specjaliści od wystroju wnętrz wiążą rozwój trendu z pandemią. Kiedy w izolacji doświadczaliśmy pustki, narodziła się potrzeba, by wywlekać „skarby z szafy”, bo dają nam poczucie bezpieczeństwa. Pojawiają się też opinie, że *cluttercore* jest bliski pokoleniu Z (urodzeni po 1995 r.), bo stawia na indywidualizm, świadomą reprezentację własnego „ja”, jest przejawem naturalności i swobody, a młoda generacja te wartości ceni.

Istotne jest, by ów zorganizowany chaos był autentyczny. Monica Fay, ekspertka od *declutteringu* (odgracania), badająca związki samopoczucia z porządkowaniem przestrzeni i umysłu, twierdzi, że nieład jest formą zadowalania innych, a to niekoniecznie zdrowe. „Czasem zatrzymujemy rzeczy, bo boimy się, że jeśli je oddamy albo odmówimy ich przyjęcia, to zranimy czyjeś uczucia albo zostaniemy odebrani jako niewdzięczni i nieszanujący rzeczy” – pisze. I dodaje, że mamy prawo nie przyjmować niechcianych prezentów, a *decluttering* polega na ustalaniu własnych granic.

Propagatorzy minimalizmu, kiedyś bardzo modnego, są zdania, że „mniej znaczy więcej”, a nieprzywiązywanie się do materialnych rzeczy pozwala skupić się na tym, co niematerialne; to także przejaw buntu wobec nadmiernej konsumpcji. *Cluttercore*, czyli „więcej znaczy więcej”, nie oznacza jednak pogoni za nowością i szafu zakupów, ale inne podejście do mieszkania. Które staje się integralną częścią domownika, wygodną „drugą skórą”.

Można pokusić się o stwierdzenie, że jest w *cluttercore* tęsknota za dawnymi czasami, mieszkaniem naszych babć i dziadków. Pełno w tym chaosie pamiątek, rzeczy przerabianych, tworzonych samodzielnie, vintage. – *Nie jestem pewna, czy chodzi o sentyment, choć faktycznie takie „babcine” mieszkania budzą często pozytywne skojarzenia* – komentuje Olga Drenda, pisarka i antropolożka kultury. – *Czasem myślę, że wnętrzarski minimalizm, choć praktyczny, często nie jest dobrowolny, tylko wymuszają go okoliczności: przeprowadzki, krótki wynajem, brak czasu na porządk. Minimalizm jest też trochę okrutny. Nie wybacz, kiedy coś leży nie na miejscu albo jest choć trochę niepraktyczne, bo staje się zbędne, kłuje w oczy. Dlatego umiarkowane zbieranie rzeczy wydaje mi się pozwalaniem sobie na nieduży luksus. Mała ucieczka od tego, żeby nie żyć aż tak spartańsko i pragmatycznie jak na linii produkcyjnej.*

I jeszcze jedno, dodaje Olga Drenda: w małym chaosie nie trzeba cały czas sprzątać. ■

Jak może być gorzej, skoro jest lepiej?

Rozmywa się granica pomiędzy psychopatologią a tym, co jest naturalną, choć trudną czy bolesną częścią życia.

Lucy Foulkes, psycholożka z uniwersytetu w Oksfordzie, autorka książki „Losing our minds. The challenge of defining mental illness”, jako nastolatka, a potem studentka zmagająca się ze stanami lękowymi, które uniemożliwiały jej funkcjonowanie. Choć od tego czasu minęło tylko kilkanaście, a nie kilkadziesiąt lat, wiele się zmieniło. Foulkes z entuzjazmem obserwuje, jak kolejne pokolenia zyskują narzędzia psychologiczne, z których ona nie miała szansy korzystać. Patrząc wstecz, zadaje sobie jednak pytanie: czy gdyby wtedy miała do nich dostęp, faktycznie żyłoby się jej lepiej?

Z pewnością młodsze pokolenia sprawniej radzą sobie z nazywaniem własnych stanów emocjonalnych, a także nie wstydzą się przyznawać do problemów psychicznych czy zgłaszać do specjalisty. Mimo zrozumienia i empatii płynącej z własnych doświadczeń Foulkes – pracująca jako wykładowczyni akademicka – stanęła w pewnym momencie przed dylematem, czy powinna akceptować to, że niektórzy studenci rezygnują na przykład z przygotowania prezentacji, tłumacząc to zaburzeniami lękowymi? To pytanie skłoniło ją z kolei do refleksji nad własną osobistą historią: czy gdyby kiedyś dysponowała taką samowiedzą i biegłością w posługiwaniu się kategoriami diagnostycznymi, jak jej dzisiejsi studenci, to czy podjęłaby się różnych wyzwań, które przecież, choć wiązały się z trudnościami, tak wiele ją nauczyły? A może – paradoksalnie – świadomość własnych problemów byłaby dla niej wówczas na tyle paraliżująca, że nie miałyby odwagi podjąć próby pokonania swoich ograniczeń? Dlatego przedmiotem jej badań stała się zastanawiająca korelacja pomiędzy, z jednej strony, wzrostem poziomu wiedzy na temat zaburzeń psychicznych, a z drugiej – wzrostem częstotliwości ich występowania.

Nie tylko ona dostrzegła ten pozorny paradoks. Inny badacz, Nick Haslam, profesor psychologii z Uniwersytetu Melbourne w Australii, już w 2016 r. zwrócił uwagę na postępujący proces poszerzania się zakresu semantycznego wielu kategorii zaczerpniętych z języka psychologii, co w konsekwencji osłabia ich pierwotne znaczenie. Pojęć takich jak „nadużycie” lub „trauma”, „zaburzenia psychiczne” czy „uzależnienia” używamy w odniesieniu do coraz większej liczby zjawisk i zachowań, przez co de facto rozmywa się granica pomiędzy psychopatologią a tym, co jest naturalną, choć trudną czy bolesną, częścią życia. To prawda, dzięki temu staliśmy się być może bardziej czujni, zwiększył się również dostęp do zinstytucjonalizowanych – i nie tylko – form pomocy. Rzecz jednak w tym, że nie wszystko, co w naszym przeżyciu trudne, musi być od razu patologiczne.

RELACJE



Cveta Dimitrova
– ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.



ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

Nie wszystko, co wiąże się z dyskomfortem, musi od razu prowadzić do poważnych konsekwencji, a tym bardziej wywoływać traumę.

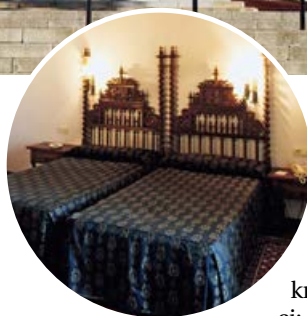
Foulkes wyraźnie podkreśla, że nie chodzi jej o to, by zmuszać studentów cierpiących na fobię społeczną do publicznych występów. Nie rezygnuje jednak z próby określenia granicy pomiędzy zwyczajnym, choć trudnym doświadczeniem a chorobą czy zaburzeniem psychicznym. Bo odczuwanie lęku przed egzaminem czy epizodyczne spadki nastroju bywają po prostu całkiem adekwatną reakcją na rzeczywistość. Jeśli zbyt często będziemy ulegać pokusie „diagnozowania” – czyli medykalizacji naszych przeżyć – być może pozbawimy się szansy na odkrycie, że wielu rzeczom jednak potrafilibyśmy sprostać.

Wrzeczywistości chwiejnej i niezrozumiałej pewne mapy, drogowskazy to coś, co daje poczucie bezpieczeństwa. Dlatego zarówno terminy psychologiczne, jak i diagnozy są potrzebne. Zachęcając do tego, żebyśmy nie popadali w nadmiarową gorliwość w poszukiwaniu psychologicznych narzędzi do opisywania własnego cierpienia, nie chcę odebrać temu cierpieniu ani rangi, ani znaczenia. Tym bardziej nie chcę odebrać komukolwiek prawa do pomocy. I nie chcę powiedzieć, że trzeba być w ciężkim kryzysie psychicznym, żeby pomocy potrzebować. Chcę tylko zwrócić uwagę, że pojęcia, nazwy, diagnozy czasem mogą coś odślonić, ale kosztem przesłonięcia czegoś innego. Oraz dodać, że metafora, opowieść czy – szerzej – język literatury pozostają niejednokrotnie o wiele bardziej atrakcyjną (i paradoksalnie prawdziwą) formą opisu siebie i świata niż jakikolwiek, choćby najbardziej zmyślny, koncept psychologiczny. ■



Noc na zamku

Średniowieczny zamek, benedyktyński klasztor czy nowoczesny budynek wkomponowany w zbocze – hiszpańska państwowa sieć Paradores oferuje noclegi w hotelach, które same w sobie są atrakcją turystyczną.



Główną fasadę zdobią cztery potężne, zwieńczone blankami wieże. Cała budowla wygląda jak forteca w środku miasta. – Wzniesiono ją w XV w. jako alcazar, czyli warowny zamek w stylu mauretańskim – mówi Antonio Cancho Sierra, historyk i przewodnik po hiszpańskim regionie Extremadura, w tym po mieście Zafra, gdzie znajduje się zamek. – Twierdzę wkrótce przekształcono w książęcy pałac – ciągnie, gdy wchodzimy na wyłożony marmurem renesansowy dziedziniec. Na zewnątrz słońce praży niemilosiernie, ale w średniowiecznych murach nie czuć upału.

W XVIII w. można rodzina opuściła zamek, który w kolejnych dwóch stuleciach pełnił umiarkowane książęce funkcje: przytułek dla ubogich, szpitala i więzienia. Zrujnowany zabytek w 1968 r. przekształcono w *parador*, czyli luksusowy hotel należący do hiszpańskiej państwowej sieci. Dziś oferuje noclegi m.in. w komnacie z *artesonado* – sufitem misternie zdobionym boazerią z wielu gatunków drewna – i tarasem pomiędzy wieżami obronnymi. Osoby, które nie są hotelowymi gośćmi, mogą wejść na dziedziniec lub spojrzeć na miasto z obronnych wież. Udośćnienie do zwiedzania przynajmniej części zabytkowego obiektu to jedna z zasad, jakimi rządzą się *paradory*.

Średniowieczny zamek w Zafre, benedyktyński klasztor w Cangas de Onís w Asturii czy twierdza z VIII w. w Cuence w Kastylii-La Manchy – te i wiele innych imponujących budowli są wizytówkami Paradores. Ale do państwowej sieci należą też współczesne budynki

zachowujące wysoki standard i położone w ciekawej lokalizacji. Parador de Las Cañadas del Teide działa na Teneryfie, na wysokości 2000 m n.p.m., w masywie Teide, najwyższej góry na terytorium Hiszpanii. Z okien rozciąga się widok na księżycowy krajobraz i wulkaniczny szczyt. Najnowszy hotel w sieci: Parador Costa da Morte wbudowano zaś w zbocze w galisyjskim miasteczku Muxía na atlantyckim Wybrzeżu Śmierci. Okolica długo była postrachem kapitanów, dziś surowy pejzaż skał i klifów cieszy oko hotelowych gości.

Do nowych obiektów należy też Parador Villafranca del Bierzo, otwarty w 2010 r. w dawnym hotelu na szlaku do Santiago de Compostela. – *Atutem sieci jest fakt, że nie ma w niej dwóch jednakowych obiektów* – Alberto San Sebastián Vázquez, dyrektor tego nowoczesnego *paradoru*, jest wyraźnie dumny z całego przedsięwzięcia. – *Istnieją trzy przesłanki dla otwarcia takiego miejsca. Po pierwsze, ratowanie dziedzictwa kulturowego, gdy budynek posiada dużą wartość historyczną i pilnie wymaga remontu. Po drugie, wykreowanie popytu turystycznego. Nie otworzymy nowego *paradoru* w Madrycie, tylko np. na Wybrzeżu Śmierci. Okolicę tę kilkanaście lat temu dotknęła katastrofa ekologiczna po wycieku ropy z tankowca „Prestige”* – tłumaczy. Na szczęście po zanieczyszczeniach nie ma już śladu. – *Wiąże się to z trzecią przesłanką, czyli ożywieniem gospodarczym dla całego regionu* – podkreśla San Sebastián Vázquez.



Julia Zabrodzka

– fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

Za początek Paradores uznaje się rok 1928. To wówczas otwarto pierwszy luksusowy hotel należący do państwa. Według niektórych źródeł król Alfons XIII osobiście wybrał lokalizację – miasteczko Navarredonda de Gredos, 150 km na zachód od Madrytu. Dziś sieć oferuje 10 tys. miejsc noclegowych w 97 obiektach. A podróż tropem *paradorów* zachęca do odkrywania mniej znanych zakątków półwyspu i ich atrakcji. Bo kto np. wie, że w Cuence, surrealistycznie zawieszona na krawędzi wąwozu, mieści się wspaniałe Muzeum Sztuki Abstrakcyjnej? Poza tym, jak często trafia się okazja do zanocowania w pałacu? Na dodatek państwowym. ■

Sieć winna

Czy wino można kupić przez internet? Też pytanie! Wiadomo, że można – witryn są setki. No i właśnie komuś to bardzo przeszkadza.

Małgorzata i Piotr Lutowie walczyli dokładnie pięć lat i 31 dni. Tyle upłynęło między odebraniem im zezwolenia na sprzedaż wina (tzw. koncesji) przez Urząd Miasta Krakowa a ostatecznym zwycięstwem w sądzie. 8 sierpnia 2017 r. urzędnicy dokonali tzw. zakupu kontrolowanego jednej butelki przez sklep internetowy Wina.pl. Sklep przyjął płatność, kurier dostarczył wino, urzędnik sporządził notatkę służbową: „Przedsiębiorca prowadzi sprzedaż napojów alkoholowych wbrew warunkom określonym w ustawie”. I urząd zezwolenie odebrał. Państwo Lutowie mają trzy sklepy w Krakowie, ale gros biznesu prowadzą przez rzeczoną stronę internetową.

„Ustawa o wychowaniu w trzeźwości” została uchwalona w 1982 r., nowelizowana kilkadziesiąt razy i regulująca najdrobniejsze szczegóły handlu groźnym towarem, jakim jest alkohol, od miejsca sprzedaży (nie może być bliżej niż 100 m od kościoła; poza Polską taki przepis ma tylko Turcja, tam chodzi o meczet), aż po obowiązkowe plakietki „Alkohol szkodzi zdrowiu”. Stanowi też, że alkohol można sprzedawać tylko w miejscu określonym w zezwoleniu. Tyle że w 1982 r. internet nie istniał, a żadna z późniejszych nowelizacji tej sprawy nie dookreśliła. Poza tym, co to za miejsce, „internet”? Kasa fiskalna jest w sklepie, wino w magazynie, klient nad jeziorem, a serwer w Niemczech. Sklepy zakładają, że sprzedaży dokonują w sklepie, nad jeziorem tylko dostarczają. Sławetna Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych poczuła jednak krew i zaczęła donosami zasypywać urzędy gmin, że Iksiński sprzedaje przez internet i należy zezwolenie mu odebrać.

Taktyka była przemyślna. Sprzedaż wbrew ustawie, np. osobie nieletniej, jest przestępstwem ściganym przez policję. Ale policja ma ważniejsze rzeczy na głowie (np. kontrole w szpitalach), więc donosy ignorowała, zresztą sklepom groziła co najwyżej grzywna. Co innego urząd – odbierając zezwolenie, praktycznie skazywał firmę na bankructwo. Karuzela ruszyła i sklepy w całej Polsce walczyły w sądach o odzyskanie zezwoleń, ze zmiennym szczęściem. Bowiemi sprawa z prawnego punktu widzenia jest trudna.

Ustawa nie zabrania wprost przyjmowania zamówień przez internet, telefon albo gołębia pocztowego, a co nie jest zakazane, jest dozwolone. Z drugiej strony preambuła do tejże ustawy wprost określa cel: „ograniczanie spożycia alkoholu”, a im łatwiejsza dostępność, tym (wedle niektórych)

W I N O



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winiątywa i pisma o winie „Ferment”.

większa konsumpcja. Sprawie smaczku dodawał fakt, że gdy rodzime sklepy szykanowane były przez urzędy, w majestacie prawa wino dostarczały do Polski winoteki... zagraniczne. Wystarczyło, że opłaciły polską akcyzę oraz VAT i na gruncie przepisów unijnych nie można było takiej sprzedaży zablokować, mimo machania szabelką przez PARPA.

Państwo Lutowie jednak nie odpuszczali i po apelacji wygrali sprawę przed Naczelnym Sądem Administracyjnym. Pierwszy raz w sprawie sprzedaży alkoholu przez internet wypowiedziała się najwyższa instancja. NSA nie zostawił suchej nitki na argumentacji PARPA i urzędów, uzasadnienie wyroku ma ponad 50 stron i rozprawia się po kolei z bałamutnymi gadkami o „zamkniętym katalogu zezwoleń”, niemożności sprawdzenia wieku kupującego przy sprzedaży przez internet itd.

WPolsce nie obowiązuje prawo precedensu, ale kolejne sądy badające sprawy o odebranie zezwoleń nie muszą już same interpretować niejasnej ustawy, mogą sięgać po gotowca z NSA. I sięgają – dwa tygodnie temu sąd w Krakowie uchylił decyzję urzędu, który zezwolenie odebrał... witrynie Wina.pl państwa Luty.

PARPA przerzuciła się już na nowy temat – ściganie postów z alkoholem na Instagramie. Zaś importerzy wina już bez obaw uruchamiają gremialnie e-commerce. Jest normalnie. ■



Andrzej Stankiewicz uważa, że Przemysław Czarnek obstawia zachowawczo i bardzo przytomnie, że jeśli PiS zachowa władzę, to będzie musiało się dogadać z Konfederacją. (...) Kto mógłby być lepszym premierem koalicji PiS-Konfederacja niż taki gość? Wszak od lat systematycznie i ekshibicjonistycznie pracuje na tytuł pierwszego konserwatywno-narodowego ultrasa. Tak, w całym PiS to on najlepiej pasuje do Konfederacji. W sumie spokojnie mógłby się tam zapisać, nawet ostatnio zaczął atakować Ukraińców”. Czarna wizja.

Prof. Rafał Chwedoruk („Plus Minus”) o zapleczu wyborczym Konfederacji: „generacja Z, która jest głównym elektoratem Konfederacji, wzrastając z technologią cyfrową, otrzymała specyficzną edukację – jest przyzwyczajona, że w sieci wszystko dzieje się szybko, że co chwilę zajmujemy się czymś innym. Nieustannie poszukuje nowych bodźców i nie zawsze chętnie się wgłębia w treść. Z programu Konfederacji ci młodzi ludzie wybierają to, co im akurat pasuje – wątki antyzusowskie i antypodatkowe – a nie szukają np. zakładek związanych z aborcją”. Trzymają się zasady: czego nie widzę, tego nie ma.

OKO.press przytacza słowa Szymona Hołowni: „Ostatni tydzień to jest taki tydzień, w którym wszyscy się dowiedzieli, że Trzecia Droga jest. Może ma problemy, ale jest żywym organizmem. Czas dyskusji się skończył”. Wydyskutowali, że żyją, ale czy to wystarczy, by przeżyć?

Piotr Zaremba dla „Rzeczpospolitej” o upadku NIK pod rządami Mariana Banasia: „Mamy więc definitywną zapaść autorytetu w założeniu niezależnego, kontrolującego inne ciała. Nikt się temu szczególnie nie dziwi, bo w Polsce w sferze publicznej możliwa jest dowolna patologia. NIK znaczyła do tej pory niewiele. Teraz przestaje znaczyć cokolwiek. (...) Prezes NIK powinien walczyć o jej autorytet, bo Izba ma być gwarantem choć minimalnej transparentności życia publicznego. Ale dziś

Jesteśmy sojusznikami,
ale nie frajerami.
To państwo ukraińskie
musi wiedzieć i muszą
to wiedzieć politycy
ukraińscy – minister
Przemysław Czarnek,
TVP Info.

przypominanie takich pryncypiów może jedynie budzić wesołość”. Zwłaszcza gdy o pryncypiach pisze laudator Kaczyńskiego – Człowieka Wolności 2017.

W „Wolnej Sobocie” Michał Rusinek cytuje Kaczyńskiego, który w Polskim Radiu uzasadniał, dlaczego jego słowa o „ryżym Tusku” były potrzebne: „Mamy do czynienia z takim procesem lumpenproletaryzacji partii, która jest główną partią opozycyjną. Ona nigdy może nie błyszczała kulturą, ale już w tej chwili to jest proces lumpenproletaryzacji». (...) »Bardzo to jest smutna rzecz, ale niestety trzeba na to jakoś reagować, oczywiście nie zniżając się do tego poziomu, ale jednak tak, żeby, można powiedzieć, być zrozumiałym dla pewnych ludzi, którzy takiego miększego języka nie rozumieją«. Czyli tak naprawdę używając słowa »ryży«, nie zniżył się aż do lumpenproletariackiego poziomu polityków opozycji, ale użył języka twardszego, żeby go zrozumieli ci, którzy nie rozumieją eleganckiego dyskursu politycznego, uprawianego do tej pory przez PiS”. Żoliborski inteligent znów z troską pochyla się nad „ciemnym ludem”.

Ma też już ustalone, o czym PiS będzie mówił do ludu w kampanii wyborczej. W wywiadzie dla „Sieci” przedstawia to wprost: „Obraz jest jasny: Tusk szkodził polskiej gospodarce, zepsuł Polskę, podważył nasze bezpieczeństwo i polską suwerenność, a potem porzucił kraj dla wysoko płatnej, śliskiej, nawet brudnej pracy w Brukseli. Bo to była praca na rzecz jego patronów, praca, którą zdobył, płacąc polskimi interesami, majątkiem. (...) Tusk jest dziś zwykłą marionetką brukselskiej biurokracji i niemieckich planów imperialnych”. Prezes zapowiedział też dyscyplinę w ramach ustalonego przesłania. „A będą to ramy bardzo ściśle określone, znacznie ściślej niż w poprzednich kampaniach”. „Przemysł pogardy” w czystej postaci.

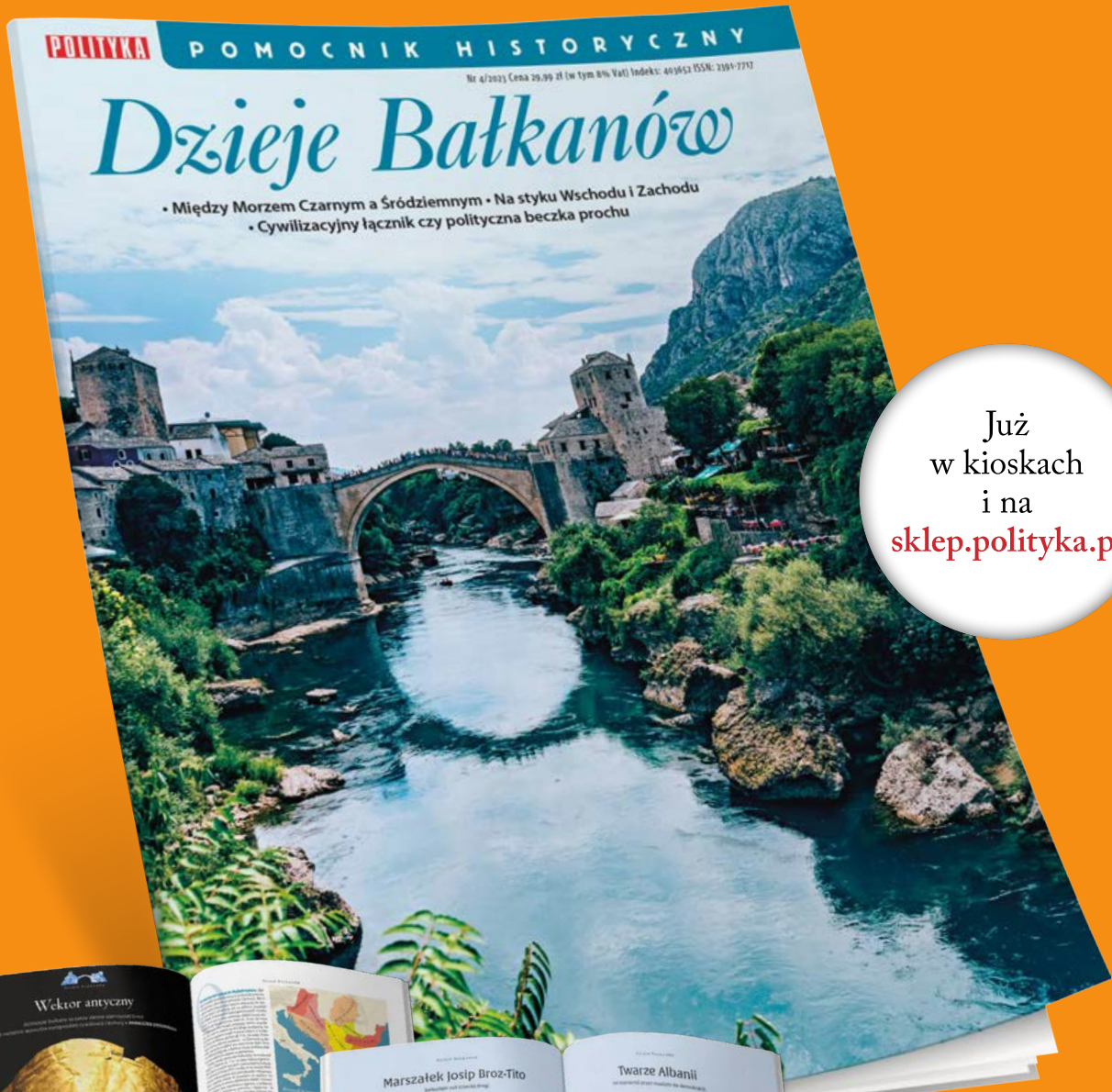
Michał Ogórek śmieje się z urzędnika propagandzisty („Angora”): „Alarmistyczne zapowiedzi wiceministra spraw zagranicznych Arkadiusza Mularczyka: »Jeśli PiS wygra wybory, to Polska dostanie reparacje od Niemiec«. Okazuje się, że w Niemczech zwycięstwo PiS uznane zostanie za tak dotkliwy, nieszczęśliwy wypadek i taką historyczną katastrofę, że przysługiwać nam będzie za to nawet odszkodowanie”.

Kamil Dziubka, dziennikarz Onetu, zapytany przez wirtualnemedi.pl, co go zaskoczyło przy pracy nad książką „Kulisy PiS”, powiedział: „Zaskoczyło mnie, że poza protokołem, światem przekazów dnia, spora liczba polityków PiS jest w stanie źle mówić o prezesie Jarosławie Kaczyńskim. Miałem wrażenie, że to zaczęło się wcześniej, jesienią 2020 r., zaraz po wyborach prezydenckich, gdy wejść miała piątka dla zwierząt. Klub PiS pękł, część ludzi zaczęła wtedy w kuluarach – ale nie tylko – mówić źle o prezesie. Zaskoczyło mnie, że takie nastroje wciąż istnieją. Potwierdził się obraz partii zakłamej”. Oczywiście oczywistość. Ciekawe, czy pisowcy zrobią sobie quiz „Kto to powiedział?”.



© JANI KOZA

Blisko i egzotycznie



Już
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Wystarczy zainstalować

innovacyjna
cicha
niezawodna



Ekologiczny
czynnik
chłodniczy R32

Jak płacić mniej za energię? Z pompą ciepła Vitocal typu Split!

- ✓ Energooszczędna i niezawodna w każdych warunkach.
- ✓ Szybka w montażu i łatwa w obsłudze.
- ✓ Bardzo cicha praca i atrakcyjny design.

Pompa ciepła Vitocal typu Split od Viessmann to innowacyjne i ekologiczne rozwiązanie do ogrzewania budynków i przygotowywania ciepłej wody użytkowej. Wyróżnia się cichą pracą, łatwym montażem, wysoką sprawnością grzewczą i gwarantuje niskie rachunki za ogrzewanie.

Masz pytania? Chętnie na nie odpowiemy i pomożemy w uzyskaniu dotacji na zakup pompy ciepła!

viessmann.pl/vitocal

VISSMANN



for our climate